

Z cichym swistem, strzala, z buku  
Ja zabilem, ja zabilem...



Bikst =  $\frac{\lambda}{3}$  (gik gst - gis gkt)

Bikst = 0 (flat at  $\infty$ )

lesiojot



S. S. VAN DINE

# PIOSENKA ŚMIERCI

CZYTELNIK

S.S. Van Dine

# Piosenka Śmierci



**CZYTELNIK \* 1961**

## Osoby:

- Philo Vance  
J a c k s o n — kamerdyner Vance'a  
Jan F. Markham — okręgowy prokurator Nowego Jorku  
Ernest Heath — sierżant z wydziału zabójstw  
Guilfoyle — detektyw z wydziału zabójstw  
Santos Emery — detektyw z wydziału zabójstw  
Snitkin — detektyw z wydziału zabójstw  
B u r k e — detektyw z wydziału zabójstw  
Trace — detektyw z wydziału zabójstw  
Hennessey — detektyw z wydziału zabójstw  
Robin Gil — sportowiec i mistrz łuczniczy  
Doktor Emanuel Doremus — lekarz policyjny  
Kapitan Dubois — daktyloskopowiec  
Bellamy — daktyloskopowiec  
Profesor Bertrand Dillard — znany fizyk  
Bella Dillard — jego bratanica  
Sigurd Arnesson — adoptowany syn profesora  
Pynn — lokaj Dillarda  
Beedle'owa — kucharka Dillarda  
JanPardee — matematyk i znany szachista, wynalazca nowego gambitu szachowego  
PaniDrukker — nazywana „lady Mae” — eks-śpiewaczka operowa  
Adolf Drukker — kaleka, naukowiec  
Rajmund Sperling — inżynier  
Jan E. Sprigg — student uniwersytetu Columbia  
Swacker — sekretarz prokuratora okręgowego  
Kapitan Hagedorn — z wydziału zabójstw  
Kapitan Pitts — z wydziału zabójstw  
Główny inspektor O'Brien — z nowojorskiej policji  
Moran — inspektor z biura wywiadowczego  
Doktor Whitney Barstead — znany neurolog  
Greta Manzel — kucharka Drukkerów  
Quinan — reporter „Worldu”  
Madzia Moffat — mała dziewczynka

## ROZDZIAŁ I KTO ZABIŁ GILA?

(Sobota, 2 kwietnia, południe)

Ze wszystkich spraw kryminalnych, w których Philo Vance uczestniczył nieoficjalnie jako detektyw, najbardziej złowroga, najdziwniejsza, pozornie najmniej zrozumiała, a z pewnością najokropniejsza była ta, która nastąpiła po słynnym procesie Greene'ów. Orgia zgrozy, jaka rozpętała się w starej siedzibie Greene'ów, zakończyła się rewelacyjnie w grudniu i po świętach Bożego Narodzenia Vance wyjechał do Szwajcarii na sporty zimowe. Powróciwszy z końcem lutego do Nowego Jorku, pogrążył się całą duszą w dawno zamierzonej pracy literackiej. Wziął się mianowicie do przekładu głównych fragmentów Menandra, znalezionych w piaskach Egiptu w pierwszych latach bieżącego stulecia. I z górą miesiąc trudził się sumiennie nad tym niewdzięcznym zadaniem.

Czy ukończyłby tłumaczenie, nawet gdyby mu nie przerwano tej pracy, nie wiem, gdyż w jego pełnej zapału i entuzjazmu naturze badacza chłonność intelektualna kolidowała z niechęcią do podejmowania pracowitych dociekań, niezbędnych przy pracy naukowej. Pamiętam, że przed rokiem zaczął pisać życiorys Ksenofonta. Żywił dla tego starożytnego greckiego autora entuzjazm od czasów uniwersyteckich, kiedy to studiował *Anabasis* i *Memorabilia*, ale dociągnąwszy do historycznego powrotnego marszu Dziesięciu Tysięcy nad morze, stracił zapał do tej roboty.

W każdym razie faktem jest, że pracę nad Menandrem przerwano mu raptownie w początkach kwietnia. Od tej chwili pogrążył się na wiele tygodni w zagadce kryminalnej, która wstrząsnęła krajem.

W śledztwie tym Vance występował jako *amicus curiae* Jana F. Markhama, nowojorskiego prokuratora okręgowego. Sprawa stała się z miejsca *cause célèbre*. W związku z tym kryminalnym rozgłosem tomik *Piosenek Matki Gęsi* znalazł

się w rękach wielu osób.

Seria niesamowitych i pozornie niezależnych od siebie wydarzeń, które złożyły się na ten morderczy proces i kazały Vance'owi zapomnieć na amen o Menandrze i monostychach greckich, zaczęła się rano 2 kwietnia w niecałe pięć miesięcy po zastrzeleniu Julii i Ady Greene.

Był cudowny dzień wiosenny, jeden z tych, jakie czasami nawiedzają Nowy Jork w początkach kwietnia. Vance siedział przy śniadaniu w ogródku na dachu swego mieszkania na East 38 Street. Dochodziło południe, Vance zwykł był pracować lub czytać do późnej nocy i wysypiać się w dzień. Żar słońca, bijący z czystego nieba, owiewał miasto mgłą letargicznej melancholii. Vance siedział niedbale w wygodnym fotelu nad śniadaniem, zastawionym na niskim stoliku, zapatrzony ni to smętnie, ni to ironicznie w szczyty drzew w głębi podwórza.

Wiedziałem, o czym myślał. Miał zwyczaj jeździć co wiosną do Francji i od dawna już w jego wyobraźni, tak jak w wyobraźni George'a Moore'a, Paryż i maj zlewały się w jedno czarowne zjawisko. Ale wielki napływ powojennych amerykańskich nouveaux riches'ow do stolicy Gallów zniechęcił go do tej przyjemności i właśnie poprzedniego dnia powiedział mi, że zostajemy na lato w Nowym Jorku.

Od wielu lat byłem przyjacielem i doradcą prawnym Vance'a, czymś w rodzaju administratora i agenta-wspólnika. Wystąpiłem z biura porad prawnych mego ojca. („Van Dine, Davis and Van Dine”), aby się poświęcić wyłącznie jego interesom. Wolałem to niż pracę w dusznym lokalu i jakkolwiek mieszkałem po kawalersku w hotelu na West Side, większą część czasu spędzałem u Vance'a.

Tego dnia stawilem się bardzo wcześnie. Zanim wstał, sprawdziłem rachunki z poprzedniego miesiąca i teraz paląc leniwie fajkę towarzyszyłem mu przy śniadaniu.

—Wiesz, Van — rzekł cedząc słowa swoim obojętnym tonem — perspektywa spędzenia wiosny i lata w Nowym Jorku nie jest ani podniecająca, ani romantyczna. Będą piekielne nudy. Ale w każdym razie będzie to mniej dokuczliwe niż podróżowanie po Europie w tłumie turystów potracających człowieka na każdym

kroku... Niech to lichy weźmie!

Nie domyślał się, jaką niespodziankę zgotuje mu los w najbliższych tygodniach. Ale gdyby się domyślał, to wątpię, czy nawet perspektywa prawdziwej przedwojennej wiosny w Paryżu zdołałaby go pociągnąć za ocean. Bowiem dla jego zachłannego umysłu nie istniało nic bardziej pożądanego niż skomplikowany problem. I właśnie w chwili, gdyśmy rozmawiali przy śniadaniu, bogowie czuwający nad jego przeznaczeniem przygotowywali dlań dziwną, fascynującą zagadkę, która poruszyła głęboko ogół i dodała do dziejów zbrodni nowy straszliwy rozdział.

Zaledwie Vance nalał sobie drugą filiżankę kawy, na tarasie ukazał się Jackson, jego stary angielski kamerdyner i totumfacki, z przenośnym telefonem w ręku.

— Pan Markham przy telefonie, proszę pana — rzekł tonem usprawiedliwienia. — Pozwoliłem sobie powiedzieć, że pan jest w domu, bo zdaje się, że to coś ważnego.

Włączył sznur i postawił aparat na stoliku ze śniadaniem.

— Dobrze, Jackson — mruknął Vance ujmując słuchawkę. — W tej przekłętej monotonii... — Urwał i zwrócił się do niewidzialnego Markhama: — Halo, przyjacielu, czy ty nigdy nie sypiasz? Właśnie zajadam omelette aux fines herbes. Może przyjdiesz do mnie na śniadanie? A może stęskniłeś się po prostu za dźwiękiem mego głosu?

Nagle umilkł i jego chuda twarz stężała w maskę powagi. Vance był typem nordyckim, o długiej twarzy, ostrych rysach, szarych, szeroko rozstawionych oczach, wąskim orlim nosie i prostym, nieco zaokrąglonym podbródku. Usta miał energiczne, mocno zarysowane, ale krył się w nich rys cynizmu i okrucieństwa, raczej śródziemnomorskiego niż nordyckiego. Twarz jego, mimo że zdecydowana i pociągająca, nie była właściwie piękna. Była to surowa twarz myśliciela i odludka, jednocześnie badawcza i zamknięta w sobie. Nic dziwnego, że ludzie od niego stronili.

Pomimo że był z natury nieprzenikniony i że umiał panować nad odruchami, zauważyłem, że telefon Markhama zrobił na nim wrażenie. Zmarszczył lekko brwi, a w oczach jego odbiło

się zdumienie. Wydał kilka swoich ulubionych okrzyków: „Zdumiewające!”, „Słowo daję!”, „Niebywałe!”, i kiedy po upływie kilku minut odpowiedział Markhamowi, w zachowaniu jego zaznaczyło się szczególne podniecenie:

— Ależ naturalnie! — zawołał. Nie wyrzekłbym się tego za wszystkie zaginione komedie Menandra... To brzmi jak szalona bajka... Zaraz się ubiorę... Au revoir!

Odłożył słuchawkę i zadzwonił na Jacksona.

— Popielaty garnitur rozkazał. Ciemny krawat i czarny pilśniowy kapelusz. — Po czym zajął się znów omletem, ale jadł z roztargnieniem.

Po chwili spojrzął na mnie z żartobliwym błyskiem w oku.

— Co też ty możesz wiedzieć o łucznictwie, Van? — zapytał.

Wiedziałem tylko tyle, że strzela się z łuku do tarczy i na tym koniec. Powiedziałem mu to.

— Niewiele można się od ciebie nauczyć — odparł, zapalając niedbale papierosa. — Ale zdaje się, że będziemy się musieli tym zająć. I ja nie jestem autorytetem w tej materii, chociaż w swoim czasie zabawiałem się łukiem w Oksfordzie. Nie bardzo to pasjonująca rozgrywka — dużo nudniejsza niż golf, też mocno skomplikowana. — Zaciągnął się w zamyśleniu papierosem. — Słuchaj, Van, może byłbyś łaskaw przynieść mi z biblioteki książkę doktora Elmera o łucznictwie! Dobrze?

Przyniosłem żadaną książkę. Spędził nad nią prawie pół godziny. Przejrzał rozdziały o związkach łuczniczych, o zawodach i meczach i przestudiował długą listę najlepszych amerykańskich wyników. W końcu znalazł widocznie to, czego szukał, bo rozsiadł się w fotelu i twarz jego przybrała wyraz skupionego namysłu.

— Czyste szaleństwo, Van — zauważył patrząc w przestrzeń. — Średniowieczna tragedia we współczesnym Nowym Jorku! Nie nosimy już koturnów i skórzanych kaftanów, a jednak... Na Jowisza! — Wyprostował się nagle na siedzeniu. — Nie, nie! To absurd! Straszna opowieść Markhama podziałała mi na nerwy...

Napił się znów kawy, lecz wyraz jego oczu świadczył, że

opętała go jakaś myśl, z której nie mógł się otrząsnąć.

Jeszcze cię o jedno poproszę, Van — rzekł po chwili milczenia. — Przynieś mi słownik niemiecki i Burtona E. Stevensona *Home Book of Verse*.

Przyniosłem obie książki. Poszukał jakiegoś słowa i odsunął słownik.

— To to, na nieszczęście, chociaż i tak wiedziałem.

Następnie otworzył olbrzymią antologię Stevensona i poszukał działu obejmującego dziecinne piosenki i wierszyki. Po kilku minutach lektury zamknął i tę książkę i, rozciągnąwszy się w całej długości na fotelu, wydmuchnął w górę spiralną wstążkę dymu.

— To nie może być prawda — rzekł jakby do siebie.

Zbyt niesamowite, zbyt szatańskie, zbyt niedorzeczne... Fantastyczna baśń w krwawej interpretacji — świat w anamorfozie — perwersja zdrowego rozsądku. Niewyobrażalne, bezsensowne, coś jak czarna magia i czary. Czyste szaleństwo! Czyste szaleństwo!

Spojrzał na zegarek i poszedł się ubrać, a ja pogрузyłem się w domysłach. Jaka mogła być przyczyna jego niezwykłego wzburzenia? Traktat o łucznictwie, słownik niemiecki, zbiór wierszy dla dzieci i niezrozumiałe uwagi Vance'a na temat obłądki i fantazji — co to wszystko mogło znaczyć? Spróbowałem znaleźć dla tych rzeczy jakiś wspólny mianownik — bez skutku. I nic dziwnego, bo nawet prawda, gdy w wiele tygodni później wyszła na jaw, to pomimo niezbitych dowodów okazała się dla normalnych umysłów zbyt niewiarygodna, zbyt zbrodnicza, po prostu nie do przyjęcia.

Vance przerwał po chwili moje jałowe rozmyślenia. Był ubrany do wyjścia, zniecierpliwiony, że Markham się spóźnia.

— Wiesz, pragnąłem czegoś interesującego, na przykład jakiegoś fascynującego morderstwa rzekł — ale słowo daję, nie marzyło mi się nic aż tak koszmarnego. Gdybym nie znał Markhama, powiedziałbym, że buja.

Kiedy w kilka minut później zjawił się na tarasie Markham, jego posępna powaga zrobiła na nas wrażenie. Był głęboko poruszony. On, co zawsze witał się tak serdecznie, zaledwie



skinął nam głową. Markham i Vance byli bliskimi przyjaciółmi od lat piętnastu, chociaż stanowili typy biegunowo odmienne o ile jeden był surowy, agresywny, porywczy, obcesowy i aż za poważny, o tyle drugi kapryśny, cyniczny, dobroduszny i nie wierzący w złudne realia życia — to jednak znajdowali w sobie nawzajem ten urok przeciwieństwa, który stanowi często podstawę głębokiej, nierozzerwalnej przyjaźni.

Markham, który prawie od półtora roku piastował godność okręgowego prokuratora w Nowym Jorku, często wzywał do siebie Vance'a, zdając się na jego sąd w sprawach doniosłej wagi. I nigdy się na nim nie zawiódł. Istotnie, w ogromnej większości wypadków zasługa rozwiązania tajemnic kryminalnych, z jakimi Markham miał do czynienia pod koniec swej czteroletniej kadencji, przypadła li tylko Vance'owi. Znajomość natury ludzkiej, szerokie odczytanie, ogromna kultura, wybitny zmysł logiczny i zdolność odnajdywania prawdy pod osłoną pozorów czyniły go pierwszorzędnym detektywem. Pracy tej poświęcał się nieoficjalnie za urzędową aprobatą Markhama.

Pierwszy występ Vance'a miał miejsce w związku ze sprawą morderstwa Alvina Bensona. Gdyby nie on, wątpię, czy zagadka tego mordu w ogóle by się wyjaśniła. Później przyszła kolej na słynną sprawę Margaret Odell, w której zwykle metody śledcze skończyłyby się nieuniknionym fiaskiem. Wreszcie w ubiegłym roku mieliśmy zdumiewający, zbiorowy mord w rodzinie Greene'ów, który pozostałby nie wykryty, gdyby nie Vance.

Nic też dziwnego, że znalazłszy się u progu nowej tajemnicy, Markham zwrócił się bez namysłu do Vance'a. Zauważyłem, że jego zaufanie do przyjaciela spotęgowało się z biegiem czasu. A i w obecnej sprawie bez pomocy przyjaciela nie dałby sobie z pewnością rady. Ponurą zagadkę obłąkańczej intrygi mógł rozwiązać tylko człowiek znający tak głęboko jak Vance psychologię anormalnych objawów umysłu ludzkiego.

—To wszystko może się okazać kompletnym głupstwem — zauważył bez przekonania Markham. — Ale pomyślałem sobie, że może cię zainteresuje...

—No chyba! — Vance posłał przyjacielowi sardoniczny uśmiech. — Usiądź na chwilę i opowiedz mi całą rzecz po kolei. Trup nie ucieknie. Przede wszystkim, zanim przystąpimy do oględzin zwłok, trzeba zestawić fakty w jakimś logicznym porządku. Powiedz mi, na przykład, jakie osoby wchodzi w grę? I dlaczego taki pośpiech z tą sprawą już w godzinę po zabójstwie? To, co mi dotąd powiedziałeś, wygląda wprost absurdalnie.

Markham przysiadł na brzeżku krzesła. Posepnie zamyślony, wpatrywał się w koniec swego cygara.

—Do licha! Vance! Nie rób z tego rebusu w rodzaju „Tajemnic Udolpha”! Zbrodnia —jeżeli to jest zbrodnia — przedstawia się całkiem jasno. Przyznam, że morderca wybrał niezwykle sposób wyprawienia na tamten świat swojej ofiary, ale nie ma w tym nic bezsensownego. W ostatnich czasach łucznictwo ogromnie weszło w modę. Uprawiają je prawie we wszystkich miastach i college’ach amerykańskich.

— Zgoda, tylko że zabijanie z łuku gilów dawno wyszło ze zwyczajów.

Oczy Markhama zwięzły się w dwie szparki. Spojrzał badawczo na Vance’a.

— Więc i tobie to przyszło do głowy?

— Czy mi przyszło do głowy? Wskoczyło, nie przyszło, i to momentalnie, jak tylko wymieniłeś nazwisko ofiary.

— Zaciągnął się dymem. - „Kto zabił gila?” I to jeszcze strzałą z łuku... Dziwna rzecz, jak się pamięta wierszyki wyuczone w dzieciństwie! Czy nie daje ci to do myślenia?

— Nie! — Markham o mało nie splunął. Nazwisko zmarłego jest dość pospolite i należy się tylko dziwić, że więcej ludzi nie padło ofiarą dzisiejszej manii łucznictwa. Ponadto jest bardzo prawdopodobne, że śmierć Gila była przypadkowa.

— Wielkie nieba! Vance pokiwał krytycznie głową.

— Taki fakt, choćby nawet był prawdziwy, nie tylko by nie rozjaśnił sytuacji, ale uczynił ją tym dziwniejszą. Pomyśleć tylko, żeby spośród tysięcy entuzjastów łucznictwa miał być zabity strzałą, przypadkowo, właśnie ten, który nazywał się Robin Gil. Takie przypuszczenie graniczyłoby ze spirytyzmem

czy demonologią. Czy ty czasami nie wierzysz w Eblisa i Azazela i inne demony, które szwendają się po świecie, płatając ludzkości szatańskie figle?

— Czyż trzeba być koniecznie mahometańskim mitologiem, żeby uznawać zbiegi okoliczności? — odparł cierpko Markham.

— Mój drogi, ta ilość zbiegów okoliczności nie sięga w nieskończoność. Ostatecznie istnieją prawa prawdopodobieństwa, oparte na zupełnie określonych formułach matematycznych. Smutno by mi było pomyśleć, że tacy ludzie, jak Laplace, Czuber i von Kries żyli na próżno. Obecna sytuacja jest jednak bardziej powikłana, niż przypuszczasz. Wspomniałeś na przykład przez telefon, że ostatnim człowiekiem, którego widziano z Robinem Gilem przed morderstwem, jest niejaki Sperling.

— I jakież ezoteryczne znaczenie może mieć ten prosty fakt?

— Może wiesz, co znaczy po niemiecku Sperling? — podsunął słodko Vance.

— Ukończyłem przecież wyższe studia — odparł gniewnie Markham.

Nagle oczy jego otworzyły się szerzej, a cały jakby zeszywniał. Vance podsunął mu słownik niemiecki.

— Na wszelki wypadek sprawdź. Bądźmy sumienni. Sam sprawdzałem. Bałem się, że wyobraźnia płata mi figla, i chciałem ten wyraz zobaczyć czarno na białym.

Markham otworzył w milczeniu słownik i przebiegł oczami stronice. Przez kilka chwil patrzył osłupiałym wzrokiem na ten wyraz, po czym otrząsnął się, jakby broniąc się przed obsesją. Gdy się odezwał, głos jego brzmiał z lekka wyzywająco:

— Sperling znaczy „wróbel”. Wie o tym każdy uczeń. I cóż z tego?

— Ano, tak! — Vance zapalił od niechcienia drugiego papierosa. — I każdy uczeń zna starą dziecinną piosenkę pod tytułem „Śmierć i pogrzeb gila”, prawda? — Spojrzał przenikliwie na Markhama, który stał nieruchomo, patrząc na wiosenne promienie słońca. — Ponieważ udajesz, że nie znasz tej klasycznej dziecinady, pozwól, że ci zacytuję pierwszą

strofkę.

Vance wygłosił początek znanego wierszyka, a mnie przeszedł zimny dreszcz, jakby od czyjejś upiornej obecności.

Kto to, kto to zabił gila?

„Kto? — rzekł wróbel. — Ja! Bez huku,

Z cichym świstem, strzałą z łuku

Ja zabiłem! Ja zabiłem!”

## ROZDZIAŁ II NA TORZE ŁUCZNICZYM

(Sobota, 2 kwietnia, 12.30 w południe)

Markham podniósł z wolna oczy na przyjaciela.

— To szaleństwo — rzekł tonem człowieka, który stanął przed niepojętą i przerażającą tajemnicą.

— Sza! — Vance machnął niedbale ręką. — Plagiat. Ja sam to powiedziałem w pierwszej chwili. — (Silił się na żartobliwy ton, żeby opanować zdenerwowanie.) — A dalej powinna być jeszcze jakaś kochanka, oplakująca zgon pana Robina Gila. Pamiętasz może strofkę:

Kto żałobę będzie nosił?  
„Ja — odrzekła gołąbeczka. —  
Płaczę mego kochaneczka,  
Ja żałobę będę nosić”.

Markham poruszył lekko głową i zaczął bębnić palcami po stole.

— Na Boga, Vance! Jest dziewczyna. Całkiem możliwe, że tu wchodzi w grę zazdrość.

— Doprawdy! Obawiam się, że ta sprawa przeobrazi się w tableau-vivant, ale dla dorosłych. To nam ułatwi zadanie. Powinna się jeszcze znaleźć mucha.

— Mucha?

— Mówiąc pedantycznie: *Musca domestica*... Czy zapomniałeś, mój drogi?

A kto widział, jak umierał?  
„Ja — odrzekła muszka mała. —  
Dobrzem oczka otwierała  
I widziałam, jak umierał”.

—Zstąp na ziemię! — rzucił ostro Markham. — To nie

dziecinna zabawa, to sprawa piekielnie poważna.

Vance kiwnął z roztargnieniem głową.

— Dziecinna zabawa bywa nieraz najpoważniejszą sprawą życia — zauważył dziwnie poważnym tonem.

— Nie podoba mi się to wszystko, okropnie mi się nie podoba! Za dużo w tym z dziecka — dziecka, które urodziło się stare i obłąkane. Jakaż ohydna perwersja!

— Zaciągnął się znów dymem i otrząsnął lekko, jakby z odrazą. — Proszę o szczegóły. Chciałbym się zorientować w tym niesamowitym zamęcie.

Markham usiadł.

— Niewiele tych szczegółów. Powiedziałem ci właściwie wszystko przez telefon. Stary profesor Dillard dzwonił do mnie chwilę przedtem, zanim ja zatelefonowałem do ciebie.

— Dillard? Czy nie Bertrand Dillard?

— Właśnie on. Tragedia rozegrała się w jego domu. Znasz go?

— Osobiście nie, tylko ze słyszenia, tak jak cały świat naukowy, jako jednego z największych współczesnych matematyków-fizyków. Mam większość jego dzieł. Jak się to stało, że on zwrócił się do ciebie osobiście?

— Znam go od prawie dwudziestu lat. Studiowałem pod jego kierunkiem matematykę na uniwersytecie Columbia, a później zetknąłem się z nim jako prawnik. Zadzwonił do mnie, jak tylko znaleziono ciało Gila—około wpół do dwunastej. Wezwałem sierżanta Heatha z wydziału zabójstw i przekazałem mu sprawę, mówiąc, że sam przyjdę później. Następnie zatelefonowałem do ciebie. Sierżant i jego ludzie czekają na mnie u Dillarda.

— Opowiedz mi coś o jego domu.

— Profesor, jak zapewne wiesz, już nie wykłada. Mieszka na West 75 Street razem z bratanicą, którą wziął do siebie, gdy miała lat piętnaście. Teraz ma pewnie ze dwadzieścia pięć. Mieszka z nimi wychowanek profesora, a mój kolega szkolny, Sigurd Arnesson. Profesor adoptował go jako młodzieńca. Arnesson ma teraz około czterdziestki i wykłada matematykę na Columbii. Pochodzi z Norwegii, którą opuścił jako trzyletnie dziecko. W pięć lat później stracił rodziców.

Uchodzi za geniusza matematycznego i pewnie dlatego Dillard go adoptował, w nadziei, że będzie z niego wielki fizyk.

—Słyszałem o Arnessonie — rzekł Vance. Wydał niedawno przyczynki do teorii elektrodynamicznej Mie'a w odniesieniu do ciał w ruchu. Czy ta trójka, profesor, Arneson i dziewczyna, mieszka sama?

—Nie. Jest dwoje służby. Dillard jest podobno dość zamożny i bardzo towarzyski. Dom jego stanowi niejako świątynię czy cenacle dla matematyków. Ponadto panna ma swoich własnych przyjaciół i jest miłośniczką sportów. Byłem u nich kilka razy i zawsze kogoś zastałem albo paru poważnych uczonych na górze w bibliotece, albo hałaśliwe młode towarzystwo w salonie na dole.

—A Robin Gil?

—Należał do kółka panny Belli Dillard. Był to dobrze wychowany pan, już nie pierwszej młodości. Łucznik-rekordzista.

Wiem. Znalazłem jego nazwisko w tej książce. Robin Gil, jak się zdaje, uzyskał świetne wyniki na kilku zawodach o mistrzostwo. Stwierdziłem również, że Sperling uzyskał drugie miejsce na kilku większych turniejach. Czy panna Dillard także jest łuczniczką?

—O! zapaloną entuzjastką! To ona zorganizowała ostatnio Klub Łuczniczy na Riverside. Stałe tory znajdowały się przy domu Sperlinga na Scarsdale, ale oprócz tego panna Dillard urządziła tor ćwiczebny na podwórzu koło domu profesora. I tam właśnie został zabity Gil.

—Aha! I jak mówiłeś, widziano go przed śmiercią w towarzystwie niejakiego Sperlinga. Gdzie się ten wróbel obecnie obraca?

—Nie wiem. Był z Gilem na krótko przed tragedią, ale potem zniknął. Pewnie Heath będzie coś o nim wiedział.

— A przypuszczalny motyw zazdrości? Wspomniałeś coś...

Vance spuścił powieki. Palił niby to niedbale, ale zaciągał się mocno, co było u niego znakiem, że słucha z głębokim zainteresowaniem.

— Profesor Dillard dał mi do zrozumienia, że Robin Gil i jego bratanica byli w sobie zakochani. Na moje pytanie, w jakim charakterze bywał u niego Sperling, odpowiedział, że również starał się o rękę Belli. Nie mogłem się wypytywać przez telefon, ale odniosłem wrażenie, że Robin i Sperling rywalizowali ze sobą i że Robin miał większe szanse.

— I w rezultacie wróbel zabił gila. — Vance potrząsnął z powątpiewaniem głową. Nie. To za proste i nie wyjaśnia szatańsko doskonałej rekonstrukcji piosenki o gilu. W tej groteskowej tajemnicy kryje się coś głębszego, coś groźniejszego. Ale, ale, kto znalazł ciało zabitego?

— Sam Dillard. Wszedł na niewielki balkon w tyle domu i zobaczył Robina, leżącego na torze i przebitego strzałą. Zszedł natychmiast na dół — z wielką trudnością, bo cierpi na podagrę — i stwierdziwszy, że nieborak nie żyje, zatelefonował do mnie. Oto wszystko, co wiem na razie.

— Nie powiem, żeby to była oślepiająca iluminacja, ale i to coś mówi. — Vance wstał. — Markham, kochasiu, przygotuj się na niebywałą sensację. Wypadek i zbieg okoliczności wyłączam. Prawda, że zwykła strzała z miękkiego drzewa, zaopatrzona w skośnie przycięte piórka, mogłaby z łatwością przebić ubranie i klatkę piersiową, nawet przy użyciu średniego łuku, jednak fakt, że człowiek nazwiskiem Wróbel zabił człowieka nazwiskiem Gil „strzałą z łuku” wyklucza wszelkie przypadkowe powiązanie faktów. Przeciwnie, tak niewiarygodny splot zdarzeń dowodzi niezbicie, że w tym wszystkim kryje się subtelna, szatańska celowość. — Ruszył ku drzwiom. — Chodź, musimy się dowiedzieć czegoś więcej na situs criminis, jak to uczenie nazywa austriacka policja.

Wsiedliśmy do samochodu Markhama. Wjechaliśmy do Central Parku od strony Fifth Avenue, a wyjechali przez bramę przy 72 Street. W kilka minut później skręciliśmy w 75 Street. Dom Dillarda, oznaczony numerem 391, znajdował się już bliżej rzeki, od której oddzielała go ogromna piętnastopiętrowa kamienica. W cieniu jej wydawał się kurczącym się pod skrzydła kwoki.

Zbudowany z szarego kamienia wapiennego, pociemniały od



starości, pochodził z tej epoki, kiedy domy stawiano solidnie, z myślą o wygodzie mieszkańców. Plac, na którym się wznosił, miał trzydzieści pięć stóp długości, a sam dom dwadzieścia pięć stóp.

Niezbyt szeroka uliczka oddzielała go od sąsiedniej kamienicy. Tę uliczkę zamykał od strony ulicy kamienny mur wysoki na dziesięć stóp z dużą żelazną furtką pośrodku. Dom był zbudowany w stylu kolonialnym, niezupełnie wiernie. Kilka niskich stopni prowadziło od ulicy do wąskiego, obłożonego cegłą ganku, wspartego ozdobnie na czterech białych korynckich kolumnach. Okna drugiego piętra miały prostokątne szyby, oprawione w ołów. (Dowiedziałem się później, że były to okna biblioteki.)

Rezydencja miała uroczy staroświecki wygląd. Nie chciało się wierzyć, że mogła być widownią straszliwego mordu. Przed wejściem stały dwa samochody policyjne, a na ulicy zebrała się gromadka gapiów. Wsparty o żłobkowaną kolumnę portyku policjant obserwował ich pogardliwie ze znużoną miną.

Stary służący otworzył nam i wprowadził do salonu, po lewej stronie hallu, gdzie czekał sierżant Ernest Heath w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy z wydziału zabójstw. Sierżant stał na środku salonu koło stołu, z palcami założonymi za kamizelkę, pod pachami, z cygarem w ustach. Na widok Markhama jego zimne, posępne, niebieskie oczy rozjaśniły się przyjacielsko. Podszedł z wyciągniętą ręką.

—Cieszę się, że pana widzę, panie prokuratorze —rzekł. — Czekałem na pana. W tej sprawie jest coś diabelnie podejrzanego.

Spostrzegł Vance'a, który przystanął w głębi, i jego szeroka zadzierzysta twarz zmarszczyła się w dobrodusznym uśmiechu.

— Jak się pan ma, panie Vance? Miałem przecucie, że wciągną pana w ten interes. Co pan porabiał od czasu, jakeśmy się widzieli? Ton sierżanta był teraz przyjacielski, co mnie uderzyło. Byłem świadkiem ich pierwszego spotkania przy okazji innej zbrodni. I wtedy Heath potraktował Vance'a prawie wrogo. Od tego czasu wywiązała się między nimi serdeczna przyjaźń, oparta na wzajemnym szacunku i

zachwycie, bo poznali się na sobie.

Vance wyciągnął rękę. Uśmiechnął się lekko.

— Powiem prawdę, sierzancie. Usiłowałem doszukać się jakoś zaginionej sławy Ateńczyka nazwiskiem Menander. Był to dramaturg, rywal Filemona. Idiotyzm, co?

Heath chrząknął pogardliwie.

— No, jeżeli pan i w tej robocie taki sprawny, jak w demaskowaniu oszustów, to pan znajdzie złodzieja.

Był to pierwszy w swoim rodzaju komplement, jaki słyszałem z ust sierżanta. Świadczył on zresztą nie tylko o podziwieniu dla Vance'a, ale również o zupełnej bezradności mówiącego.

Markham wyczuł to i zapytał szybko:

— Jaką właściwie trudność przedstawia obecna sprawa?

— Nie mówiłem o żadnej trudności, proszę pana odparł Heath. — Zdaje mi się, że mamy tego ptaszka, który dopuścił się mordu. Ale coś tu jest nie tak. Do ciężkiej cholery, to rzecz nie do pojęcia! Ani za grosz sensu!

— Rozumiem, co pan ma na myśli Markham spojrzał na Heatha z uznaniem. Więc pan podejrzewa Sperlinga?

— Pewnie, że on zabił — oświadczył z naciskiem Heath. — Ale nie to mnie niepokoi. Prawdę mówiąc, nie podoba mi się nazwisko tego faceta, którego zakatrupili — zwłaszcza że zakatrupili go strzałą z łuku... — Zawahał się, jakby trochę zawstydzony. — Czy i pana to nie uderzyło, panie prokuratorze?

Markham kiwnął z zakłopotaniem głową.

— Widzę, że i pan pamięta dziecinne bajki — rzekł odchodząc.

Vance popatrzył na Heatha żartobliwie.

— Nazwał pan przed chwilą Sperlinga „ptaszkiem”, sierzancie. I bardzo słusznie. Sperling po niemiecku to „wróbel”. Pamięta pan, że gila zabił z łuku wróbel... Ciekawe, co?

Sierżant wybałuszył oczy, otworzył usta i utkwiał w twarzy Vance'a nad wyraz zdumione spojrzenie.

— A nie mówiłem, że to coś diabelskiego?

— Ja powiedziałbym raczej: coś perwersyjnie ludzkiego.

— Pan zawsze powie coś takiego, czego nikt nie rozumie odciął się Heath. Miał to do siebie, że rzeczy niezrozumiałe wprawiały go w stan zaczepnej irytacji.

Markham wtrącił dyplomatycznie:

— Przystąpmy do sprawy, sierżancie. Przesłuchiwał pan wszystkich domowników? Przypuszczam, że tak.

— Z grubsza, panie prokuratorze — Heath przerzucił nogę przez róg stołu i zapalił ponownie zgasłe cygaro.

Czekałem z tym na pana. Wiem, że pan zna starego profesora. Ograniczyłem się do wstępnych formalności. Zostawiłem człowieka przy zwłokach na straży, żeby nikt nie dotykał, dopóki nie przybędzie doktor Doremus.<sup>1</sup>

Tylko go patrzeć. Jadł śniadanie. Przed wyjściem z biura telefonowałem jeszcze po daktyloskopów powinni być lada chwila, choć nie wydaje mi się, żeby się tu mogli na coś przydać.

—A ten łuk, z którego zabito Gila? Macie go? - wtrącił Vance.

—To najważniejsze pytanie! Niestety, pan Dillard przyznał się, że go podniósł i zabrał do domu. Jeżeli były na nim jakie odciski palców, to je pewnie zatarł.

—A co ze Sperlingiem? — zapytał Markham.

—Dowiedziałem się jego adresu mieszka za miastem koło Westchester. Posłałem po niego ludzi. Następnie przesłuchałem służbę — tego starego, który panom otworzył, i jego córkę, kobietę w średnim wieku. Służą tu jako kucharka. Żadne z nich nic nie wie, chyba że udają. Potem próbowałem pomówić z panną Dillard. Sierżant podniósł ręce gestem gniewnej rozpacz. — Ale ona, załamana, płacze... Pomyślałem sobie, że panom zostawię przyjemność jej przesłuchania. Snitkin i Burkę — wskazał palcem dwóch detektywów stojących koło frontowego okna — przeszukali sutereny, alejkę i podwórze, ale nie natrafili na nic godnego uwagi. I na tym koniec. Ale niech tylko zjawi się Doremus i daktyloskopowie i niech tylko pomówię tak od serca ze

---

<sup>1</sup>Doktor Emanuel Doremus — w owym czasie naczelnny lekarz, policji nowojorskiej.

Sperlingiem, zaraz nam się tu rozjaśni.

Vance głośno westchnął.

— Jakiż z pana optymista, sierżancie. Niech pan się nie zdziwi, jeżeli wszystko się jeszcze bardziej pogmatwa. W tym szalonym pomysle jest coś, co zakrawa na aberrację. O ile się nie mylę, będzie pan jeszcze długo grał w ślepią babkę.

— Co? — Heath posłał Vance'owi przenikliwie smętne spojrzenie. Jasne było, że jest tego samego zdania.

Nie daj się pan zniechęcić panu Vance'owi, sierżancie — zażartował Markham. — To człowiek ze zbyt bujną wyobraźnią. — Wykonał niecierpliwy ruch w kierunku drzwi. A teraz, zanim tamci przyjdą, rozejrzyjmy się w terenie. Potem pomówię z profesorem Dillardem i resztą domowników. Ale, ale, sierżancie, nie wspominał pan wcale o Arnessonie. Czy go nie ma?

— Jest na uniwersytecie, ale zaraz tu będzie.

Markham skinął głową i wyszedł za sierżantem do głównego hallu. W chwili gdyśmy przechodzili przez wyłożony grubym dywanem pasaż, na schodach rozległy się kroki i w półmroku zabrzmiał głos kobiety, wyraźny, lecz trochę drżący:

— Czy to pan Markham? Stryj usłyszał głos pana, czeka w bibliotece.

— Proszę powiedzieć stryjowi, że będę mu służył za kilka minut. — Markham mówił życzliwie, niemal ojcowskim tonem. I pani niech też będzie łaskawa przyjść, bo chciałbym pomówić z panią.

Odpowiedziała półgłosem: — Dobrze! i znikła na zakręcie schodów.

Poszliśmy do drzwi na tyłach domu. Za drzwiami znajdował się wąski korytarzyk, skąd drewniane schodki prowadziły do sutereny, ogromnej, niskiej, wychodzącej na tor łuczniczy. W uchylonych drzwiach piwnicy stał detektyw, wyznaczony przez Heatha do pilnowania ciała.

Suterenę tę przerobiono na salę klubową. Betonowa podłoga zasłana była matami, a jedna ściana pokryta całkowicie malowidłami, wyobrażającymi panoramicznie rozwój łucznictwa. Umebłowanie składało się z fortepianu, fonografu,

wyplatanych krzesel i stołu oraz barwnej sofy. Na środku stał ogromny wyplatany stół zarzucony czasopismami sportowymi. Pod ścianą stała mała szafka wypełniona książkami o łucznictwie. W jednym kącie leżało kilka tarcz, których złociste koła i koncentryczne kolorowe kręgi grały barwnie w blaskach słońca, wdzierającego się przez tylne okna. Ściana koło drzwi zawieszona była długimi łukami najrozmaitszej wielkości i wagi, a obok stała wielka staroświecka komoda z narzędziami. Nad skrzynią wisiała niewielka szafka, w której znajdował się wszelkiego rodzaju drobny sprzęt, jak: mankiety, rękawice łucznicze, piórka, groty i cięciwy. Na dużej dębowej tablicy, umieszczonej między drzwiami i zachodnim oknem, widniała ogromnie różnobarwna i niesłychanie interesująca kolekcja strzał, jaką rzadko można zobaczyć.

Tablica ta zwróciła uwagę Vance'a. Poprawiwszy monokl podszedł bliżej.

—Strzały wojenne i myśliwskie — zauważył. Zachwycające! Ach... Jedno trofeum znikło. Zdejmowano widocznie w wielkim pośpiechu, bo mosiężny haczyk zgiął się.

Na podłodze stało kilka kołczanów, wypełnionych strzałami ćwiczebnymi. Pochylił się i, wyjąwszy jedną, podał ją Markhamowi.

—Nie wydaje się, żeby ta krucha strzała mogła przebić ludzką pierś. Jednakże taka strzała, wypuszczona z odległości osiemdziesięciu kroków, przebije na wylot jelenia... Po cóż więc zabrano z kolekcji strzałę myśliwską? Ciekawe!...

Markham zmarszczył brwi i zacisnął wargi. Zrozumiałem, iż czepiał się złudnej nadziei, że tragedia okaże się zupełnie przypadkowa. Rzucił niechętnie strzałę na krzesło i podszedł do drzwi wyjściowych.

—Obejrzymy teraz ciało i rozpatrzemy się w terenie — rzekł burkliwie.

Wynurzyliśmy się na ciepłe wiosenne światło. Jakże tu było pusto! Wąska brukowana uliczka przypominała kanion, zamknięty między stromymi kamiennymi ścianami. Poziom bruku był niższy od ulicy o jakie pięć stóp i do furtki w murze prowadziły schodki. Pusta bezokienna ściana sąsiedniej

kamienicy wznosiła się na wysokość stu pięćdziesięciu stóp, dom Dillarda zaś miał cztery wysokie kondygnacje, co równało się dzisiejszym sześciu. Mimo że znajdowaliśmy się w samym centrum Nowego Jorku, nikt nie mógł nas widzieć, gdyż widok na miejsce zbrodni otwierał się jedynie z paru bocznych okien domu Dillarda i z oszklonego wykuszu na drugim piętrze domu, od 76 Street, którego podwórze graniczyło z torem łuczniczym Dillarda.

Ten drugi dom, jakeśmy się wkrótce dowiedzieli, należał do niejkiej pani Drukker i miał odegrać w rozwiązaniu tajemnicy zabójstwa Robina Gila ważną i tragiczną rolę. Tyłne okna zasłaniała grupa wysokich wierzb, tak że widok na tę część toru, na którym dokonano mordu, można było mieć tylko z okien bocznego wykuszu.

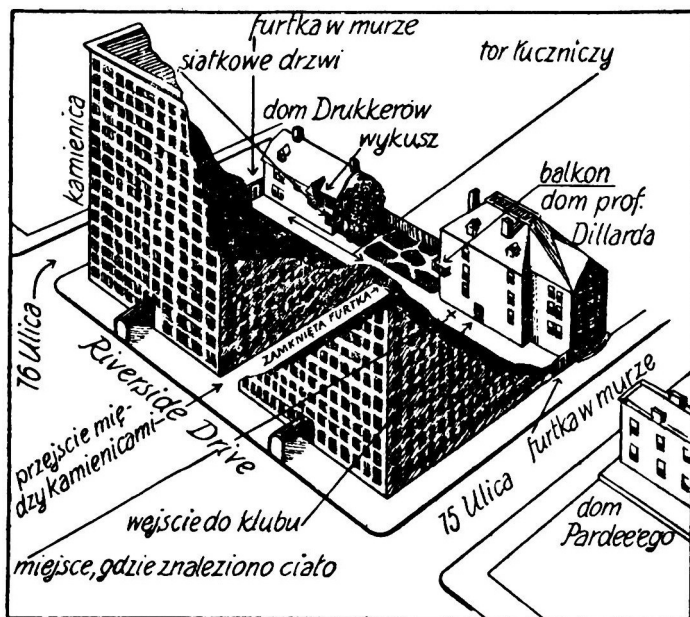
Zobaczyłem, że Vance zwrócił na nie uwagę i że w jego oczach zabłysła iskra zaciekawienia, ale dopiero po południu udało mi się odgadnąć, co go tam zainteresowało.

Tor łuczniczy ciągnął się od muru wychodzącego na 75 Street koło domu Dillarda do takiegoż muru koło domu Drukera, wychodzącego na 76 Street, gdzie na piasku ustawiono cel w postaci bel siana. Odległość między murami wynosiła dwieście stóp, co umożliwiło urządzenie toru łuczniczego, na którym miały miejsce wszystkie zawody z wyjątkiem nowojorskich rozgrywek dla mężczyzn.

Parcela Dillarda miała sto trzydzieści pięć stóp długości, wobec czego na parcelę Drukkerów wypadało sześćdziesiąt pięć stóp. Część wysokiego żelaznego parkanu, przedzielającego dwa podwórza, usunięto w miejscu, gdzie przecinał wolną przestrzeń, obecnie zamienioną na tor łuczniczy. U dalszego końca toru, równoległe do posiadłości Drukkerów, wznosiła się druga ogromna kamienica na rogu 76 Street i Riverside Drive. Między tymi dwoma gigantami biegła wąska alejka, zamknięta od strony toru wysokim drewnianym parkanem z małą furtką, zamykaną na klucz.

Dla lepszej orientacji dołączam do opisu diagram sceny mordu, gdyż układ szczegółów topograficznych i architektonicznych odegrał wielką rolę w rozwiązaniu

zbrodniczej zagadki. W szczególności chciałbym zwrócić uwagę czytelników na następujące szczegóły: przede wszystkim na balkonik na drugim piętrze domu Dillarda, wychodzący na tor łuczniczy, następnie na wykusz na drugim piętrze domu Drukkerów; (z południowego węgła tego domu otwiera się widok na cały tor łuczniczy w kierunku 75 Street); wreszcie na alejkę między kamienicami, prowadzącą od Riverside Drive na tyły domu Dillarda.



Ciało Robina Gila leżało prawie pod samymi drzwiami klubowej sutereny, na wznak, z rozpostartymi rękoma, podciągniętymi lekko nogami i głową zwróconą ku 76 Street. Był to mężczyzna lat może trzydziestu pięciu, średniego wzrostu, który już zaczął tyć. Pełna, okrągła twarz była gładko wygolona z wyjątkiem wąskiego paska jasnych wąsów. Miał na sobie sportowy garnitur z jasnoszarej flaneli, niebieskawą jedwabną koszulę i brązowe trzewiki o grubych gumowych podeszwach. Jasny pilśniowy kapelusz leżał tuż przy nogach.

Obok ciała czerwieńnięła się duża kałuża zakrzepłej krwi, rozlanej w formie ogromnej, wskazującej na coś ręki. Ale rzeczą, która przykuła przede wszystkim naszą uwagę i przejęła nas zgrozą, była cienka strzała, tkwiąca prostopadłe w piersi zmarłego z lewej strony. Wystająca jej część miała może dwadzieścia cali. W miejscu, gdzie wbiła się w ciało, widniała duża krwawa plama. Co nadawało temu dziwnemu mordowi jeszcze bardziej niesamowity charakter, to pęk pięknych jasnoczerwonych farbowanych piór, zdobiących strzałę. Na pręcie jaśniały dwa turkusowe prążki, niby galowa ozdoba. Miałem nierealne uczucie, tak jakbym patrzył nie na tragedię, lecz na dziecinne widowisko.

Vance przyglądał się ciału z przymkniętymi powiekami i rękoma w kieszeniach płaszcza. Pomimo tej pozornie niedbałej postawy, czułem, że mózg jego pracuje z natężeniem, zestawiając dostrzeżone fakty.

— Dziwna to strzała! — zaczął. — Przeznaczona na grubą zwierzynę... Niewątpliwie należy do oglądanej przez nas kolekcji etnologicznej. I celnie wypuszczona — nadzwyczajnie — prosto w serce między żebra bez najmniejszego odchylenia... Nadzwyczajnie!... Słuchaj, Markham, taka celność jest po prostu nadludzka. Taki udany strzał mógł się zdarzyć przypadkowo, ale przecież zabójca tego eleganta nie zdawał się na los szczęścia. Ta potężna strzała myśliwska, najwidoczniej zerwana w pośpiechu z tablicy, wskazuje na premedytację. — Nagle pochylił się nad ciałem. A! Bardzo interesujące! Nasada strzały jest złamana. Wątpię, czyby się jeszcze dała użyć.

— Zwrócił się do Heatha: — Sierzancie, gdzie profesor Dillard znalazł łuk? Niedaleko okna klubu, co?

Heath drgnął.

— Tuż pod oknem, proszę pana. Leży na fortepianie. Czekamy na daktyloskopów...

— Obawiam się, że znajdą co najwyżej odciski palców profesora. — Vance otworzył papierośnicę. — Skłonny jestem przypuszczać, że na strzale nie ma odcisków palców.

Heath przyglądał mu się badawczo.



— Z czego pan wywnioskował, że łuk leżał koło okna, panie Vance? — zapytał.

— Logiczny wniosek, zważywszy na położenie ciała zabitego.

— A więc zastrzelono go z bliska?

Vance potrząsnął głową.

— Nie, sierzancie. Mnie uderzyło, że nogi ofiary zwrócone są ku drzwiom sutereny i podgięte, chociaż ręce są rozpostarte. Czy w ten sposób upadłby człowiek, który by dostał strzałę w serce? Jak się panu zdaje?

Heath zastanowił się chwilę.

— Nieee — rzekł w końcu. — Byłby raczej skurczony albo, gdyby upadł na wznak, nogi miałyby wyprostowane, a ręce przy sobie.

— Dobrze. A teraz spójrz pan na kapelusz. Gdyby upadł na wznak, kapelusz leżałby koło głowy, a nie koło nóg.

— Słuchaj, Vance — zapytał ostro Markham — co ty właściwie masz na myśli?

— O, mnóstwo rzeczy, a wszystkie wskazują na nieracjonalną hipotezę, że ten nieszczęśliwiec bynajmniej nie zginął od łuku i strzały.

— Więc w jakim celu, na miłość boską...

— Właśnie. W jakim celu ta cała wyszukana obłąkańcza inscenizacja? Słowo daję, Markham, to jest upiorna zagadka!

W tej chwili otworzyły się drzwi sutereny i z ich mrocznej głębi wynurzył się żwawo doktor Doremus w towarzystwie detektywa Burke'a. Podał nam wszystkim rękę i zwrócił się z żartobliwą irytacją do Heatha:

— Do licha, sierzancie — poskarżył się, przesuwając kapelusz jeszcze bardziej na bakier. — Na dwadzieścia cztery godziny tylko trzy spędzam przy stole i pan niezmiennie zawsze o tej porze zawraca mi głowę truposzami. Źle to działa na mój system trawienny.

Rozejrzał się naokoło gniewnie. Na widok zabitego gwizdnął cicho i ukląkł. Jego doświadczone palce przesuwały się po zwłokach.

Markham przyglądał się temu przez chwilę, po czym zwrócił się do Heatha:

— Sierzancie, to ja tymczasem pójde na górę pomówić z profesorem. — Spojrzał na Doremusa. — I z panem, doktorze, chciałbym pomówić, zanim pan odejdzie.

— Dobrze — Doremus nie podniósł nawet oczu. Przewrócił właśnie ciało na bok i obmacywał podstawę czaszki.

### ROZDZIAŁ III PRZYPOMNIANE PROROCTWO

(Sobota, 2 kwietnia, godz. 1.30 po południu)

Do głównego hallu wchodził właśnie kapitan Dubois i detektyw Bellamy, daktyloskopowie. Zajął się nimi detektyw Snitkin, który już na nich czekał. Zeszli razem do sutereny. Ja, Markham i Vance udaliśmy się tymczasem na drugie piętro.

Ogromna luksusowa biblioteka zajmowała cały blok budynku, okna jej wychodziły na 75 Street. Dwie ściany zastawione były szafami sięgającymi do sufitu. W środku ściany zachodniej mieścił się potężny kominek z brązu w stylu empire. Koło drzwi stał ozdobny kredens z czasów Jakuba I, a na wprost pod oknami, wychodzącymi na 75 Street, królowało ogromne rzeźbione biurko, zasłane papierami i broszurami. Liczne interesujące objets-d'art zdobiły ten wspaniały pokój. Dwa diagramy Durera spoglądały na nas z obwieszonej dywanami ściany koło kominka. Fotele, obite ciemną skórą, były obszerne i wygodne.

Profesor Dillard siedział przy biurku z nogą na taborecie. W rogu koło okna spoczywała w fotelu jego bratanica, dziewczyna silna, zdrowa, o klasycznych wyrazistych rysach twarzy. Była w angielskim kostiumie.

Profesor nie wstał na nasze spotkanie i nawet nas nie przeprosił. Uważał widocznie, że powinniśmy wiedzieć o jego chorobie. Przedstawiliśmy się i Markham wyjaśnił obecność Vance'a i moją.

— Przykro mi, prokuratorze — rzekł profesor, gdy zajęliśmy miejsca — że pańską wizytę zawdzięczam tylko tragedii. Ale i tak rad jestem, że pana widzę. Pewnie pan chce przesłuchać mnie i Bellę... Proszę. Jesteśmy do usług.

Profesor Bernard Dillard, typ krótkogłowca, miał lat przeszło sześćdziesiąt. Lekko zgarbiony od siedzącego trybu życia, gładko wygolony, z gęstą siwą czupryną, zaczesaną do góry, spoglądał przenikliwie i bystro małymi oczkami. W

zmarszczkach jego zwiędłych ust czał się wyraz zaciętości, właściwej ludziom, którzy całe lata pracowali nad trudnymi problemami. Rysy twarzy wskazywały na marzyciela i uczonego. Jak zresztą wiadomo, szalone marzenia tego człowieka na temat czasu, przestrzeni i ruchu urzeczywistniły się w postaci nowych faktów naukowych. Nawet w tej chwili twarz jego miała wyraz skupionego oderwania od rzeczywistości, tak jakby śmierć Robina Gila była li tylko natrętnym zdarzeniem, które zakłóciło jego myśli.

Markham zawahał się chwilę.

— Tak jest, panie profesorze — odrzekł z uszanowaniem. — Chciałbym, żeby mi pan powiedział, co pan wie o tej tragedii. Później zadam panu kilka niezbędnych pytań.

Dillard sięgnął po starą fajkę z pianki morskiej. Gdy ją nabił, zapalił i poprawił się w fotelu, zaczął mówić:

— Faktycznie wszystko, co wiem, już panu powiedziałem przez telefon. Robin i Sperling przyszli o dziesiątej zobaczyć się z Bellą. Ponieważ jej nie było, bo poszła na tenisa, czekali na nią w salonie na dole. Słyszałem, jak rozmawiali. Może w pół godziny później zeszli do sali klubowej. Siedziałem tutaj i czytałem. Upłynęła godzina albo więcej. Słońce świeciło tak pięknie, że przyszła mi ochota wyjść na tylny balkon. Stałem tam może pięć minut, gdy przypadkowo rzuciwszy okiem na tor łuczniczy ku swemu przerażeniu i zdumieniu ujrzałem, że Roobin leży na wznak ze strzałą w piersi. Zbiegłem na dół jak prędko, jak mi na to pozwoliła podagra, ale zorientowałem się od razu, że biedak nie żyje. Wobec tego zatelefonowałem natychmiast do pana. W domu nie było wtedy nikogo oprócz mnie i starego Pynna, lokaja. Kucharka poszła na targ, Arnesson — o dziewiątej na uniwersytet, a Bella nie wróciła jeszcze z tenisa. Kazałem Pynnowi poszukać Sperlinga, ale go nigdzie nie było. Wróciłem więc do biblioteki i czekałem na pana. Bella wróciła na chwilę przed przybyciem policji, a kucharka — wkrótce po niej. Arnesson będzie dopiero po drugiej.

— Z rana nie było tu nikogo obcego — jakiegoś gościa? Profesor potrząsnął głową.

— Tylko Drukker. Zdaje się, że go pan kiedyś u mnie spotkał. Mieszka w sąsiednim domu. Często tu zagląda, głównie na rozmowy z Arnessonem. Mają wspólne zainteresowania. Napisał dzieło: *World Lines in Multidimensional Continua*. To człowiek o prawdziwie naukowym sposobie myślenia. W swoim rodzaju geniusz. Nie zastawszy Arnessona posiedział ze mną chwilę. Mówiliśmy o ekspedycji brazylijskiej, zorganizowanej przez Królewskie Towarzystwo Astronomiczne. Później pożegnał się.

— O której?

— Mogło być w pół do dziesiątej. Kiedy przyszli Robin Gil i Sperling, Drukera już nie było.

— Czy to było coś wyjątkowego, panie profesorze — zapytał Vance — że pan Arnesson nie był dzisiaj z rana w domu? Czy zawsze wychodził rano w sobotę?

Stary profesor spojrział bystro na Vance'a i zawahał się nieco:

— Nie, właściwie nic wyjątkowego — odpowiedział — chociaż zazwyczaj spędza soboty w domu. Ale dziś miał mi wyszukać ważne dane w bibliotece uniwersyteckiej... Arnesson — dodał — pracuje ze mną nad moją nową książką.

Zapadła chwila milczenia, po czym Markham rzekł:

— Wspomniał pan przez telefon, że Gil i Sperling starali się o rękę panny Belli...

— Stryju! — Dziewczyna usiadła prosto w fotelu i zwróciła na starego profesora gniewne, pełne wyrzutu spojrzenie. — Jak stryj może opowiadać takie rzeczy?

— Ależ to prawda, moja droga.

W głosie jego zabrzmiała wyraźna nuta czułości.

— Poniekąd tak — przyznała. — Ale nie było potrzeby mówić o tym. Stryj wiedział równie dobrze, jak oni obaj, co ja o nich myślałam. Byliśmy po prostu dobrymi przyjaciółmi i na tym koniec. Jeszcze wczoraj wieczorem, kiedy tu byli razem, powiedziałam im obu zupełnie wyraźnie, że wypraszam sobie wszelką niedorzeczną gadaninę o małżeństwie. Młodzi ludzie zawsze są tacy... A teraz już nie żyje... Biedny ptaszek z bajki! — Opanowała z trudem wzruszenie.

Vance podniósł brwi i pochylił się w przód.

— Ptaszek z bajki?

— O, takeśmy go wszyscy nazywali. Trochę na złość, bo tego nie lubił.

— Ten przydomek był nieunikniony — zauważył Vance.

Miły przydomek, nieprawdaż? Gila kochały „wszystkie ptaki” i kiedy zginął, wszystkie przywdziały po nim żałobę. — Mówiąc, obserwował z uwagą dziewczynę.

— Wiem — skinęła głową. — Powiedziałam mu to nawet. I naprawdę wszyscy lubili biednego Robina. Trudno go było nie lubić: taki był dobry i... taki... łagodny...

Vance oparł się z powrotem o poręcz, Markham pytał dalej:

— Wspomniął pan, panie profesorze, że Gil i Sperling rozmawiali w salonie. Czy pan usłyszał coś z ich rozmowy?

Starszy pan spojrział z ukosa na bratanicę.

— Czy to naprawdę potrzebne do sprawy, panie Markham? — zapytał z wahaniem.

— Możliwe, że w tej rozmowie kryje się klucz do całej tajemnicy.

— Może. — Profesor zaciągnął się dymem. — Z drugiej strony moja odpowiedź na pańskie pytanie może wywołać błędne wrażenie i skrzywdzić żyjących.

— Czyż nie może pan zaufać memu rozsądkowi? — nalegał poważnie Markham.

Zapanowało znów krótkie milczenie, które przerwała dziewczyna:

— Dlaczego stryj nie chce powiedzieć panu prokuratorowi, co stryj usłyszał? Przecież to nikomu nie zaszkodzi.

— Myślałem o tobie, Bello — odpowiedział łagodnie profesor. — Ale może masz rację. — Podniósł oczy.

— Otóż, panie Markham — mówił z ociąganiem — Robin Gil i Sperling faktycznie sprzeczali się z sobą o Bellę. Niewiele co prawda usłyszałem, ale łatwo mi się było zorientować, że każdy uważał drugiego za przyczynę swego niepowodzenia. Zarzucali sobie nawzajem nielojalność.

— Och, oni nie mówili tego na serio — wtrąciła gwałtownie panna Dillard. — Oni zawsze sobie docinali. Naprawdę byli o siebie trochę zazdrośni — ale nie ja byłam istotną przyczyną

zazdrości, lecz rekordy łucznicze. Widzi pan, Rajmund, pan Sperling, był lepszym łucznikiem, ale w tym roku Robin pobił go kilka razy na zawodach i na naszym ostatnim dorocznym turnieju uzyskał mistrzostwo klubu.

— I może Sperling myślał — zauważył Markham — że stracił wskutek tego w oczach pani.

— Absurd! — rzuciła podekscytowana.

— Uważam, moja droga, że tę rzecz możemy zostawić bezpiecznie w rękach pana Markhama — rzekł pojednawczo profesor Dillard i zwrócił się do prokuratora.

— Czy chciałby mi pan zadać jeszcze jakieś pytania?

— Chciałbym wiedzieć wszystko, co pan wie o Gilu i Sperlingu — wszelkie osobiste dane i od jak dawna pan ich znał.

— Bella lepiej pana objaśni. Obaj należeli do jej kółka, ja widywałem ich tylko przelotnie.

Markham spojrział pytająco na dziewczynę.

— Znałam obu od lat — odpowiedziała prędko. — Robin był starszy od Rajmunda o jakieś osiem, może dziesięć lat, i do Ameryki przyjechał dopiero przed pięciu laty, po śmierci rodziców. Przedtem mieszkał w Anglii. Był bogaty i pędził leniwe życie, poświęcając się polowaniu, rybołówstwu i innym sportom. Trochę udzielał się towarzysko. W ogóle był sympatyczny, uczynny i zawsze chętnie przychodził, gdy brakowało gości do kompletu przy proszonym obiedzie czy do brydża. Niewiele można było o nim powiedzieć jako o intelektualistcie, rozumie pan...

Umilkła, jakby uderzona myślą, że jest nielojalna wobec pamięci zmarłego. Markham, orientując się w jej uczuciach, zapytał po prostu:

— A Sperling?

— To syn bogatego przemysłowca, który już wycofał się z interesu. Mieszkają w pięknej wiejskiej rezydencji w Scarsdale. Nasz Klub Łuczniczy ma tam swoją strzelnicę. Rajmund skończył politechnikę w Bostonie i jest doradcą technicznym jakiejś firmy w naszym mieście. Chociaż mam wrażenie, że pracuje wyłącznie dla przypodobania się ojcu, bo chodzi do

biura tylko dwa, trzy razy tygodniowo. Poznałam go na wakacjach, kiedy był na drugim roku. Rajmund prochu nie wymyśli, panie prokuratorze, ale jako typ młodego Amerykanina jest nadzwyczaj ujmujący — szczerzy, wesoły, trochę nieśmiały i ogromnie prawy.

Łatwo było przedstawić sobie obu młodych ludzi na podstawie krótkiej charakterystyki dziewczyny, natomiast było trudno wyobrazić sobie, żeby który z nich mógł mieć coś wspólnego ze złowrogą tragedią, która przywiodła nas do domu Dillardów.

Markham siedział chwilę ze zmarszczonymi brwiami. Nagle podniósł głowę i spojrzał dziewczynie w oczy.

— Proszę, niech mi pani powie jedno: czy nie domyśla się pani, co mogło być powodem śmierci Robina?

— Nie! odparła gwałtownie. — Któż mógł pragnąć śmierci dobrego ptaszka? Ten człowiek nie miał ani jednego wroga. O! to jest niewiarygodne! Nie chciałam wierzyć, dopóki nie zobaczyłam na własne oczy. A i teraz nie chce mi się wierzyć, że to prawda.

— Jednakże, moje drogie dziecko — wtrącił profesor — faktem jest, że go zabito. Z tego wynika, że musiało być coś w jego życiu, o czym nie wiedziałaś, czego nie podejrzewałaś. Odkrywamy ciągle nowe gwiazdy, w których istnienie nie wierzyli dawni astronomowie.

— Nie uwierzę, żeby Robin mógł mieć wroga — odparła ostro. — To absurd!

— Więc według pani — zapytał Markham — to jest niemożliwe, aby Sperling mógł zabić Gila?

— Wykluczone! — krzyknęła z błyskiem w oczach.

— A jednak, panno Bello — wtrącił od niechcienia Vance — pani wie, że Sperling znaczy „wróbel”.

Dziewczyna znieruchomiała. Twarz jej okryła się śmiertelną błądzą, a ręce zacisnęły się na poręczach fotela. Powoli, jakby z wielką trudnością, skinęła głową i zaczęła szybko oddychać, jakby jej brakowało tchu. Nagle wzdrygnęła się i przycisnęła chusteczkę do twarzy.

— Boję się! — wyszeptała.



Vance wstał, podszedł do niej i dotknął łagodnie jej ramienia.

— Czego się pani boi?

Podniosła głowę i oczy ich spotkały się. We wzroku Vance'a musiało być coś kojącego, gdyż zmusiła się do żalosego uśmiechu.

— Parę dni temu — zaczęła z wysiłkiem — byliśmy wszyscy na torze i Rajmund przygotowywał się do rozgrywek, kiedy drzwi sali klubowej otworzyły się i Robin wyszedł na tor. Nie było naprawdę żadnego niebezpieczeństwa, ale Sigurd Arnesson — wie pan — siedział właśnie na tylnym balkonie i przyglądał się nam. Ja zawołałam żartobliwie: „On! On!” — a wtedy Sigurd wychylił się i zawołał: „Nie wiesz, młody człowieku, na co się narażasz! Pan jesteś gil, a tamten łucznik-wróbel. Przypomnij pan sobie, co się zdarzyło pańskiemu imiennikowi, kiedy wróbel wziął do ręki łuk i strzałę!” — coś w tym rodzaju. Nikt nie zwrócił szczególniejszej uwagi na ten żart, ale teraz... — Umilkła, przerażona.

— Ech, Bello, nie bądź chorobliwie przesadna — rzekł uspokajająco, chociaż z pewnym zniecierpliwieniem, profesor. — Sigurd miewa niewczesne dowcipy. On przecież stale szydzi i drwi z rzeczywistości. To jest dla niego jedyne odprężenie po godzinach abstrakcyjnych medytacji.

— Chyba stryj ma rację — odpowiedziała. — Wiem, że to był tylko żart, który jednak okazał się straszliwym proroctwem. Z tym zastrzeżeniem — dodała prędko — że Rajmund nie mógł tego zrobić.

W tej chwili drzwi biblioteki otworzyły się nagle i w progu stała wysoka, chuda postać.

— Sigurd! — krzyknęła Bella i w głosie jej zabrzmiała wyraźnie nuta ulgi.

Sigurd Arnesson, przybrany syn i protegowany profesora Dillarda, przedstawiał się imponująco. Był bardzo wysoki (ponad sześć stóp), prosty jak topola, silny i muskularny. Miał niemal żółtą, zwichrzoną jak u uczniaka czuprynę, orli nos, mocne szczęki i na pierwszy rzut oka za dużą głowę. Jakkolwiek nie mógł mieć więcej niż czterdzieści lat, twarz jego pokrywała sieć zmarszczek. Jej szyderczo-złośliwy wyraz kłócił

się niejako z blaskiem szaroniebieskich oczu, w których widniała wybitna inteligencja. Nie można było posądzić go o brak wiedzy. Od pierwszego wejrzenia poczułem dla niego pełną szacunku sympatię. Był to człowiek głęboki, niezmiernie uzdolniony, o ogromnych możliwościach.

Wchodząc do pokoju objął nas wszystkich szybkim, badawczym spojrzeniem i skinąwszy głową pannie Dillard zwrócił się do starego profesora sucho-żartobliwym tonem:

— Co się stało, proszę, w tym trójwymiarowym domu? Auta i gawieź na ulicy, policja u drzwi. Cerber nie chciał mnie początkowo wpuścić. Ale ledwie Pynn otworzył podwoje, dwaj cywilni policaję przytaszczyli mnie tutaj bez ceremonii i bez wyjaśnień. Bardzo zabawne, ale irytujące. A, pan prokurator! Witam pana!

Nim Markham zdążył odpowiedzieć na to spóźnione powitanie, zabrała głos Bella:

— Sigurd, proszę cię, nie żartuj. Robin zabity.

— Nasz domowy gil, mówisz? No, no! Ale czegoż się mógł nieborak spodziewać z takim nazwiskiem? — Mogło się здаwać, że straszna nowina nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. — Kto czy co zwróciło go ziemskim prochom?

— Kto, nie wiemy! — odpowiedział Markham, dotknięty niewczesną żartobliwością uczonego. — Wiem tylko tyle, że dostał strzałę w serce.

— W porządku! — Arnesson usiadł na poręczu fotela i wyciągnął przed siebie długie nogi. — To przecież bardzo na miejscu, że gil zginął od strzały z łuku...

— Sigurd! — uciszyła go Bella. — Dostyc tych drwin, proszę cię! Wiesz, że Rajmund tego nie zrobił.

— Wiem, naturalnie że wiem, siostrzyczko! — Spojrzał na nią prawie żałośnie. — Miałem na myśli ornitologiczny prototyp Robina. — Obrócił się powoli do Markhama.

— A więc to prawdziwa tajemnica kryminalna z trupem, poszlakami i całą paradą? Czy mogę prosić o szczegóły?

Markham opowiedział mu krótko, co zaszło. Słuchał z przejęciem, a gdy Markham skończył, zapytał:

— Czy znaleziono łuk?

— A! — Vance, otrząsając się z pozornego letargu, odpowiedział za Markhama. — Bardzo rzeczowe pytanie, panie Arnesson! Owszem. Znaleziono łuk tuż za oknem sutereny w odległości zaledwie dziesięciu kroków od ciała.

— To naturalnie upraszcza sprawę — rzekł tonem zawodu Arnesson. — Teraz pozostaje tylko wziąć odciski palców.

— Na nieszczęście, nie — wyjaśnił Markham. — Profesor Dillard podniósł łuk z ziemi i przyniósł do domu.

Arnesson zwrócił się do starszego człowieka:

— Jaki impuls panem powodował, profesorze? — zapytał ciekawie.

— Impuls? Mój drogi, nie analizowałem swoich uczuć. Pomyślałem po prostu, że łuk jest ważnym dowodem rzeczowym, i złożyłem go na wszelki wypadek w suterenie, aż przybędzie policja.

Arnesson skrzywił się, mrużąc żartobliwie oko.

— To coś w stylu teorii psychoanalizy. Ciekaw jestem, jaka podświadoma myśl tkwiła wtedy w pańskim mózgu...

Zapukano do drzwi i w szparze ukazała się głową Burke'a:

— Doktor Doremus czeka na pana prokuratora na dole. Skończył oględziny.

Markham wstał i przeprosił obecnych.

— Na razie nie będę państwa dłużej trudził. Mam do załatwienia mnóstwo formalności. Ale prosiłbym, żeby się stąd nikt nie ruszał, dopóki nie przyjdę się pożegnać.

Zeszliśmy do salonu, gdzie niecierpliwiony Doremus kołysał się na palcach, miarowo wznosząc się i opadając.

— Nic skomplikowanego — zaczął, nim Markham zdążył się odezwać. — Potężny grot wbił się w serce na wysokości czwartej łuki międzyżebrowej. Strzała musiała być wyrzucona z wielką siłą. Obfity krwotok wewnętrzny i zewnętrzny. Śmierć nastąpiła jakieś dwie godziny temu, to znaczy koło wpół do jedenastej, chociaż nie mogę ręczyć. Żadnych śladów walki na ubraniu ani zadrapań na rękach. Najprawdopodobniej nieborak nie spostrzegł się nawet, co się z nim stało. Ale padając na wznak na beton, nabił sobie szkaradnego guza w tyle głowy...

— A to ciekawe! — przerwał ten medyczny raport Vance. — Jak dalece ten guz był niebezpieczny, doktorze?

Doremus zamrugał i spojrzął na Vance'a ze zdziwieniem.

— Mogła pęknąć czaszka — odpowiedział. — Naturalnie, nie mogłem tego wyczuć palcami, ale stwierdziłem rozległą haematomę na potylicy, zaschłą krew w nozdrzach i uszach i nierówne źrenice, wskazujące na frakturę czaszki. Będę wiedział na pewno po autopsji. — Zwrócił się znów do prokuratora: — Czym jeszcze mogę panu służyć?

— Chyba niczym, doktorze. Tylko prosiłbym jak najprędzej o protokół oględzin zwłok.

— Będzie go pan miał wieczorem. Sierżant telefonował już po karetkę.

I podawszy nam wszystkim rękę, doktor opuścił pośpiesznie salon.

Heath stał w głębi, zły i wzburzony.

— Dużośmy się dowiedzieli! — huknął gryząc z pasją cygaro.

— Ależ nie zniechęcaj się pan, sierżancie — zganił go Vance.

— Ten guz na głowie zasługuje na to, żeby się pan nad nim głęboko zastanowił. Mnie się zdaje, że nie spowodował go sam tylko upadek, wie pan?

Ale na sierżancie ta uwaga nie zrobiła żadnego wrażenia.

— Ani na łuku, ani na strzale nie znaleźli żadnych odcisków — ciągnął dalej. — Dubois mówi, że wyglądało tak, jakby je wytarto. Tylko na końcu łuku było kilka śladów ręki profesora. Poza tym nic.

Markham chwilę palił w ponurym milczeniu.

— A klamka u furtki od ulicy? A gałka u drzwi w parkanie między kamienicami?

— Nic! — parsknął Heath. — Obie szorstkie, zardzewiałe. Nie został żaden ślad.

— Słuchaj, Markham — wtrącił Vance. — Źle się do tego bierzesz. Naturalnie, że nie znajdziesz żadnych odcisków. Kto by, wystawiając cały dramacik z taką starannością, zostawiał na oczach widzów wszystkie te akcesoria? Najważniejsza rzecz dowiedzieć się, dlaczego zbrodniczy impresario pozwolił sobie na to idiotyczne przedstawienie?

—Nie takie to łatwe, jak się zdaje, panie Vance ustąpił z goryczą Heath.

—A czy ja mówię, że łatwe? Nie, sierżancie, to trudne, piekielnie trudne. I co gorsza przebiegłe, niezrozumiałe i... szatańskie.

## ROZDZIAŁ IV TAJEMNICZY LIST

(Sobota, 2 kwietnia, godz. 2 po południu)

Markham siadł energicznie przy środkowym stole.

— Sierżancie, teraz przesłuchamy służbę.

Heath wyszedł do hallu i wydał polecenie jednemu ze swoich ludzi. W kilka chwil później wszedł wysoki, ponury, niezgrabny człowiek i przystanął w pełnej uszanowania postawie.

— Starszy lokaj — objaśnił Heath. — Nazwisko Pynn.

Markham przypatrywał się badawczo staremu słudze.

Był to człowiek może sześćdziesięcioletni, uderzająco akromegaliczny. Ten defekt rozciągał się na całą jego postać. Miał wielkie ręce, a stopy szerokie i zniekształcone. Ubranie, choć starannie wyprasowane, wisiało na nim jak worek, a wysoki kołnierzyk był o kilka numerów za obszerny. Spod krzaczastych siwych brwi patrzyły blade wodniste oczy. Usta stanowiły wąską szparkę w twarzy chorobliwie nabrzmiałej. Ale choć tak brzydki i niepociągający, robił wrażenie osobnika sprytnego i znającego się na rzeczy.

— Więc to jest lokaj profesora — powiedział Markham.

— Od jak dawna służycie w tym domu, Pynn?

— Będzie dziesięć lat, proszę wielmożnego pana.

— A więc zgodziliście się do pana profesora wkrótce potem, gdy zrzekł się katedry?

— Widzi mi się, że tak, proszę wielmożnego pana.

Głos starego dudnił jak podziemny grzmot.

— Co wicie o nieszczęściu, jakie się tu zdarzyło dziś rano? — Pytanie to, choć obliczone na zaskoczenie, przyjął Pynn z krańcowym stoicyzmem.

— Nic, proszę wielmożnego pana. Dowiedziałem się, co się stało, dopiero jak mnie pan zawołał i kazał poszukać pana Sperlinga.

— Czy wam od razu powiedział, co się stało?

— Powiedział tak: „Pan Robin został zamordowany.

Poszukajcie mi zaraz pana Sperlinga”. I nic więcej.

— Jesteście pewni, Pynn, że pan profesor powiedział „zamordowany”? — wtrącił Vance.

Pierwszy raz lokaj zawahał się i spojrzenie jego stało się jeszcze chytrzejsze.

— Tak, proszę pana. Jestem tego pewny. Powiedział: „zamordowany”.

— Czy szukając pana Sperlinga, natknęliście się na ciało? — ciągnął leniwie Vance wpatrując się w deseń na tapecie.

Stary znów się zawahał.

— Tak, proszę wielmożnego pana. Otworzyłem drzwi sutereny, żeby wyjrzeć na tor, i zobaczyłem biednego młodego pana...

— Musieliście doznać wielkiego wstrząsu — zauważył sucho Vance. — A czy przypadkiem nie dotknęliście ciała biednego młodego pana? Albo może strzały? Albo łuku?

Wodniste oczy Pynna zamigotały.

— Nie... pewnie że nie... Po cóż miałbym ruszać?

— Rzeczywiście, po co? — westchnął Vance. — Ale łuk widzieliście?

Stary zrobił zeza jakby dla lepszego uprzytomnienia sobie sceny zbrodni.

— Nie mogę powiedzieć, proszę wielmożnego pana. Może widziałem, może nie widziałem. Nie pamiętam.

Vance umilkł, jakby go ta rozmowa przestała interesować, i Markham zaczął znów przesłuchiwać Pynna.

— Wiem już, Pynn, że pan Drukker był tu dziś o wpół do dziesiątej. Czyście go widzieli?

— Widziałem, panie prokuratorze. Powiedział mi nawet dzień dobry. On zawsze wchodzi drzwiami od sutereny.

— Czy odszedł tą samą drogą, którą przyszedł?

— Pewnie, proszę pana, chociaż nie widziałem, bo byłem wtedy na górze. Mieszka w sąsiednim domu...

— Wiem. — Markham pochylił się w przód. — Przypuszczam, że to wy otworzyliście rano młodym panom: Robinowi i Sperlingowi?

— Tak, panie prokuratorze. Przyszli około dziesiątej.

— Czy widzieliście ich jeszcze później? A może usłyszeliście coś, jak rozmawiali w salonie?

— Nie. Prawie całe rano sprzątałem u pana Arnessona.

— A! — Vance spojrział na badanego. — Na drugim piętrze od tyłu? Pokój z balkonem?

— Tak, proszę wielmożnego pana.

— To ciekawe... Właśnie z tego balkonu profesor zobaczył zwłoki pana Robina. Jakim sposobem mógł wejść do pokoju, nie będąc przez was zauważony? Mówiliście przecież, że dowiedzieliście się o nieszczęściu dopiero wtedy, gdy pan zawołał na was z biblioteki i kazał szukać pana Sperlinga?

Twarz lokaja okryła się ziemistą bladością. Palce drżały mu nerwowo.

— Musiałem wyjść na chwilę z pokoju pana Arnessona — odpowiedział z wysiłkiem. — A tak, tak. Przypominam sobie: chodziłem po świeżą bieliznę pościelową...

— Ach, tak! — Vance zapadł w letarg.

Markham wypuszczał kłęby dymu ze wzrokiem utkwionym w stół.

— Czy oprócz tych osób, o których była mowa, nikt inny nie był tu dziś rano? — zapytał po chwili.

— Nikt, proszę wielmożnego pana.

— Nie domyślacie się, jak to mogło być z tym morderstwem? Lokaj potrząsnął głową. Oczy jego patrzyły w dal.

— Nie, proszę wielmożnego pana. Pan Robin był miły i wszyscy go lubili. Takich nie mordują, pan rozumie?

Vance podniósł oczy.

— Nie bardzo was rozumiem, Pynn. Skąd możecie wiedzieć, że to nie był wypadek?

— Nie wiem, proszę pana — padła spokojna odpowiedź. — Ale za przeproszeniem panów, znam się trochę na łucznictwie i od razu zmiarkowałem, że pan Robin został zabity strzałą myśliwską.

— Umiecie obserwować, Pynn — przyznał Vance.

— O, tak!

Jasne było, że lokaj więcej nie powie. Markham odprawił go i kazał Heathowi sprowadzić kucharkę.



Kiedy weszła, rzuciło mi się od razu w oczy podobieństwo między ojcem i córką. Była to niechlujna baba, może czterdziestoletnia, wysoka i kanciasta jak ojciec, miała chudą wydłużoną twarz i ogromne ręce i nogi. Widocznie w rodzinie Pynnów hiperpituitarizm był cechą dziedziczną.

Zeznała na wstępie, że nazywa się Beedle, że jest wdową i po śmierci męża, pięć lat temu, została przyjęta przez profesora dzięki rekomendacji ojca jako kucharka.

— O której godzinie wyszłicie rano z domu? — zapytał Markham.

— Zaraz po wpół do jedenastej. — Najwyraźniej miała się na baczności. Wydawała się zdenerwowana i mówiła tonem zaczepno-odpornym.

— A o której wróciliście?

— Około wpół do pierwszej. Ten mnie wpuścił - spojrzała ze złością na Heatha — i tak mnie potraktował, jakbym była zbrodniarką.

Heath wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Czas się zgadza, panie prokuratorze. Zła na mnie, bo nie chciałem jej puścić na dół.

Markham zrobił nieokreślony ruch głową.

— Czy wiecie, co się stało w tym domu dziś rano?—pytał dalej, nie spuszczać oka z kobiety.

— Skąd mam wiedzieć? Byłam przecie w halach.

— Czy widzieliście któregoś z młodych panów, Robina albo Sperlinga?

— Zeszli na dół do klubu, akurat jak wychodziłam. Przeszli koło kuchni.

— Czy nie słyszeliście, o czym rozmawiali?

— Cóż to pan myśli, że ja podsłuchuję pod drzwiami?

Markham zaciął gniewnie szczęki i chciał coś powiedzieć, ale Vance nie dopuścił go do głosu.

— Pan prokurator myślał — rzekł przymilnie — że może drzwi były uchylone i pomimo że nie macie zwyczaju podsłuchiwać, co się wam bardzo chwali, mogliście coś usłyszeć przypadkiem.

— Drzwi mogły sobie być otwarte, ale ja nic nie słyszałam —

fuknęła.

— Więc nie wiecie, czy oprócz nich był jeszcze kto w klubie?

Beedle'owa zmrużyła chytre oczka i spojrzała z namysłem na Vance'a.

— Może i był — wycedziła powoli. — Zdaje mi się, że słyszałam głos pana Drukera. — W głosie jej zabrzmiała zjadliwa nutka, a na cienkich wargach zaigrał zły uśmieszek. — Był tu z rana z interesem do pana Arnessona.

— Był? — Vance udał zdziwienie. — Możecie go widzieli?

— Widzieć widziałam, ale tylko jak wchodził. Nie zauważyłam, jak wychodził. Często się tu do nas wmyka i wymyka o różnych godzinach. To jest, to go nie ma.

— Wmyka się? No, proszę... Ale, ale, którymi drzwiami wyszliście na miasto?

— Frontowymi. Od czasu jak panienka urządziła sobie klub w suterenie, zawsze wychodzę frontem.

— Toście dziś rano nie byli w suterenie?

— Nie.

Vance uniósł się na krześle.

— Dziękuję. Możecie odejść.

Kiedy kobieta opuściła pokój, Vance wstał i podszedł do okna.

— Tracimy za wiele energii na stronę formalną, Markham — rzekł. — Nękanie służby i przesłuchiwanie domowników nie doprowadzi nas do niczego. Zanim zaczniemy szturmować nieprzyjacielskie okopy, musimy zwalić mur psychologiczny. Każdy z tych ludzi ma jakąś własną tajemnicę, z którą boi się zdradzić. Każdy powiedział nam albo więcej, albo mniej, niż wie. Zniechęcające, ale prawdziwe. Wśród wielu szczegółów nie odkryłem punktu styczności. A skoro wydarzenia chronologiczne nie dają się skoordynować, to można mieć pewność, że ich wzajemna zależność została rozmyślnie pozacierana. W tych wszystkich zeznaniach, jakie tu nam recytowano, nie udało mi się wyśledzić najmniejszej zależności.

— Bo prawdopodobnie jeszcze brakuje ogniw — odparł Markham. — A nie znajdziemy ich, jeżeli zaniechamy dalszych

przesłuchań.

— Ty łatwowierny człowieku. — Vance podszedł znów do stołu. — Im więcej będziemy pytali, tym dalej nas wyprowadzą w pole. Nawet profesor kręcił. On coś podejrzewa, czegoś nie mówi. Dlaczegoż ruszał ten łuk? Arnesson, przebiegły, zadając to samo pytanie, trafił w sedno rzeczy. A ta młoda atletka z muskularnymi łydkami: zaplątana w jakieś miłosne intrygi, z których chce teraz wyplątać siebie i całą swoją koterię tak, aby na nikogo nie padł cień. Bardzo jej się to chwali. Szkoda tylko, że prawda na tym cierpi. Stary Pynn też coś ukrywa, tylko że pytaniami nic z niego nie wydusimy. Mimo nieciekawej fizjonomii mógł sporo wiedzieć. Ale pytaniami go nie zdemaskujemy. Ta jego poranna krzątająca też wydaje mi się podejrzana. Powiada, że był całe rano w pokoju Arnessona, a nie wiedział, że profesor wychodził na balkon. I to alibi z pościelą też mi nie przemawia do przekonania. Dalej, czy zwróciłeś uwagę na opowieść zgryźliwej wdowy Beedle? Baba widocznie nie lubi tego nadmiernie towarzyskiego Drukera i skorzystała z okazji, żeby go wsypać. Zdawało jej się, że słyszała jego głos w suterenie. Ale czy naprawdę? Któż może wiedzieć? Prawda, mógł tam zostać dłuższą chwilę, żeby poszperać wśród sprzętu łuczniczego, a tymczasem nadeszli tamci dwaj: Robin i Sperling... Musimy ten punkt wyświetlić. Ba! Uważałbym za bardzo wskazane wziąć pana Drukera na grzeczną rozmówkę i...

Na schodach od frontu dały się słyszeć kroki i w drzwiach stanął Arnesson.

— No, więc „kto zabił gila”? — zapytał z sarkastycznym grymasem.

Markham wstał, rozdrażniony, i chciał zaprotestować przeciwko temu najściu, ale uczonej podniósł rękę.

— Proszę o jedną chwilkę rozmowy! Przyszedłem ofiarować moje cenne usługi w szlachetnej sprawie sprawiedliwości, ziemskiej sprawiedliwości, ma się rozumieć. Bowiem filozoficznie rzecz ujmując, sprawiedliwość jest fikcją, czymś, co nie istnieje. Gdyby naprawdę istniała, to nikogo z nas nie ominęłyby kosmiczne cięgi. — Usiadł na wprost Markhama z

cynicznym chichotem. — Faktem jest, że smutny koniec Gila podziałał na moją naukową wyobraźnię. Pociągający problem o posmaku matematycznym, równanie z kilkoma niewiadomymi. Otóż moja genialna głowa nadaje się do tej zagadki.

— Jakież by pan proponował rozwiązanie? — zapytał Markham. Cenił wysoko Arnessona za jego inteligencję i wyczuł, że pod jego drwinami kryje się poważny zamiar.

— Jak dotąd nie próbowałem rozwiązać równania. — Arnesson wy dobył starą fajkę z różanego drzewa i gładził ją z upodobaniem. — Ale zawsze ciągnęło mnie do wywiadowczej roboty na czysto ziemskiej płaszczyźnie. Jestem z natury zachłannie ciekawy i jako fizyk lubię wglądać w istotę zjawisk. Uważam, że wiedza matematyczna może być z korzyścią zastosowana do drobiazgów życiowych na naszej planecie. Wszechświatem rządzi prawo. Prawo jest istotą bytu, chyba że Eddington ma rację i żadne prawo nie istnieje. Nie widzę dostatecznej racji, żeby tożsamość i pozycja, czyli miejsce pobytu przestępca, nie mogły być ustalone w podobny sposób, w jaki Leverrier obliczył masę i efemeris Neptuna na podstawie zaobserwowanych dewiacji w orbicie Urana. Pamiętajcie, panowie, jak po dokonaniu tych obliczeń kazał Gallemu, astronomowi berlińskiemu, szukać planety na określonej długości ekliptyki? I planeta się znalazła.

Urwał i nabił fajkę.

— Otóż, panie Markham — mówił dalej takim tonem, że nie mogłem odgadnąć, czy mówi serio — teraz nadarza mi się okazja zastosowania czysto racjonalistycznej metody, za pomocą której Leverrier odkrył Neptuna, do rozwikłania tego absurdalnego rebusu. Ale w tym celu muszę mieć wszystkie dane dotyczące perturbacji w orbicie Urana, to znaczy muszę mieć wszystkie dane niezbędne do ułożenia równania. Otóż przyszedłem prosić panów, żebyście byli łaskawi zaufać mi i zakomunikować wiadome wam fakty. Proponuję spółkę intelektualną. Postaram się rozwiązać wam ten problem naukowo. To będzie frajda! Przy tej sposobności pragnąłbym dowieść słuszności mojej teorii, że matematyka jest podstawą wszelkiej prawdy, nawet najdalszej od akademickich

abstrakcji. — Po czym, zapaliwszy wreszcie fajkę, rozparł się w fotelu. — Zgoda?

— Chętnie zakomunikuję panu wszystko, co wiemy

— odpowiedział po krótkim namyśle prokurator. — Ale nie mogę obiecywać, że będę panu mówił wszystko, co ewentualnie wyjdzie na jaw w dalszym toku śledztwa. Mogłoby to być ze szkodą dla śledztwa i dla sprawiedliwości.

Vance siedział z przymkniętymi oczami, pozornie znudzony zdumiewającą prośbą uczonego. Nagle ożywił się i zwrócił do Markhama:

— Wiesz, ja uważam, że powinniśmy dać panu Arnesonowi możliwość przetransponowania tej zbrodni na terminy matematyczne. Jestem przekonany, że nie zawiedzie naszego zaufania i użyje naszych informacji li tylko dla celów naukowych. I nigdy nie wiadomo! Może nasze mózgi tej fascynującej zagadki nie rozwiążą. Może tu trzeba wybitnej umysłowości.

Markham przystał już teraz bez wahania. Znał Vance'a i wiedział, że jego rady wypływały zawsze z gruntownego namysłu.

— A więc zgoda — rzekł. — Będziemy udzielać panu wszelkich danych niezbędnych do formuły matematycznej. Czy potrzebne panu jakieś specjalne informacje?

— Na razie nie. Wiem obecnie tyle, co panowie. Po waszym odejściu rozmówię się z Beedle'ową i Pynnem. Może mi coś powiedzą. Ale jeżeli rozwiążę ten problem i określę dokładnie pozycję przestępcy, nie chowajcie tego odkrycia do kieszeni, jak to uczynił sir George Airy z przedłożonymi mu przez biednego Adamsa obliczeniami ruchu Neptuna jeszcze przed Leverrierem.

Drzwi otworzyły się i do salonu wszedł mundurowy policjant, a za nim ktoś nieznamy.

— Ten gość chce się zobaczyć z profesorem — zameldował podejrzliwym tonem i, zwróciwszy się do towarzyszącego mu mężczyzny, wskazał mu ruchem głowy Markhama. — To pan prokurator. Możesz pan z nim pogadać.

Nowo przybyły wydawał się zakłopotany. Był to wysmukły,

starannie ubrany, wytworny mężczyzna, lat przypuszczalnie pięćdziesięciu. Twarz miał wypoczętą, włosy rzadkie, siwiejące, ostry nos i delikatnie zarysowany, ale energiczny podbródek. Spod szerokiego czoła patrzyły oczy zawiedzionego i rozczarowanego marzyciela. Czał się w nim smutek i uraza, tak jakby życie oszukało go i wyrzuciło na mieliznę, nieszczęśliwego i rozgoryczonego.

Chciał się zwrócić do Markhama, kiedy wzrok jego zatrzymał się na Arnessonie.

— Dzień dobry, panie Arnesson — rzekł spokojnym, opanowanym głosem. — Mam nadzieję, że nie stało się nic bardzo złego.

— Nic takiego, tylko śmierć zawitała w te progi, panie Pardee — odparł niedbale uczony. — Przysłowiowa burza w szklance wody.

Markham, zirytowany widokiem intruza, zmarszczył brwi.

— Czym mogę panu służyć? — zapytał.

— Wygląda, że jestem niepożądanym gościem usprawiedliwiał się Pardee. — Przyjaźnię się z domem profesora. Mieszkam po przeciwnej stronie ulicy. Zauważywszy, że stało się tu coś niezwykłego, pomyślałem, że może się na coś przydam.

Arnesson stłumił śmiech.

— Kochany panie Pardee, znamy się na tym! Po co ubierać naturalną, wrodzoną ciekawość w szaty retoryki?

Pardee spurpurowiał.

— Zapewniam pana, że... — zaczął, ale Vance nie dał mu dokończyć.

— Więc pan mieszka naprzeciwko? Czy nie obserwował pan przypadkiem tego domu w godzinach przedpołudniowych?

— Właściwie nie, chociaż okno mego gabinetu wychodzi na 75 Street i spędziłem przy nim prawie całe rano. Wróciwszy po lunchu do pracy, zauważyłem zbiegowisko, samochody policyjne, jak również posterunek przy wejściu.

Vance przyglądał mu się kątem oka.

— Czy nie widział pan przypadkiem, żeby ktoś wchodził albo wychodził dziś rano z tego domu? — zapytał.

Pardee potrząsała powoli głową.

— Nikogo takiego nie było. Około dziesiątej przyszli dwaj młodzi ludzie, znajomi panny Dillard, zauważyłem również, jak wyszła Beedle'owa z koszykiem. Poza tym nie przypominam sobie nikogo.

— Czy któregoś z tych młodych ludzi widział pan wychodzącego?

— Nie pamiętam. — Pardee ściągnął brwi. — Chociaż zdaje mi się, że któryś wyszedł przez furtkę od toru, ale to tylko wrażenie.

— O jakiej porze?

— Doprawdy nie mógłbym powiedzieć. Może w godzinę po przyjściu. Nie umiałbym powiedzieć.

— Nie przypomina pan sobie, żeby kto inny wchodził lub wychodził?

— Widziałem pannę Dillard. Wróciła z tenisa około wpół do pierwszej. Właśnie zawołano mnie na lunch. Pomachała mi rakieta.

— I nikogo więcej?

— Niestety, nie — odpowiedział z wyraźnym żalem.

— Jeden z młodych ludzi, których pan widział wchodzących, został zamordowany — rzekł Vance.

— Pan Robin Gil alias ptaszek — uzupełnił z rażąco komicznym grymasem Arnesson.

— Wielkie nieba! Co za nieszczęście! — Pardee był naprawdę wstrząśnięty. — Gil? Czy nie mistrz łuczniczego klubu panny Belli?

— Ten sam. Jedyne to jego tytuł do nieśmiertelności.

— Biedna panna Bella! — Vance podniósł oczy, uderzony tonem tych słów. — Musi być okropnie wstrząśnięta!

— Dramatyzuje, naturalnie! — rzucił Arnesson. — Policja zresztą też! Za dużo hałasu o nic. Ziemia jest pokryta pełzającą protoplazmą w rodzaju Gila, określoną zbiorowo jako ludzkość. Cuchnące carbohydraty!

Pardee uśmiechnął się ni to smutnie, ni to pobłaźliwie. Najwidoczniej przywykł do cynizmu uczonego. Zwrócił się do prokuratora:

— Czy mógłbym się widzieć z panną Dillard i jej stryjcem?

— Ależ owszem — odpowiedział za przyjaciela Vance.

Są oboje w bibliotece, proszę pana.

Gość wyszedł z grzecznym podziękowaniem.

— Dziwny typ — zauważył Arnesson, gdy drzwi zamknęły się za wychodzącym. — Obciążony dziedzicznie pieniędzmi. Prowadzi gnuśne życie. Jego namiętność to rozwiązywanie problemów szachowych.

— Problemów szachowych? — zapytał z zainteresowaniem Vance. — Czy to może Jan Pardee, wynalazca sławnego gambitu Pardee’ego?

— We własnej osobie — potwierdził z humorem Arnesson. — Poświęcił dwadzieścia lat życia zagadnieniu nieodpartej ofensywy szachowej, która wzbogaciła zasady tej gry o parę dziesiątych ułamka, i napisał o tym fachową książkę. A potem głosił nową naukę niby krzyżowiec przed bramami Damaszku. Zawsze był wielkim propagatorem szachów; jeździł na turnieje po całym świecie iłożył na nie z własnej kieszeni. Toteż jego gambit został wypróbowany. Było z tego powodu wielkie poruszenie między mistrzami Klubu Szachistów w Manhattanie. Potem biedny Pardee zorganizował serię turniejów mistrzowskich. Sam pokrył koszta. Nawiasem mówiąc, wydał na to szalone pieniądze. Naturalnie zastrzegł wyłączność dla swego gambitu. Ale cała ta akcja miała smutny koniec. Kiedy tacy mistrze jak doktor Lasker, Capablanca, Rubinstein i Finn wzięli się do jego gambitu, nic z tej sztuki nie zostało. Każdy prawie szachista, który go zastosował, przegrywał. W rezultacie gambit Pardee’ego został zdyskwalifikowany. Okazał się jeszcze gorszy niż niefortunny gambit Rice’a. Był to dla nieboraka cios okropny. Osiwiął, oklapł. Słowem, zdziadział. To już człowiek złamany.

— Znam tę historię — mruknął Vance spoglądając w zadumie w sufit. — Sam stosowałem ten gambit. Nauczył mnie Edward Lasker...

W drzwiach ukazał się ponownie policjant mundurowy i dał znak Heathowi. Sierżant wstał skwapliwie, najwidoczniej znudzony tą rozmową, i wyszedł do hallu. Po chwili wrócił z



małym arkusikiem w ręku.

— Coś takiego, panie prokuratorze rzekł. Posterunkowy zobaczył ten papier, wystający ze skrzynki pocztowej, i przez ciekawość wyciągnął. Co to może znaczyć?

Markham pochylił się, zdumiony, nad szczególnym dokumentem, po czym wręczył go bez słowa Vance'owi. Wstałem i zajrzałem mu przez ramię. Był to arkusz papieru do maszyny, złożony, żeby się mógł zmieścić do skrzynki. Widniały na nim wypisane małymi bładoniebieskimi czcionkami następujące zdania:

Pierwsze brzmiało:

Robin Gil nie żyje.

Drugie pytało:

Kto z a b i ł g i l a ?

Trzecie objaśniało:

Sperling znaczy wróbel.

W prawym rogu wielkimi literami podpisano:

**BISKUP.**

## ROZDZIAŁ V KRZYK KOBIETY

(Sobota, 2 kwietnia, godz. 2.30 po południu)

Spojrząwszy na dziwne pismo z jeszcze dziwniejszym podpisem, Vance sięgnął po monokl wolnym ruchem, który oznaczał u niego intensywne, chociaż powstrzymywane zaciekawienie. Po chwili oddał papier Arnessonowi

— Ma pan jeszcze jedną cenną niewiadomą do swego równania — rzekł drwiąco.

Arnesson przeczytał papier niedbale i położył z grymasem na stole.

— Mam nadzieję, że duchowieństwo nie ma nic wspólnego z tą sprawą. To ludzie niezdolni do naukowego ujmowania zjawisk. Matematyką ich nie weźmiemy. Biskup! Hm! Nie znam żadnej rewerendy. Myślę, że tę abrakadabrę wyłączę z obliczeń.

— I pańskie równanie diabli wezmą — wtrącił poważnie Vance. — Panie Arnesson, pozwoli pan wyrazić pokorną opinię laikowi, którego zdaniem ten kryptonimowy świstek jest najbardziej matematyczną daną w całej sprawie i oczyszcza ją z wszelkiej przypadkowości. To jest, że się tak wyrażę, grawitacyjna stała, która znajdzie się we wszystkich pańskich równaniach.

Heath patrzył na papier z miną poważną, wykrzywiając usta.

— Jakiś wariat to napisał — zauważył.

— Niewątpliwie wariat, sierżancie — zgodził się Vance.

Ale nie możemy przeoczyć faktu, że wariat gruntownie wtajemniczony w całą sprawę. Wie na przykład, że Gilowi było na imię Robin, że zabito go strzałą z łuku i że w pobliżu miejsca zbrodni znajdował się osobnik nazwiskiem Sperling. Dalej, ten dobrze poinformowany wariat okazał się w sprawie morderstwa po prostu jasnowidzący, bo przecież ten papier został napisany i wrzucony do skrzynki przed przybyciem pana i pańskich ludzi.

— Chyba że — zaproponował z uporem Heath — któryś z tych bubków, co się gapią na ulicy, zwierzył, co się stało, i wetknął to do skrzynki za plecami posterunkowego.

— A jeszcze wpierw poleciał do domu i napisał swój biuletyn na maszynie, co? — Vance potrząsnął głową z żalonym uśmiechem. — Nie, sierzancie, pańska teoria nie wytrzymuje krytyki.

— Więc co to znaczy, do diabła? — spytał zaczepnie Heath.

— Nie mam zielonego pojęcia — Vance ziewnął i wstał.

— Chodź, Markham, musimy pogadać z tym Drukkerem, do którego Beedle'owa ma taką antypatię.

— Z Drukkerem? — zdziwił się Arnesson. — A on co ma wspólnego z tą aferą?

— Pan Drukker — wyjaśnił prokurator — był tu dziś z rana. Chciał się zobaczyć z panem, ale nie jest wykluczone, że spotkał się z Robinem i Sperlingiem. — Zawahał się. — Nie poszedłby pan z nami?

— Nie, dziękuję. — Arnesson wytrząsnął popiół z fajki i wstał. — Mam mnóstwo prac studentów do przejrzenia. Ale może weźmiecie z sobą Bellę! Lady Mae jest trochę tego... dziwna...

— Lady Mae?

— Przepraszam, panowie jej nie znacie. Tak ją tu wszyscy tytułujemy grzecznościowo, a ona rada, nieboraczka. Matka Drukкера. Dziwna kobieta. — Stuknął się znacząco w czoło. — Trochę tego... O! zupełnie nieszkodliwa! Umysł żywy, ale przy tym monomanka. Zdaje jej się, że świat zaczyna się i kończy na Drukkerze. Obchodzi się z nim jak z dzieckiem. Smutna sytuacja... Owszem, weźcie z sobą Bellę, lady Mae ją lubi.

— Dobra rada, panie Arnesson — rzekł Vance. — Może pan będzie łaskaw poprosić pannę Dillard, żeby nam zechciała towarzyszyć.

— Ależ owszem! — Uczony pożegnał nas uśmiechem zarazem protekcyjnym i ironicznym i poszedł na górę. W parę chwil potem przyłączyła się do nas Bella.

— Sigurd powiedział mi, że panowie chcą się zobaczyć z Adolfem. On naturalnie przyjmie to filozoficznie, ale biedna

lady Mae tak się denerwuje. Z byle powodu...

— O, postaramy się uszanować jej nerwy — zapewnił ją Vance. — Ale pan Drukker był tutaj z rana i podobno, jak utrzymuje kucharka, rozmawiał w klubie z Robinem i Sperlingiem. Może będzie coś wiedział?

— Jestem pewna, że udzieli panom wszelkich posiadanych informacji — odpowiedziała z naciskiem. — Co się tyczy lady Mae, to proszę, bądźcie z nią, panowie, ostrożni - mówiła błagalnie i w głosie jej brzmiała troska.

Vance spojrział na Bellę z zaciekawieniem.

— Niech pani powie nam coś o niej, nim tam pójdziemy. Dlaczego mamy z nią być ostrożni?

— Ona miała tragiczne życie. Była kiedyś słynną śpiewaczką. O! nie drugorzędną, ale primadonną, której wrócono wspaniałą karierę. Wyszła za męża za znanego krytyka wiedeńskiego, Ottona Drukera, i w cztery lata później urodził się Adolf. Kiedy dziecko miało dwa lata, upuściła je przez nieostrożność na Praterze i odtąd życie jej stało się tragedią. Mały doznał uszkodzenia kręgosłupa i został kaleką. Zrozpaczona matka, uważając się za winną nieszczęścia, porzuciła karierę artystyczną i poświęciła się wyłącznie synowi. W rok później, po śmierci męża, przeniosła się z dzieckiem do Ameryki, gdzie przebywała przedtem jako młoda dziewczyna. Kupiła wtedy dom, w którym mieszkają. Całe jej życie ześrodkowało się na Adolfie, który wyrósł na garbusa. Poświęciła dla niego wszystko. Troszczy się o niego, jakby jeszcze był malutki... — Cień przebiegł po jej twarzy.

Czasami mam wrażenie, wszyscy mamy to wrażenie, że ona wciąż widzi w nim dziecko. To coś chorobliwego. Straszliwy, słodki obłęd macierzyństwa. Stryj nazywa to aberracją czułości. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zrobiła się bardzo dziwna. Zastaję ją często nucącą stare niemieckie dziecinne piosneczki z rękami złożonymi w ten sposób, jakby niańczyła dziecko. To jest straszne, przejmujące. I okropnie zazdrosna o wszystkich mężczyzn z powodu syna. Tydzień temu byłam u niej ze Sperlingiem — często ją odwiedzamy — taka samotna i nieszczęśliwa — spojrziała na niego dzikim wzrokiem i

zawołała:

„Czemu i pan nie jest kaleką?”

Bella urwała i popatrzyła na nas badawczo.

— Teraz panowie rozumieją, dlaczego prosiłam o względy dla lady Mae?... Mogłaby pomyśleć, że przyszliśmy z zamiarem skrzywdzenia jej syna.

— Nie przysporzymy jej cierpień — przyrzekł serdecznie Vance.

I nagle, gdyśmy się skierowali w stronę hallu, zadał jej pytanie, które pomogło mi zrozumieć, dlaczego tak niezwykle uważnie obserwował dom Drukkerów.

— Gdzie wychodzą okna pokoju pani Drukker?

Zdziwiła się, ale odpowiedziała prędko:

— Na zachód, wykusz wychodzi na nasz tor.

— A! — Vance wyjął papierośnicę i wybrał sobie starannie nowego papierosa. — Czy często siaduje w tym oknie?

— Tak! Lubi się przyglądać, jak strzelamy z łuków. Nie wiem dlaczego, bo jestem pewna, że widok ten sprawia jej ból. Adolf jest za słaby, żeby uprawiać ten sport. Próbował kilka razy, ale męczył się bardzo i musiał dać za wygraną.

— Może przygląda się wam właśnie dlatego, że to dla niej taka tortura. Zadręcza samą siebie, rozumie pani? — Vance mówił tonem współczującym, który nie znającym jego prawdziwej natury mógł się wydać dziwny.

— Może — dodał wychodząc przez drzwi sutereny na tor — lepiej będzie zajść do niej na razie tylko na chwilę.

Uspokoilibyśmy ją co do naszych zamiarów. Czy można wejść tam tak, żeby syn nie widział?

— Można. Dobra myśl — pochwaliła Bella. — Możemy wejść od tyłu. Gabinet Adolfa jest od frontu.

Znaleźliśmy panią Drukker w wykuszu spoczywającą na staroświeckim rozłożystym szezlongu, podpartą poduszkami. Panna Dillard przywitała się z nią jak córka. Pochyliwszy się pocałowała ją czule w czoło.

— Coś straszego stało się dziś w naszym domu, lady Mae — zaczęła — i ci panowie chcieli się z panią zobaczyć. Nie pogniewa się pani z pewnością, że ich tu przyprowadziłam?

Pani Drukker zwróciła ku nam bladą, tragiczną twarz z wyrazem obłądnego przerażenia. Twarz ta była chuda, poorana głębokimi bruzdami, a mimo wszystko nie pozbawiona uroku. Oczy spoglądały jasno i żywo, prosty nos miał w sobie coś władczego. Chociaż musiała dobrze przekroczyć sześćdziesiątkę, pozostało jej bogactwo wspaniałych ciemnych włosów. Była wysoka, chorobliwie chuda. Ręce, obejmujące lekko poręcz szezlongu, były żylaste i pomarszczone jak szpony baśniowych ptaków.

Przez kilka minut siedziała bez ruchu, cicha, milcząca. Nagle ręce jej zacisnęły się powoli, a usta otworzyły:

— Czego sobie panowie życzą? — zapytała cichym, dźwięcznym głosem.

— Proszę pani — odpowiedział Vance — jak już wspomniała panna Dillard, w domu jej stryja rozegrała się dziś rano tragedia. I ponieważ tylko pani okno wychodziło bezpośrednio na tor, pomyśleliśmy, że może pani mogła zauważyć coś, co by się okazało pomocne dla śledztwa.

Uspokoila się najwyraźniej, ale nim się znów odezwała, upłynęła dobra chwila.

— Co się właściwie stało?

— Zabito niejakiego pana Robina Gila. Może go pani знаła?

— Łucznika, mistrza Belli? Owszem, znałam... Zdrowe, silne dziecko... Mógł napiąć ciężki łuk bez zmęczenia. Kto go zabił?

— Nie wiemy. — Vance udając obojętność nie spuszczał z niej oka. — Ale ponieważ zabito go na torze, na wprost pani okna, przypuszczaliśmy, że może pani nam co powie.

Lady Mae spuściła powieki. Na twarzy jej malował się wyraz przebiegłości. Splotła ręce gestem zadowolenia.

— Czy pan jest pewny, że zabito go na torze?

— Znaleźliśmy go na torze — odpowiedział niedbale detektyw.

— Rozumiem... ale w czymże ja mogę panom pomóc?

— Oparła się ciężko o stos poduszek.

— Czy widziała pani kogoś na torze dziś rano? — zapytał Vance.

— Nie! — zaprzeczyła prędko i z naciskiem. — Nie widziałam

nikogo. Przez cały dzień nie wyjrzałam na tor ani razu.

Vance spojrział jej prosto w oczy i westchnął.

— Szkoda — szepnęła. — Gdyby pani wyglądała, prawdopodobnie byłaby pani świadkiem tragedii... Robina zabito strzałą z łuku i jak dotąd nie wiadomo, co mogło być motywem zbrodni.

— Pan wie, że go zabito strzałą z łuku? — zapytała, a jej blade policzki pokrył rumieniec.

— Tak opiewa orzeczenie lekarskie. Znaleźliśmy go ze strzałą w sercu.

— Naturalnie. To przecież zrozumiałe. Gil dostał strzałą w serce. — Mówiła tonem dziwnie wyniosłym, z wyrazem zachwyty w oczach.

Zapanowało napięte milczenie. Vance podszedł do okna wykuszu.

— Pani pozwoli, że wyjrzę?

Ocknęła się z wysiłkiem z głębokiego zamyślenia.

— Ależ owszem. Chociaż nie bardzo jest na co patrzeć. Widać drzewa na 76 Street od północy i część podwórza Dillardów od południa. Ale ceglana ściana na wprost jest przygnębiająca. Zanim wybudowano tę okropną kamienicę, miałam śliczny widok na rzekę.

Vance wyglądał chwilę na tor.

— Tak — rzekł — gdyby pani siedziała tu w oknie dziś rano, pewnie by pani zobaczyła, jak to się stało. Stąd jest doskonały widok na tor i drzwi od sutereny Dillardów... Szkoda. — Spojrzął na zegarek. — Czy syn pani jest w domu?

— Mój syn? Moje dziecko? Czego od niego chcecie?

W głosie jej zabrzmiała żalсна nuta, a oczy wpiły się w twarz Vance'a z wyrazem zjadliwej nienawiści.

— O, nic ważnego — odparł uspokajająco. — Tylko może on widział kogoś na torze...

— Nikogo nie widział! Nie mógł widzieć, bo go nie było. Wyszedł dziś wcześniej z rana i jeszcze nie wrócił.

Vance spojrział z politowaniem na starą kobietę.

— Nie było go całe rano? Czy pani wie, dokąd poszedł?

— Zawsze wiem, dokąd chodzi — odpowiedziała dumnie lady

Mae. — Wszystko mi mówi.

— I dziś także powiedział? — nalegał łagodnie detektyw.

— A naturalnie. Tylko zapomniałam. Muszę się zastanowić...

— Jej długie palce stukwały w poręcz szeslongu, a oczy biegały niespokojnie. — Nie mogę sobie przypomnieć. Ale zapytam go, gdy tylko wróci.

Panna Dillard przyglądała się starej przyjaciółce z wzrastającym zakłopotaniem.

— Ależ, lady Mae, Adolf był dziś rano u nas. Przyszedł zobaczyć się z Sigurdem...

Pani Drukker wyprostowała się w fotelu.

— Nic podobnego! — sarknęła patrząc na dziewczynę prawie ze złością. — Adolf musiał być dzisiaj na mieście. U państwa... w domu państwa... nie był... Wiem, że nie był!

Oczy jej zamigotały. Rzuciła Vance'owi wyzywające spojrzenie.

Chwilę kłopotliwego milczenia przerwało coś jeszcze bardziej przykrego.

Drzwi otworzyły się cicho i pani Drukker pochyliła się nagle w przód, wyciągając ręce.

— Mój syn! Moje dziecko! zawołała. Chodź tu, najdroższy!

Ale mężczyzna stojący w progu nie podszedł. Mrugając paciorkowatymi oczkami wpatrywał się w nas, jakby się obudził i nie poznawał, gdzie się znajduje. Adolf Drukker miał typowy wygląd garbusa: pięć stóp wzrostu, wrzecionowate nogi i ogromny, zniekształcony beczkowaty tors, wyolbrzymiony jeszcze kolosalną głową w kształcie kopuły. Ale z twarzy jego biła wielka inteligencja — straszliwa, namiętna siła, przykuwająca uwagę każdego, kto się z nim zetknął. Profesor Dillard nazwał go geniuszem matematycznym. Nie można było wątpić, że to człowiek olbrzymiej wiedzy.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał wysokim, drżącym głosem, spoglądając na pannę Dillard. — Czy to pani znajomi, panno Bello?

Chciała odpowiedzieć, ale Vance powstrzymał ją gestem.

— Panie Drukker — rzekł posepnie — sytuacja jest tego rodzaju, że musi nas pan usprawiedliwić. W sąsiednim domu



stało się nieszczęście. To jest pan Markham, prokurator okręgowy, a to sierżant Heath z policji. Panna Dillard przyprowadziła nas tutaj na naszą prośbę. Chcieliśmy się dowiedzieć, czy pańska matka nie zauważyła dziś rano czegoś niezwykłego na torze. Zabójstwo miało miejsce przed drzwiami sutereny domu profesora Dillarda.

Drukker wysunął brodę w przód i spojrział zezem.

— Zabójstwo? Jakie zabójstwo?

— Zabito strzałą z łuku niejakiego pana Robina Gila.

Twarz kaleki wykrzywiła się spazmatycznym grymasem.

— Gil zabity? Zabity?... Kiedy się to stało?

— Prawdopodobnie między jedenastą i dwunastą.

— Między jedenastą i dwunastą? — Spojrzął szybko na matkę i w zdenerwowaniu zaczął szarpać wielkimi, rozcapierzonymi palcami brzeg marynarki. — Co mama widziała?

— zapytał z błyskiem w oczach.

— Jak to, synu? — odparła bojaźliwym szeptem.

Twarz kaleki stężała, a po ustach przebiegło szydercze drgnienie.

— To, mamo, że mniej więcej o tej godzinie usłyszałem krzyk w tym pokoju.

— Nie słyszałeś! Nie! Nie! — zabrakło jej oddechu i podrzuciła nerwowo głowę. — Mylisz się, synu. Dziś nie krzyczałam.

— W takim razie krzyczał ktoś inny — odparł tonem chłodnym, nieustępliwym. — Usłyszawszy krzyk, wbiegłem na górę i nasłuchiwałem pod tymi drzwiami, ale mama spacerowała po pokoju nucąc „Eia Popeia”, wobec czego wróciłem do pracy.

Lady Mae przycisnęła chustkę do twarzy i przymknęła oczy.

— Pracowałeś między jedenastą a dwunastą? Ależ wołałam cię kilka razy... — Hamowała wzburzenie.

— Słyszałem, jak mama wołała, ale nie odpowiadałem, bo byłem bardzo zajęty.

— A więc tak — zwróciła się wolno ku oknu. — Myślałam, że wyszedłeś. Mówiłeś mi przecież...

— Mówiłem mamie, że idę do Dillardów, ale Sigurda nie

zastalem i przed jedenastą byłem z powrotem.

— Nie widziałam, jak wracałeś. — Osunęła się, wyczerpana, na poduszki, ze wzrokiem wbitym tępo w ceglany mur naprzeciwko. — Ponieważ nie odpowiadałeś na moje wołanie, myślałam, żeś jeszcze nie wrócił.

— Wyszedłem od Dillardów furtką na ulicę i do parku. Chciałem się przejść. — W głosie Drukкера brzmiała irytacja. — Wróciłem drzwiami frontowymi.

— I mówisz, że słyszałeś mój krzyk... Dlaczego miałabym krzyczeć, synu? Dziś mnie krzyż nie boli.

Drukker zmarszczył brwi i jego małe oczka przeniosły się szybko z Vance'a na Markhama.

— Słyszałem w tym pokoju krzyk... kobiety krzyk — powtórzył z uporem. — Mogło być w pół do dwunastej.

— Osunął się na fotel z wzrokiem wbitym posepnie w ziemię.

Przysłuchiwaliśmy się tej przykrej utarczce słownej między matką a synem jak zahipnotyzowani. Vance udawał, że przygląda się staremu sztychowi z osiemnastego wieku, wiszącemu na ścianie, ale jego czujnej uwagi nie uszło ani jedno słowo, ani jedno drgnienie głosu. Nagle odwrócił się i dawszy Markhamowi znak, aby nie interweniował, podszedł do fotela lady Mae.

— Bardzo panią przepraszamy za to przykre najście. Proszę nam wybaczyć, jeśli pani potrafi.

Skłonił się i podszedł do panny Dillard.

— Czy pani będzie łaskawa nas odprowadzić, czy mamy iść sami?

— Pójdziemy razem — odparła Bella i, zbliżywszy się do pani Drukker, uściśnęła ją. — Serdecznie przepraszam, lady Mae.

Gdyśmy wychodzili do hallu, Vance, jakby tknięty jakąś myślą, przystanął i obejrzał się na Drukкера.

— Może pan będzie łaskaw pójść z nami — poprosił zdawkowo, ale nagląco. — Znał pan Robina i może pan będzie mógł coś nam podsunąć...

— Nie chodź z nimi, synu! — krzyknęła matka siadając wyprostowana. Twarz jej wykrzywiła się bólem i trwogą.

— Nie chodź! To wrogowie! Chcą cię skrzywdzić...

Kaleka wstał.

— Dlaczegoż bym nie miał z nimi iść? — rzucił kapryśnie. — Sam jestem ciekaw tej sprawy. Może, jak mówią, będę im mógł być pomocny. — I machnąwszy niecierpliwie ręką, ruszył za nimi.

ROZDZIAŁ VI  
„JA — RZEKŁ WRÓBEL”

(Sobota, 2 kwietnia, godz. 3 po południu)

Znaleźliśmy się z powrotem w salonie Dillardów. Panna Bella poszła do stryja do biblioteki pozostawiając nas samych, a Vance, nie bawiąc się w żadne wstępy, przystąpił do rzeczy:

— Nie chciałem dręczyć pańskiej matki, panie Drukker, przesłuchując pana w jej obecności, ale zważywszy, że pan był dzisiaj w tym domu na krótko przed śmiercią Robina, konieczne jest ze względów proceduralnych, abyśmy z panem pomówili.

Drukker usadowił się koło kominka. Spojrzał podejrzliwie, lecz nie odpowiedział.

— Przyszedł pan tutaj około wpół do dziesiątej ciągnął Vance — zobaczyć się z panem Arnessonem?

— Tak.

— Wszedł pan przez suterенę?

— Zawsze tamtędy wchodzę. Po co obchodzić blok?

— Ale pana Arnessona nie było?

Kaleka skinął głową.

— Był na uniwersytecie.

— I nie zastawszy go, zabawił pan chwilę w bibliotece u profesora Dillarda? Rozprawialiście, panowie, o ekspedycji astronomicznej do Ameryki Południowej. Czy tak?

— Tak.

— Jak długo zabawił pan w bibliotece?

— Niecałe pół godziny.

— A potem?

— Potem zszedłem na dół do pokoju klubowego i przejrzałem jedno czasopismo. Był tam kącik szachowy, w którym omawiano końcowy „zugzwang”<sup>2</sup>, jaki powstał ostatnio w rozgrywce między Sapiro i Marshalllem. Usiadłem i

---

<sup>2</sup> „Zugzwang” -w żargonie szachowym: przymus posunięcia (w warunkach, gdy wszystkie możliwe ruchy są dla grającego niekorzystne).

przerobiłem to sobie...

— Chwileczkę, panie Drukker. — W głosie Vance'a zabrzmiało hamowane zaniepokojenie. — Pan się interesuje szachami?

— Do pewnego stopnia, chociaż nie poświęcam im dużo czasu. Ta gra nie ma charakteru czysto matematycznego i dla umysłu o nastawieniu naukowym nie jest dostatecznie spekulacyjna.

— Ile czasu to panu zajęło?

— Jakieś pół godziny.

— To znaczy, że gdy pan skończył, mogło być wpół do jedenastej.

— Mniej więcej. — Kaleka cofnął się w głąb fotela, ale nadal był czujny.

— A więc Robin i Sperling zastali pana w klubie.

Drukker nie odpowiedział od razu. Vance, udając, że nie widzi jego wahania, ciągnął dalej:

— Profesor Dillard zeznał, że przyszli o dziesiątej i, zatrzymawszy się chwilę w salonie, zeszli do sutereny.

— A Propos, gdzie jest teraz Sperling? — Drukker obrzucił nas podejrzliwym spojrzeniem.

— Oczekujemy go w każdej chwili — odparł Vance.

— Sierżant Heath posłał za nim dwóch ludzi.

Garbus uniósł brwi.

— A więc sprowadzacie go siłą? — Popatrzył na swoje splecione łopatkowate palce i znów podniósł z wolna wzrok na Vance'a. — Pyta pan, czy Robin i Sperling zastali mnie jeszcze w klubie? Owszem. Zeszli na dół, właśnie gdy szykowałem się do odejścia.

Vance rozparł się w fotelu i wyciągnął przed siebie nogi.

— Czy nie odniósł pan wrażenia, że ci młodzi ludzie wyrażając się eufemistycznie — byli z sobą na bakier?

Drukker odpowiedział po namyśle:

— Owszem. Teraz, kiedy pan to powiedział, przypomniałem sobie, że istotnie odnosili się do siebie z pewnym chłodem. Chociaż nie chciałbym osądzać kategorycznie, bo widzi pan, opuściłem klub, jak tylko przyszli.

— Wyszedł pan drzwiami od sutereny na tor i przez furtkę w murze na 75 Street? Tak pan mówił?

Kaleka znów się zawahał. Odpowiedział siląc się na niedbały ton.

— Owszem. Poszedłem nad rzekę przejść się, żeby powrócić do pracy ze świeżą głową. Koło 79 Street skręciłem do parku.

Heath, który wszelkie zeznania składane przed policją traktował z zasady podejrzliwie, wtrącił pytająco:

— Czy spotkał pan kogo znajomego?

Drukker zachnął się gniewnie, lecz Vance interweniował z pośpiechem:

— To nie ma znaczenia, sierżancie. W razie potrzeby będziemy mogli podjąć tę sprawę w każdej chwili.

Zwrócił się ponownie do kaleki. — Więc wrócił pan z przechadzki przed jedenastą. I wszedł pan do domu od frontu?

— Tak jest.

— A Propos: będąc tutaj z rana, nie zauważył pan nic szczególnego?

— Co widziałem, powiedziałem.

— I z pewnością słyszał pan krzyk matki — o wpół do dwunastej?

Vance nie poruszył się, zadając to pytanie, ale w głosie jego zabrzmiała swoista intonacja, która podziałała na Drukkera jak podcięcie biczem. Dźwignął z krzesła swe krępe ciało i stanął przed detektywem. Furia nim miotąca. Małe oczka ciskały błyskawice, wargi drżały konwulsyjnie, a ręce otwierały się i zaciskały spazmatycznie.

— Do czego pan zmierza? — zawołał przeraźliwym falsetem.

— Powiedziałem, że słyszałem jej krzyk. Wszystko mi jedno, czy ona temu przeczy, czy nie. Słyszałem również, że kręciła się po pokoju. Proszę sobie zapamiętać, że między jedenastą i dwunastą ja byłem w swoim pokoju i ona była w swoim pokoju. I nie uda się panu dowieść niczego. Oświadczam, że nie pozwolę się ciągnąć za język. Diabli panu do tego, co robiłem albo gdzie byłem, czy pan rozumie?...

Złąkłem się, że garbus rzuci się na Vance'a, tak groźna była jego idiotyczna pasja. Wyczuwając potencjalne nie-

bezpieczeństwo, Heath wstał i podszedł bliżej. Ale Vance nie ruszył się z miejsca, paląc papierosa jakby nigdy nic. Kiedy Drukker przycichł, rzekł spokojnie, bez śladu podniecenia w głosie:

— To wszystko, co chcieliśmy wiedzieć, panie Drukker. I doprawdy, nie ma pan czego się unosić. Przyszło mi po prostu do głowy, że krzyk pańskiej matki mógłby pomóc do ustalenia czasu morderstwa.

— Co jej krzyk mógł mieć wspólnego z czasem śmierci Robina? Czy nie powiedziała panu, że nic nie widziała?

— Kaleka wydawał się wyczerpany. Oparł się ciężko o krawędź stołu.

W tej chwili w drzwiach ukazał się profesor Dillard. Za nim stał Arnesson.

— Co się tu dzieje? — zapytał profesor. — Usłyszałem hałas i przyszedłem. — Spojrzał chłodno na Drukкера.

— Bella tyle już dziś przeżyła, że obeszloby się bez pańskich awantur. Co za dużo, to niezdrowo!

Vance wstał, lecz nim zdążył się odezwać, Arnesson podszedł do Drukкера, grożąc mu żartobliwie palcem.

— Doprawdy, powinieneś się nauczyć panować nad sobą, Adolfie. Bierzesz życie obrzydliwie poważnie. Od tak dawna przebywasz w gwiazdnych bezmiarach i nie nauczyłeś się jeszcze zachowywać proporcji? Jak można przywiązywać taką wagę do króciutkiego ziemskiego życia?

Drukker dyszał chrapliwie.

— Te świnię... — zaczął.

— Och, mój drogi! — przerwał Arnesson. — Cała rasa ludzka składa się ze świń. Po co wyszczególniać!... Chodź, odprowadzę cię do domu.

Ujął garbusa mocno pod ramię i sprowadził na dół.

— Bardzo mi przykro, że zakłóciliśmy panu profesorowi spokój — zwrócił się do pana domu Markham. — Pan Drukker wpadł w furję bez widocznej przyczyny. Śledztwo nie jest naturalnie przyjemną rzeczą, ale mamy nadzieję, że to długo nie potrwa.

— Oby jak najkrócej, panie prokuratorze! Starajcie się,

panowie, oszczędzać Belle. Nim odejdziecie, wstąpcie do mnie.

Po wyjściu profesora Markham przeszedł się po pokoju z czołem zmarszczonym, z rękami założonymi w tył.

— Co sądzisz o Drukkerze? — zapytał zatrzymując się przed Vance'em.

— Zdecydowanie niesympatyczna figura. Chory fizycznie i umysłowo. Urodzony kłamca, ale przebiegły — o, szatańsko przebiegły. Mózg anormalny — zjawisko często spotykane u kalek tego typu. Taki człowiek to czasami prawdziwy geniusz twórczy, jak na przykład Steinmetz, ule częściej potęga umysłu zbacza u nich na tory nieużytecznej, zawiłej spekulacji, jak u Drukera. Jednakże nasza krótka sprzeczka przyniosła korzyść. On ukrywa coś, co chciałby wyznać, ale boi się.

— Możliwe, naturalnie — przyznał z powątpiewaniem Markham. — Zdenerwowany jest. Przez cały czas obserwował cię jak kot.

— Raczej jak łasica — poprawił Vance. — Tak, zauważyłem, że nie spuszczał ze mnie oczu. To mi pochlebia.

— Jednakże nie widzę, żeby nam coś wyświecił.

— No, nie — zgodził się Vance. — Nie posunęliśmy się daleko, ale otworzyły się nam przynajmniej nowe widoki, Nasz drażliwy magik matematyczny dał nam dużo do myślenia, a jego matka to po prostu kopalnia bez dna. Gdybyśmy wiedzieli to, co oni wiedzą we dwoje, znaleźlibyśmy być może klucz do tej bzdurnej tajemnicy.

Heath, który od godziny trwał w posępnej, wzgardliwej zadumie, przybrał nagle zaczepną postawę.

— Panie prokuratorze, pozwoli pan sobie powiedzieć, że tracimy tu czas na próżno. Co przyjdzie z tych narad? Sperlinga nam tu potrzeba i kwita. Niech go tylko moi chłopcy przytaszczą i niech go tylko weźmiemy na spytki, to akt oskarżenia sam się robi. Kochał się chłop w tej pannie i był zazdrosny o Gila — nie tylko z jej powodu, ale i dlatego, że ten Gil umiał lepiej od niego strzelać tymi czerwonymi patykami. Pokłócili się z Gilem w tym tu salonie — pan profesor ich słyszał. I jak wykazało śledztwo, był na dole ze swoją ofiarą na kilka minut przed morderstwem.



— A w dodatku — uzupełnił ironicznie Vance — jego nazwisko znaczy „wróbel”. Quod erat demonstrandum. Nie, sierżancie, to za łatwe. Pański wniosek to coś jak ułożona z góry gra w karty. Ta gra była uplanowana zbyt przebiegle, aby podejrzenie mogło paść wprost na winowajcę.

— Nie widzę w tym nic przemyślanego — upierał się Heath. — Sperling wpada w pasję, porywa łuk, ściąga strzałę ze ściany, wychodzi za Gilem na tor, przedziurawia mu serce i wieje.

Vance westchnął:

— Jest pan zbyt prostoliniijny, sierżancie. Świat jest gorszy, niż się panu wydaje. Gdyby zdarzenia rozwijały się w tak naiwny sposób, życie byłoby bardzo proste i bardzo przygnębiające. Ale modus operandi zabójstwa Gila nie tak się przedstawia. Przede wszystkim żaden łucznik nie mógłby strzelając do ruchomego celu trafić z taką niesłychaną dokładnością — między żebra — prosto w serce. Następnie ta fraktura czaszki. Mogła pęknąć przy upadku, ale to nieprawdopodobne. Po trzecie, miał kapelusz u nóg, czego by nie było, gdyby upadł w naturalny sposób. Po czwarte, nasada strzały jest tak uszkodzona, że wątpię, czy dałaby się założyć na cięciwę. Po piąte, Gil był zwrócony twarzą do strzelającego, więc podczas gdy jego zabójca naciągał łuk i celował, miałby czas schować się i narobić alarmu. Po szóste...

Vance urwał i zapalił papierosa.

— Na Jowisza! Sierżancie! Przeoczyłem coś. Kiedy człowiek zostanie pchnięty w serce, następuje momentalnie wylew krwi, zwłaszcza jeżeli wbite ostrze jest szersze niż część wystająca z rany, bo wtedy nie może stanowić zatyczki dla rany. Och! Bardzo możliwe, że znajdzie pan ślady krwi na podłodze w klubie — najprawdopodobniej koło drzwi.

Heath zawahał się, ale tylko chwilę. Doświadczenie nauczyło go, że wskazówki Vance’a nie były nigdy do pogardzenia. Wstał tedy z dobrodusznym chrząknięciem i zniknął za drzwiami.

— Zaczynam rozumieć, co ci chodzi po głowie, Vance — rzekł zaniepokojony Markham. — Ale, na Boga! jeżeli pozorna śmierć Gila od łuku i strzały była inscenizacją ex

post facto, w takim razie mamy do czynienia ze zbrodnią tak szatańską, że po prostu niepojętą.

— To było dzieło szaleńca — uzupełnił dziwnie spokojnie Vance. — O, nie konwencjonalnego szaleńca, który wyobraża sobie, że jest Napoleonem, ale szaleńca o mózgu tak kolosalnym, że normalny ludzki rozum doszedł u niego do *reductio ad absurdum* — to jest osiągnął wyżyny, na których sam humor staje się formułą w czterech wymiarach.

Markham puszczał w zadumie kłęby dymu.

— Mam nadzieję, że Heath niczego się nie doszuka — rzekł w końcu.

— Dlaczego, na Boga? — odparł Vance. — Jeżeli nie znajdzie się dowód rzeczowy, że Gil poniósł śmierć w suterenie, to nam to tylko utrudni śledztwo z prawnego punktu widzenia.

Ale dowód rzeczowy był już w drodze. W parę minut później powrócił sierżant, przygnębiony, lecz podniecony.

— Cholera, panie Vance! — zawołał. — Miał pan nosa.

— Nie ukrywał zachwytu. — Na podłodze nie ma co prawda krwi, ale na betonie pozostała ciemna plama od szorowania mokrą ścierką. Jeszcze nie zdążyła wyschnąć. I tak, jak pan powiedział, plama znajduje się koło drzwi. Co jest szczególnie podejrzane, to fakt, że zakryto ją matą. Ale to nie oczyszcza bynajmniej Sperlinga — dodał zaczepnie. — Mógł zastrzelić Robina Gila w suterenie.

— A potem zmył krew, wytarł łuk i strzałę, wyniósł ciało i łuk na tor i ulotnił się... co? W jakim celu? Łucznictwo nie jest domowym sportem, sierżancie, i Sperling jako rutynowany łucznik nigdy by się nie porwał na morderstwo za pomocą łuku i strzały. A taki strzał, jak ten, który położył koniec karierze Gila, mógł się udać tylko fuksem. Sam Teukros nie mógłby mieć pewności, czy mu się uda, a przecież podług Homera Teukros był najlepszym łucznikiem Grecji.

W tej chwili w hallu rozległy się kroki, w otwartych drzwiach mignęła sylwetka odchodzącego Pardee'ego. Vance wstał nagle i postąpił ku drzwiom.

— Halo, panie Pardee. Proszę tu na chwilę do nas.

Szachista odwrócił się uprzejmie, ruchem pełnym gracji.

— Chcielibyśmy zadać panu jeszcze jedno pytanie. Widział pan z rana Sperlinga i Beedle'ową, wychodzących na ulicę furtką w murze. Czy pan jest zupełnie pewny, że oprócz nich nikt tamtędy nie wychodził?

— Najzupełniej. To jest, nie przypominam sobie.

— Miałem na myśli pana Drukera.

— Drukera? — Pardee potrząsnął głową nader energicznie.

— Nie, jego bym zapamiętał. Naturalnie, mogło tamtędy wejść i wyjść z dwunastu ludzi, a ja nie zwróciłem na nich uwagi.

— Tak, oczywiście — mruknął obojętnie Vance. — A propos, czy pan Druker dobrze gra w szachy?

Pardee okazał cień zdziwienia.

— Nie, ściśle biorąc, nie można go nazwać szachistą wyjaśnił rzeczowo. — Ale jest świetnym analitykiem i rozumie teorię gry zdumiewająco głęboko. Jednakże praktykę ma niewielką.

Po odejściu Pardee'ego Heath zerknął triumfalnie na Vance'a.

— Widzę, proszę pana — zauważył dobrodusznie — że nie ja jeden chciałbym sprawdzić alibi garbusa.

— A! Tylko że jest różnica między sprawdzeniem alibi i żądaniem, aby dana osoba sama go dowiodła.

W tej chwili drzwi frontowe otworzyły się na oścież, w hallu rozległy się ciężkie kroki i w łukowej framudze drzwi ukazali się trzej ludzie. Dwaj z nich, najwidoczniej detektywi, prowadzili między sobą eleganckiego wysokiego młodzieńca, lat około trzydziestu.

— Mamy go, sierżancie — oznajmił ze zjadliwym zadowoleniem jeden z detektywów. — Drapnął stąd prosto do domu i właśnie się pakował, kiedyśmy go nakryli.

Sperling rozejrzał się po pokoju z gniewną obawą. Heath stanął przed nim z rękami w kieszeniach mierząc go od stóp do głów triumfalnym spojrzeniem.

— Cóż, młody człowieku, myślałeś, że ci się uda, he?

Sierżant mówił nie wypuszczając z ust skaczącego cygara.

Sperling zaczerwienił się, ale zaciął usta.

— Co? Nie masz pan nic do powiedzenia? — ciągnął z furią Heath. — Jesteś cichy ptaszek, co? Czekać, będziesz ty nam

śpiewał! — Zwrócił się do Markhama. — A teraz co? Czy mam go zabrać na Komendę Główną, panie prokuratorze?

— Może pan Sperling zechce nam odpowiedzieć, na kilka pytań tutaj — odparł spokojnie Markham.

Sperling patrzył nań chwilę, po czym przeniósł wzrok na Vance'a, który dał mu głową znak zachęty.

— Jakich pytań? — zapytał siląc się na spokój. — Przygotowywałem się do wyjazdu na weekend, kiedy wtargnęły te draby. Przywiedli mnie tutaj bez słowa wyjaśnienia. Nie zdołałem nawet zawiadomić rodziny. I teraz jeszcze chcecie mnie zabrać na policję! — Rzucił Heathowi wściekle spojrzenie. — Dobrze, ciągnijcie mnie na policję i niech was diabli wezmą!

— O której godzinie wyszedł pan z tego domu dzisiaj rano, panie Sperling? — zapytał łagodnie i uprzejmie Vance, jakby go chciał uspokoić.

— Kwadrans po jedenastej. Chciałem zdążyć na pociąg o jedenastej czterdzieści z Grand Central do Scarsdale.

— A pan Gil?

— Nie wiem, kiedy on wyszedł. Miał czekać na Bellę

— pannę Dillard. Zostawiłem go w suterenie.

— A Drukкера pan widział?

— Owszem, chwilkę. Zastaliśmy go w suterenie, ale zaraz wyszedł.

— Przez furtkę w murze? Czy poszedł torem do domu?

— Nie pamiętam... nie zwróciłem uwagi... Ale o co właściwie chodzi?

— Gila zamordowano — objaśnił Vance — coś około jedenastej.

Sperlingowi o mało oczy nie wyskoczyły z orbit.

— Robin zamordowany? Mój Boże!... Kto, kto go zabił?

— Zwilżył językiem zeschłe wargi.

— Jeszcze nie wiemy — odparł Vance. — Znaleziono go nieżywego ze strzałą w sercu.

Sperling zmartwiał. Oczy jego przesunęły się bezmyślnie po pokoju. Sięgnął niezgrabnie do kieszeni po papierosa.

Heath przystąpił do niego z wysuniętą zaczepnie brodą.

—Może pan będzie nam mógł powiedzieć, kto go zabił strzałą z łuku?

—Jak to... co... skąd ja mam wiedzieć? — wyjąkał z trudem młody człowiek.

—No, więc — napierał nieubłagane sierżant — byłeś pan zazdrosny o Gila? Pożarliście się tu w tym pokoju u pannę, nieprawdaż? I byłeś pan z nim sam na sam do ostatniej chwili przed zabójstwem, nieprawdaż? I uchodziłeś pan za dobrego łuczника, nieprawdaż? Właśnie dlatego sądzę, że pan możesz coś wiedzieć. — Zmrużył oczy i wyszczerzył zęby. — Proszę, przyznaj się pan od razu. Nikt inny nie mógł tego zrobić, tylko pan. Rywalizowaliście o dziewczynę i byłeś pan ostatnim człowiekiem, takiego z nim widziano na kilka minut przed mordem. I kto inny mógł go zastrzelić z łuku, jak nie mistrz łuczniczy, co? Przyznaj się pan od razu. Lepiej będzie dla pana. Mamy pana w ręku.

W oczach Sperlinga pojawił się dziwny wyraz, zeszywniał.

— Proszę mi powiedzieć — rzekł nienaturalnie brzmącym głosem — czy znaleźliście łuk?

— Pewnie że znaleźliśmy — zaśmiał się nieprzyjemnie Heath. — Tam, gdzieś go pan porzucił.

— Jaki to był łuk? — Sperling patrzył nieruchomo w przestrzeń.

— Jaki łuk? — powtórzył sierżant. — Przepisowy łuk...

Vance, który nie spuszczał oczu z młodego człowieka, wtrącił nagle:

— Rozumiem to pytanie, sierżancie. To był damski łuk, panie Sperling. Pięć stóp, sześć cali i dość lekki — waga poniżej trzydziestu funtów.

Sperling odetchnął powoli i głęboko, jak człowiek gotujący się do jakiegoś ostatecznego kroku, i wargi jego rozchyliły się w nikłym, niewesołym uśmiechu.

— Na co się przyda zapierać? — rzekł obojętnie. — Myślałem, że zdążę uciec... Tak, ja go zabiłem.

Heath wydał pomruk zadowolenia i jego zaczepny nastrój rozwiął się momentalnie.

— Masz pan więcej oleju w głowie, niż myślałem — rzekł

niemal ojcowskim tonem, dając znak dwóm detektywom. — Zabierzcie go, chłopcy. Mój wóz czeka przed domem. I zamknijcie go bez wciągania do ewidencji. Ja sam przygotuję protokół w biurze.

— W drogę, przyjacielu — rzekł jeden z detektywów, kierując się do wyjścia.

Ale Sperling nie posłuchał od razu. Jego błagalny wzrok spoczął na twarzy Vance'a.

— Czy mógłbym... czy... czy... — zaczął.

Vance potrząsnął głową.

— Nie, panie Sperling. Lepiej będzie, jeżeli się pan z panną Dillard nie zobaczy. Nie ma co grać jej na nerwach w tej chwili... Odwagi!

Młody człowiek odwrócił się w milczeniu i wyszedł eskortowany przez swoich pogromców.

## ROZDZIAŁ VII KONKLUZJA VANCE'A

(Sobota, 2 kwietnia, godz. 3.30 po południu)

Gdy zostaliśmy znów sami, Vance wstał, przeciągnął się i podszedł do okna. Scena, która się przed chwilą rozegrała, a zakończyła tak zaskakująco, oszołomiła nas. Myśleliśmy o jednym i tym samym. Vance głośno wypowiedział myśl, która nas wszystkich nurtowała:

—Zdaje mi się, że powróciliśmy do dzieciennego pokoju...

„Kto — rzekł wróbel. — Ja. Bez huku,  
Z cichym świstem, strzałą z łuku  
Ja zabiłem! Ja zabiłem!”

— Słuchaj, Markham, sprawa się komplikuje.

Powrócił wolno do stołu i zgniótł papierosa. Kątem oka zerknął na Heatha.

— Coś pan taki zadumany, sierżancie? Powinien pan śpiewać z radości i tańczyć tarantellę. Zbrodniarz przyznał się do krwawego czynu i niebawem zamkną się za nim mury więzienia. Czyś pan zadowolony?

— Jeżeli mam powiedzieć prawdę — oświadczył posepnie sierżant — to nie jestem zadowolony. Zbyt prędko się przyznał. Widziałem niejednego w takich opałach, ale ten nie zachowywał się tak, jakby był naprawdę winien. Fakt, proszę pana.

— W każdym razie — wtrącił Markham — to niedorzeczne przyznanie się położy tamę ciekawości prasy i da nam swobodę działania. Sprawa narobi piekielnego hałasu, ale dopóki reporterzy będą przekonani, że winowajca jest już za kratkami, nie będą nas napastować o ostatnie wiadomości.

— To nie znaczy, żeby był całkiem niewinny — wtrącił napastliwie Heath, najwidoczniej wbrew własnemu przekonaniu. — Bądź co bądź, mamy przeciwko niemu ciężkie

poszlaki, i chłop, rozumiejąc to i myśląc, że szybkie przyznanie się ulży jego losowi, nie zwlekał. Może on nie taki głupi.

— Nie, sierżancie — zaoponował Vance. — Przecież to jasne, co on myślał. Wiedział, że Gil czekał na pannę Dillard, wiedział również, że wczoraj wieczorem dała mu kosza. Sperling najwidoczniej nie miał wysokiego wyobrażenia o Robinie. Usłyszawszy, że go zabito strzałą z łuku, i to damskiego łuku, doszedł momentalnie do przekonania, że rywal w zapale zalotów zapomniał o honorze i dostał strzałę w serce zgodnie z wymaganiami tegoż honoru. Wobec tego naszemu szlachetnemu, pół-wiktoriańskiemu wróblowi nie pozostało nic innego, jak uderzyć się w męską pierś i oświadczyć: „ecce homo!”... To bardzo przykra komplikacja.

— W każdym razie — mruknął Heath — nie mam zamiaru wypuszczać go na wolną stopę. Jeżeli pan prokurator nie zechce wytoczyć mu sprawy, wolna ręka!

Markham spojrział pobłaźliwie na Heatha. Był wielkoduszny i nie obraził się. Rozumiał dobrze, co się działo w duszy sierżanta.

— Może jednak, sierżancie — rzekł łagodnie — jeżeli nawet pozostawię Sperlinga w spokoju, nie odmówi mi pan dalszej pomocy.

Heath pożałował momentalnie niegrzecznych słów. Zerwał się z krzesła i pobiegł do Markhama z wyciągniętą ręką.

— Ależ, oczywiście, panie prokuratorze!

Markham uściśnął podaną sobie prawicę i wstał z miłym uśmiechem na ustach.

— A więc na razie pozostawię całą sprawę w rękach pana. Mam robotę w biurze i kazałem Swackerowi, żeby na mnie czekał. — Ruszył ociężale ku drzwiom. — Przed odejściem pomówię jeszcze z profesorem i panną Dillard. Chce mi pan jeszcze coś powiedzieć, sierżancie?

— Może ja bym poszukał tej szmaty, której użyto do wytarcia podłogi w klubie? I przy okazji przeszukamy suterенę. I raz jeszcze przycisnę do muru kucharkę i lokaja — a zwłaszcza kucharkę. Musiała być blisko, kiedy się to wydarzyło... Oprócz tego muszę jeszcze odwalić trochę rutynowych formalności:



rozejrzeć się w sąsiedztwie itepe.

—Niech mi pan da znać o rezultatach. Będę w Klubie Stuyvesant dziś wieczorem i jutro po południu.

Vance spotkał się z Markhamem w progu.

—Słuchaj, chłopie — rzekł, gdy szli ku schodom — nie lekceważ wartości kryptogramu, znalezionego w skrzynce pocztowej. Mam przeczucie, że w nim kryje się klucz do dziecinnej wierszyka. Radziłbym ci zapytać profesora i jego bratanicę, czy słowo „biskup” nie ma dla nich Jakiegoś specjalnego znaczenia. Ten klerykalny podpis nie jest bez sensu.

— Nie jestem taki pewny — odparł z powątpiewaniem Markham. — Dla mnie ten podpis jest całkowicie niedorzeczny, ale jeżeli chcesz, to zapytam.

Okazało się jednak, że ani profesor, ani bratanica nigdy nie słyszeli o żadnym biskupie, i profesor był skłonny przychylić się do opinii prokuratora, że tajemniczy papier nie mógł mieć istotnego związku ze sprawą śmierci Robina.

—Ten list robi na mnie wrażenie uczniowskiego figla zauważył. — Nie do pomyślenia, żeby zabójca Robina przybierał jakiś bezsensowny pseudonim i pisał listy o swej zbrodni. Nie znam kryminalistów, ale wydaje mi się, że to nie w ich stylu. To nie jest logiczne.

— Ależ sama zbrodnia była nielogiczna — zaopiniował uprzejmie Vance.

—Nie można osądzać rzeczy jako nielogicznej — zauważył cierpko profesor — nie znając wcale przesłanek sylogizmu.

— Właśnie. — W głosie Vance’a brzmiał ton wyszukanej grzeczności. — A więc i sam list może być nie pozbawiony logiki.

Markham przyłączył się taktownie do rozmowy, zmieniając temat:

— Chciałem panu zakomunikować, profesorze, że Sperling był tu przed chwilą; dowiedziawszy się o śmierci Robina, przyznał się, że to on go zamordował.

— Rajmund przyznał się! — jęknęła panna Dillard.

Markham spojrział na nią ze współczuciem.

— Szczerze mówiąc, nie wierzę w jego winę. Niewątpliwie powodowała nim jakaś opacznie pojęta rycerskość...

— Rycerskość? — powtórzyła, pochylając się sztywno do przodu. — Co pan przez to rozumie, panie prokuratorze?

Odpowiedział Vance:

— Łuk znaleźliśmy na torze, należał do typu lekkich łuków damskich.

— Och! — zakryła twarz dłońmi i ciałem jej wstrząsnęło łkanie.

Profesor Dillard popatrzył na nią bezradnie. Widać było, że ta sytuacja go irytuje.

— Cóż za idiotyzm, prokuratorze! — wykrzyknął.

— Każdy łucznik potrafi strzelać z damskiego łuku... Jakiż to głupi chłopak! Teraz ona przez niego płacze. Panie Markham, proszę, niech pan ratuje tego chłopca!

Markham zapewnił profesora, że zrobi wszystko, co możliwe. Zaczęliśmy się szykować do wyjścia.

— A propos, profesorze — rzekł Vance zatrzymując się w progu — mam nadzieję, że pan mnie źle nie zrozumie, ale nie jest wykluczone, że zagadkowy list napisał na maszynie jakiś zartowniś mający wstęp do tego domu. Czy przypadkiem nie ma w tym domu maszyny?

Nie uległo wątpliwości, że profesor poczuł się tym pytaniem dotknięty. Pomimo to odpowiedział dość grzecznie:

—Nie ma, o ile wiem, nie ma. Miałem maszynę dziesięć lat temu, ale po opuszczeniu uniwersytetu kazałem wyrzucić. Jeżeli mam coś do przepisania, zwracam się do biura...

—A pan Arnesson?

—Nigdy nie używa maszyny.

Na schodach spotkaliśmy Arnessona. Wracał od Drukera.

—Ułagodziłem naszego miejscowego Leibnitza oznajmił z przesadnie ciężkim westchnieniem. — Biedny Adolf! Świat jest ponad jego siły. Szczęśliwy, gdy się zanurza w odmęt relatywistycznych formuł Lorentza i Einsteina, ale wystarczy chłopca ściągnąć na padół rzeczywistości, a popada w dezintegrację.

—Może pana zainteresuje wiadomość — rzekł zdawkowo

Vance — że Sperling przyznał się właśnie do zbrodni.

— Ha! — zachichotał uczony. — W porządku! „Kto? - rzekł wróbel. — Ja...” Doooskonale! Chociaż nie rozumiem, jak się to wyrazi matematycznie.

— I ponieważ przyrzekliśmy informować pana o wszystkim — ciągnął Vance — może panu ułatwi obrachunki fakt, że Gil został zabity w suterenie, a potem dopiero wyniesiony na tor.

— To ciekawe! — Arnesson momentalnie spowaźniał.

— Tak, dla mojej formuły może się to okazać ważne.

— Odprowadził nas do drzwi frontowych. — Jeżelibym mógł się na coś przydać, proszę do mnie zajść.

Vance przystanął, żeby zapalić papierosa, ale poznałem po apatycznym wyrazie jego oczu, że powziął jakieś postanowienie. Zwrócił się powoli do Arnessona:

— Nie wie pan przypadkiem, czy Drukker albo Pardee mają maszynę do pisania?

Arnesson drgnął i w oczach jego zagrały chytre błyski.

— Aha! To biskupie pismo... Rozumiem. Kwestia sumienności. Słusznie. — Skinął z zadowoleniem głową.

— Tak, obaj mają maszyny. Drukker pisze bezustannie, powiada, że myśli w takt stukania. A korespondencja szachowa Pardee'ego jest tak obfita, jakby był amantem filmowym. Załatwia ją osobiście.

— Czy sprawiłoby panu wielką trudność postarać się o próbki pisma obu maszyn i papieru używanego przez tych panów?

— Żadnej — odpowiedział uczony, uradowany z polecenia. — Będę je miał jeszcze dzisiaj. Gdzie mam pana szukać?

— Pan Markham będzie w Klubie Stuyvesant. Może pan zatelefonować i umówić się...

— Po co się umawiać? Sam dostarczę panu prokuratorowi moje trofea jak najchętniej. Rozkoszna rzecz taka zabawa w detektywa.

Vance i ja wróciliśmy do domu autem Markhama, a on poszedł do biura. O siódmej spotkaliśmy się w Klubie Stuyvesant i ^jedliśmy tam obiad, a o wpół do ósmej wieczorem siedzieliśmy w ulubionym kącie Markhama z

papierosami nad czarną kawą. W czasie obiadu nie mówiliśmy wcale o śledztwie. Wieczorne wydania pism podały krótkie informacje o śmierci Gila. Heathowi udało się najwidoczniej pohamować ciekawość reporterów i nie dopuścić do wybuchu psychozy. Ponieważ urząd śledczy był już zamknięty, reporterzy nie mogli napastować Markhama o szczegóły, wobec czego prasa wieczorna uzyskała jedynie skąpe informacje. Sierżant obstawił dom Dillardów tak skutecznie, że żadnemu reporterowi nie udało się dotrzeć do nikogo z domowników.

Prokurator zabrał z jadalni wieczorne wydanie „Sun” i teraz popijając kawę przeglądał je starannie.

— Pierwsze słabe echo — zauważył z westchnieniem.

— Drżę na myśl, co przyniesie prasa poranna.

— Trzeba to znieść — uśmiechnął się bez współczucia Vance.

— Z chwilą gdy któryś z inteligentniejszych reporterów wpadnie na trop kombinacji gil-wróbel-strzała, wydawcy oszaleją z radości i wszystkie tytułowe strony pism upodobnią się do reklamowych ogłoszeń „Wierszyków dla Naszych Milusińskich”.

Markham zadumał się melancholijnie. Nagle grzmotnął gniewnie pięścią w poręcz fotela.

— Do diabła, Vance! Nie dam sobie wmawiać tych idiotyzmów z dziecinnymi wierszykami! Mówię ci, że to prosty zbieg okoliczności. To absolutnie niemożliwe! zrozpaczony dokończył z furją.

Vance westchnął.

— Sparafrazujmy Butlera:

„Wbrew swojej woli odmień przekonania, gdyż mimo wszystko jesteś mego zdania”. — Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej arkusz papieru. — Ale odkładając na stronę pro tempore juvenilia, oto ciekawy przebieg wydarzeń, który zestawilem przed obiadem...

To znaczy byłby pewno ciekawy, gdybyśmy wiedzieli, jak go interpretować.

Markham studiował papier kilka minut. Przebieg wydarzeń Vance’a wyglądał tak:

- 9 rano Arnesson wychodzi do biblioteki uniwersyteckiej
- 9.15 " Bella Dillard idzie na tenisa.
- 9.30 " Drukker przychodzi zobaczyć się z Arnessonem.
- 9.50 " Drukker schodzi na dół do klubu łuczniczego.
- 10 " Przybywają Robin i Sperling i pół godziny bawią w salonie.
- 10.30 " Robin i Sperling schodzą do sutereny.
- 10.32 " Drukker — jak sam twierdzi — wychodzi furtką w murze i udaje się na spacer.
- 10.35 " Beedle'owa idzie na targ.
- 10.55 " Podobno Drukker wraca do siebie.
- 11.15 " Sperling odchodzi przez furtkę w murze.
- 11.30 " Druker jakoby słyszy krzyk w pokoju matki
- 11.35 " Profesor Dillard wychodzi na balkon pokoju Arnessona.
- 11.40 " Profesor Dillard spostrzega ciało Robina na torze
- 11.45 " Profesor Dillard telefonuje do urzędu śledczego.
- 12.25 po poł. Bella Dillard wraca z tenisa.
- 12.30 " Do domu Dillardów przybywa policja.
- 12.35 " Breadle'owa w raca z targu
- 14 " Arnesson wraca z uniwersytetu.

Ergo: Robin został zabity między 11.15 (kiedy odszedł Sperling) i 11.40 (kiedy profesor Dillard zobaczył ciało). W tym czasie jedynymi obecnymi w domu osobami byli: Pynn i profesor Dillard.

A oto gdzie się znajdowały pozostałe osoby, związane w ten czy inny sposób z morderstwem (podług zeznań i posiadanych dowodów):

1.Arnesson siedział od 10 rano do 2 po południu w bibliotece uniwersyteckiej.

2.Bella Dillard grała w tenisa od 9.15 do 12.25.

3.Drukker był na spacerze w parku między 10.32 a 10.55. Od 10.55 siedział w swoim gabinecie.

4.Pardee spędził cały ranek w domu.

5.Pani Drukker spędziła cały ranek w swoim pokoju.

6.Beedle'owa znajdowała się na targu od 10.35 do 12.35.

7.Sperling między 11.15 a 11.40 był w drodze na Grand Central, gdzie wsiadł do pociągu do Scarsdale.

K o n k l u z j a: O ile przynajmniej jedno z tych siedmiu alibi nie zostanie zachwiane, cały ciężar podejrzenia, a właściwie winy, musi spaść albo na Pynna, albo na profesora Dillarda.

Skończywszy czytać, Markham zachnął się gniewnie:

— Nedorzeczna insynuacja — rzekł cierpko. — A konkluzja jest non sequitur. Chronologiczne zestawienie wypadków pomaga do ustalenia chwili śmierci Robina, ale twoje przypuszczenie, że jedna z widzianych przez nas dzisiaj osób musi być winna, nie wytrzymuje krytyki. Nie bierzesz wcale pod uwagę, że zbrodnię mógł popełnić ktoś postronny. Na tor łuczniczy i do sutereny można się dostać wcale nie wchodząc do domu trzema wejściami: furtką w murze, wychodzącą na 75 Street, drugą furtką w murze, wychodzącą na 76 Street, i uliczką między dwiema kamienicami, wychodzącą na Riverside Drive.

— Och, bardzo prawdopodobne, że użyto którejś z tych trzech dróg — odparł Vance. — Ale nie zapominaj, że wejściem najdyskretniejszym, a zatem najprawdopodobniejszym jest uliczka między kamienicami, zamknięta bramką, do której klucz znajduje się w posiadaniu Dillardów. Trudno przypuszczać, aby morderca wszedł na tor przez którąś z bocznych furtek wprost z ulicy. Zanadto by ryzykował, że go zobaczą.

Vance pochylił się do przodu. Twarz miał poważną.

— I są jeszcze inne racje, wyłączające osoby postronne czy przypadkowych włóczęgów. Człowiek, który posłał Robina w zaświaty, musiał wiedzieć, że w domu Dillardów tego dnia rano między jedenastą piętnaście i jedenastą czterdzieści byli obecni tylko Pynn i profesor. Musiał wiedzieć, że nie spotka się z Bellą. Musiał również wiedzieć, że kucharka wyszła i że go nie usłyszy ani nie przyłapie. Musiał wiedzieć, że Sperling odszedł, a Gil-skazaniec pozostał. Nadto musiał się orientować jako tako w rozkładzie domu, wiedzieć, któredy się idzie do sutereny, bo przecież jasna rzecz, że mord miał miejsce w

suterenie. Nikt nie obznajomiony z tym wszystkim nie odważyłby się wejść, żeby zainscenizować tak dalece teatralną zbrodnię. Zapewniam cię, że musiał to być ktoś bardzo bliski Dillardom, ktoś, kto mógł wiedzieć, jak się tego rana przedstawiała sytuacja domowa.

— A co sądzisz o krzyku pani Drukker?

— Sądzę, że okno jej mogło stanowić ten czynnik niebezpieczeństwa, który morderca przeoczył. A może nie przeoczył, lecz po prostu zaryzykował. Z drugiej strony nie wiemy z pewnością, czy ta kobieta krzyczała, czy nie. Ona mówi, że nie krzyczała. Syn mówi, że krzyczała. Oboje mają swoje prywatne powody, żeby nas wprowadzać w błąd. Drukker mógł zmyślić, że matka krzyczała, aby wskazać, że między jedenastą i dwunastą był w domu, a ona mogła zaprzeczyć z obawy, że go nie było. Słowem, istny pasztet. Ale mniejsza z tym. Istotna jest moja teza, że sprawcą szatańskiego czynu mógł być jedynie człowiek obznajomiony ze stosunkami panującymi w domu Dillardów.

— Mamy za mało faktów na poparcie tej konkluzji

— zaoponował Markham. — Nie trzeba wyłączać przypadku...

— Naturalnie, ale przypadek możemy rozciągnąć na kilka permutacji, a nie na dwadzieścia. I nie zapominaj o liście pozostawionym w skrzynce. Morderca znał imię ofiary.

— O ile autorem listu był morderca.

— Więc wolisz zakładać, że jakiś postrzelony żartowniś odgadł zbrodnię telepatycznie lub że wyczytawszy wiadomość o niej w kuli kryształowej poleciał do maszyny, ułożył dytyramb i wrócił galopem do domu Dillardów, narażając się bez powodu na straszne ryzyko wpadnięcia w ręce policji w chwili, gdy będzie wrzucał papier do skrzynki?

Nim Markham zdążył odpowiedzieć, wpadł do sali Heath, najoczywiściej strapiiony i zdenerwowany. W rękę trzymał zaadresowaną maszynowym pismem kopertę, którą bezceremonialnie wręczył prokuratorowi.

— „World” otrzymał to z przedwieczorną pocztą. Był u mnie przed chwilą Quinan, reporter „Worldu”. Mówił, że „Times” i

„Herald” dostały takie same listy. Wrzucono je prawdopodobnie na pocztę między jedenastą i dwunastą, bo na pieczętkach jest godzina pierwsza. Co więcej, wrzucono je do skrzynki w sąsiedztwie domu Dillardów, bo przeszły przez urząd pocztowy „N”, West 69 Street.

Markham wyjął arkusik z koperty. Zauważyłem, że otworzył szeroko oczy i zaciął usta. Podał go Vance’owi nie patrząc na niego. Tajemnicze pismo stanowiło kopię arkusika znalezione w skrzynce domu Dillardów. Było również maszynowe: „Robin Gil nie żyje. Kto zabił gila? Sperling znaczy wróbel. — Biskup”.

Vance ledwo zerknął na list.

— Logiczne — zauważył obojętnie. — Biskup obawiał się, że publiczność nie pozna się na jego żarcie, więc wyjaśnił rzecz za pośrednictwem prasy.

— Powiada pan: żart? — zapytał z goryczą sierżant.

Nie jestem przyzwyczajony do takich żartów. Można oszaleć...

— Właśnie, sierżancie. To jest żart szaleńca.

Do prokuratora podszedł chłopak w liberii i, pochyliwszy się dyskretnie nad jego ramieniem, powiedział coś szeptem.

— Poproś go tu zaraz — rozkazał Markham i zwrócił się do nas: — Arnesson. Pewnie przychodzi z próbkami pisma. — Zasepił się i spojrzawszy znów na list przyniesiony przez Heatha, rzekł cicho: — Vance, zaczyna mi się wydawać, że miałeś rację, mówiąc, że to może być okropna sprawa. Ciekaw jestem, czy próbki pisma okażą się takie same...

Ale próbki, dostarczone przez Arnessona, wykazały niezbitcie, że tajemnicze listy nie pochodziły ani spod maszyny Drukera, ani Pardee’ego i papier też był zupełnie inny.



## ROZDZIAŁ VIII

### AKT DRUGI

(Poniedziałek, 11 kwietnia, godz. 11.30 przed południem)

Nie trzeba przypominać, jaką sensację wywołała wiadomość o zabójstwie Gila. Wszyscy pamiętają, jak tę przerażającą tragedię opisywała prasa. Nazywano ją różnie. Jedni reporterzy mówili po prostu o zamordowaniu Gila; inni mniej rzeczowo, natomiast nastawieni bardziej literacko, ochrztili sensację mianem sprawy wierszykowej. Ale podpis na listach pisanych na maszynie też podziałał silnie na dziennikarską wyobraźnię i zaczęto mówić o biskupiej tajemnicy. Tak dziwna i straszna zarazem kombinacja grozy i dziecinady działała na wyobraźnię czytelników. Złowrogo psychopatyczne powiązanie szczegółów mordu stwarzało atmosferę groteskowo hipnotycznej grozy, z której trudno się było otrząsnąć.

Przez cały tydzień po dokonaniu mordu detektywi z wydziału zabójstw, jak również detektywi przydzieleni do prokuratury szukali śladów dzień i noc. Fakt, że główne poranne pisma nowojorskie otrzymały również zawiadomienia od Biskupa, przekonał ostatecznie Heatha o niewinności Sperlinga. I jakkolwiek nie zgodził się położyć swego oficjalnego imprimatur na niewinności Sperlinga, zaczął szukać innego właściwego winowajcy, jak to on, z zaciekłością i uporem. Prowadził śledztwo wzorowo. Nie przeoczył żadnej najsłabszej poszlaki. Raport, jaki przygotował, rozradowałby serca nawet ultra- drobiazgowych kryminologów z uniwersytetu w Lozannie.

W dzień zbrodni po południu zrobił ze swoimi ludźmi gruntowną rewizję w, poszukiwaniu ścierki, której użyto do wytarcia krwi w suterenie, jednakże bez rezultatu. Bez wyniku pozostało również sumienne przeszukanie sutereny Dillardów, chociaż Heath użył do tej roboty najlepszych ekspertów. Tyle tylko stwierdzono, że mata, która leżała koło drzwi, została

przesunięta na zmyte miejsce. Ale to odkrycie jedynie potwierdziło wcześniejsze spostrzeżenia sierżanta.

Orzeczenie post mortem doktora Doremusa przypięczętowało teraz już oficjalnie uznaną teorię, że Robin został zabity w pokoju klubowym, a potem dopiero przeniesiony na tor. Autopsja stwierdziła z tyłu na czaszce zagłębioną frakturę od silnego uderzenia ciężkim, zaokrąglonym narzędziem. Fraktura spowodowana uderzeniem o płaską powierzchnię miałaaby kształt szczeliny. Narzędzia mordu mimo usilnych poszukiwań nie udało się znaleźć.

Beedle'owa i Pynn zostali poddani kilkakrotnym badaniom, lecz nie dowiedziano się od nich niczego nowego. Pynn powtarzał uparcie swoje początkowe zeznania, że całe rano spędził w pokoju Arnessona i tylko tyle, że chodził po bieliznę pościelową i do drzwi frontowych. Zaklinał się, że posłany przez swego pana na poszukiwanie Sperlinga, nie dotknął ani zwłok, ani łuku. Pomimo to sierżant nie dawał mu całkowicie wiary.

— Ten kaprawy dziad coś chowa w zanadrzu — zakomunikował gniewnie Markhamowi. — Ale trzeba by mu chyba przepłukać żołądek, żeby coś wypluł.

Przegląd wszystkich domów na 75 Street między West End Avenue i Riverside Drive, w nadziei natrafienia na jakiegoś lokatora, który mógł ewentualnie widzieć kogoś wychodzącego czy wchodzącego furtką w murze koło domu Dillardów pamiętnego ranka, też mimo uciążliwych przepytywań skończył się fiaskiem. Pardee był, jak się zdawało, jedynym sąsiadem Dillardów, który zauważył ruch koło ich domu. Toteż po kilku dniach tej śledczej harówki sierżant zrozumiał, że będzie musiał działać na własną rękę.

Alibi siedmiu osób, wymienionych w chronologii Vance'a, sprawdzono tak sumiennie, jak na to pozwalały okoliczności. Całkowite sprawdzenie było o tyle niemożliwe, że główny materiał pochodził od osób zainteresowanych. Musiano nadto zachowywać jak najdalej posuniętą ostrożność, żeby nie obudzić podejrzeń. Rezultat tych dochodzeń był następujący:

1. Arnessona widziało w bibliotece uniwersyteckiej wiele osób, w tej liczbie zastępca bibliotekarza i dwaj studenci, ale zeznania ich nie pokrywały całego czasu jego tam bytności ani nie określały godzin.

2. Bella Dillard grała kilka partii tenisa na placu koło 119 Street i Riverside Drive, lecz ponieważ w jej grupie grało więcej niż cztery osoby, odstąpiła dwa razy swoje miejsce komuś innemu, i nie udało się ustalić, co przez ten czas robiła i czy schodziła z placu.

3. Czas wyjścia Drukera z pokoju klubowego potwierdził definitywnie Sperling, ale nie znaleziono nikogo, kto by go widział potem. Drukker zeznał, że nie spotkał w parku nikogo znajomego. Bawił się kilka minut z jakimiś dziećmi.

4. Pardee był w swoim gabinecie sam. Jego stary kucharz i lokaj Japończyk przebywali w tylnej części domu i zobaczyli go dopiero przy lunchu. Alibi negatywne.

5. Alibi pani Drukker opiera się wyłącznie na jej własnym zeznaniu. Między godziną 9.30, kiedy syn poszedł do Arnessona, i 13, kiedy kucharka przyniosła jej lunch, nie widział jej nikt.

6. Alibi Beedle'owej stwierdzono prawie w całej rozciągłości. Pardee widział, jak wychodziła z domu o 10.35. Przekupki zeznały, że była na targu Jeffersona godzinę między 11 i 12.

7. Sperling rzeczywiście wsiadł do pociągu odchodzącego do Scarsdale o 11.40. Z tego wynika, że musiał opuścić dom Dillardów tak, jak zeznał, to jest o 11.15. Jednakże stwierdzenie tego szczegółu było li tylko kwestią rutyny, gdyż jego osoba nie wchodziła w grę. Ale gdyby, jak wyjaśnił Heath, okazało się, że nie wsiadł do tego pociągu, znów by się nim zainteresowano.

Prowadząc dalej śledztwo w szerszym zakresie sierżant przebadał czynności i powiązania osób wchodzących w grę. Nie było to zadanie uciążliwe. Wszystkie dobrze znano i o informacje było łatwo. Jednakże nie odkryto ani jednego szczegółu, który mógłby pozostać w jakimkolwiek związku z zabójstwem Gila. Nie wyszło na jaw nic, co by można uważać za prawdopodobny motyw zbrodni.

Pracowity tydzień nie prześwietlił najslabszym nawet blaskiem mroków, osnuwających tajemnicę morderstwa Robina. Sperlinga nie zwolniono. Dowody prima facie w połączeniu z absurdalnym przyznaniem się do winy uniemożliwiały ten krok ze strony władz. Jednakże Markham odbył nieoficjalną konferencję z adwokatami, których zaangażował ojciec Sperlinga, i widocznie doszło do jakiegoś porozumienia, bo chociaż urząd śledczy nie wystąpił z oskarżeniem (mimo faktu, że właśnie zasiadł sąd przysięgłych), obrońcy też nie wszczęli postępowania znanego pod nazwą habeas corpus. Najwidoczniej i Markham, i obrońcy Sperlinga czekali na aresztowanie rzeczywistego winowajcy.

Markham przesłuchał kilkakrotnie domowników Dillarda mając nadzieję, że natrafi na jakiś istotny punkt wyjścia. Pardee, wezwany do urzędu śledczego, złożył affidavit, co zauważył ze swego okna w dzień tragedii. Pani Drukker, znów badana, nie tylko zaprzeczyła z naciskiem, jakoby wyglądała oknem tego dnia, ale jeszcze odpowiedziała drwinami na pytanie, czy istotnie krzyczała. Drukker zmodyfikował niejako swoje poprzednie zeznania. Wyjaśnił, że mógł się omylić co do tego krzyku, że mógł on dolecieć z ulicy lub z okna na tyłach kamienicy. Dowodził nawet, że matka nie mogła krzyczeć, bo gdy poszedł pod jej drzwi, nuciła starą niemiecką kołysankę ze zbioru Humperdincka: „Jaś i Małgosia”. Markham, przekonany, że więcej ani z matki, ani z syna nie wydobędzie, zajął się w końcu wyłącznie domem Dillardów.

Arnesson asystował na nieoficjalnych konferencjach śledczych w biurze Markhama, ale chociaż taki wygadany i cyniczny, wydawał się tak samo bezsilny wobec problemu zbrodni jak my wszyscy. Markham wyśmiewał go dobrodusznie, pytając o formułę matematyczną, która miała rozwiązać zagadkę zbrodni. Uczony dowodził, że nie mógł ułożyć formuły z braku potrzebnych czynników. Zresztą traktował całą sprawę, jakby to była wesoła zabawa w stylu Juwenaliów. Markham złościł się i niecierpliwił. Wyrzucał Vance'owi, że wciągnął Arnessona nieoficjalnie do śledztwa. Vance bronił się dowodząc, że prędzej czy później uczony

doszuka się jakiejś pozornie oderwanej informacji, która — być może — posłuży za korzystny point de départ.

— Naturalnie nie wierzę w jego kryminalno-matematyczną teorię. To bzdura — mówił Vance. — Naszą absurdalną zagadkę rozwiąże nie nauka oderwana, lecz psychologia. Ale potrzebne nam są dalsze informacje, dotyczące stosunków w domu Dillardów, a któż je może lepiej znać niż Arnesson? Zna on również Drukkerów i zna Pardee'ego i rozumie się samo przez się, że człowiek tak bardzo ceniony i wyróżniany w świecie naukowym jak on musi się odznaczać nie byle jakim intelektem. I ten intelekt może nam oddać nieocenione usługi.

— Możliwe, że masz rację — mruknął prokurator — ale wieczne szyderstwa tego człowieka działają mi na nerwy.

— Bądź wyrozumialszy — nalegał Vance. — Traktuj jego ironiczne uwagi jak naukowe rozważania. Cóż naturalniejszego, że człowiek, który bezustannie sięga myślą w międzyplanetarne przestrzenie i operuje latami świetlnymi, nieskończonością i hiperfizycznymi wymiarami, wydrwiwa nasze efemeryczne ziemskie bytowanie?... Twardy chłop ten Arnesson. Może trudny w poźyciu, ale szalenie interesujący.

Sam Vance traktował sprawę z niezwykłą powagą. Zaniechał Menandra na dobre, stracił humor, stał się kąśliwy. Był to nieomylny znak, że umysł jego pracuje intensywnie nad pochłaniającą go zagadką. Co wieczór po obiedzie szedł do swojej biblioteki i zaczytywał się godzinami nie w klasykach i dziełach o sztuce, jak zwykle, lecz w takich książkach jak Bernarda Harta *Psychologia obłądu*, Freuda *Humor i jego wpływ na podświadomość*, Coriata *Abnormal Psychology*, Lippa *Komik und Humor*, Daniela A. Huebscha *The Murder Complex*, Janeta *Les Obsessions et la psychasthénie*, Donatha *UberArithmoma- nie*, Leppmana *Dieforensische Bedeutung der Zwangsvor- stellungen*, Kuno Fischera *Uber den Witz*, Ericha Wulffena *Kriminalpsychologie* i Groosa *Die Spiele der Menschen*.

Nad raportami policyjnymi spędzał całe godziny. Był dwa razy u Dillardów i raz odwiedził panią Drukker w towarzystwie Belli. Jednego wieczora odbył długą dyskusję naukową z

Arnessonem i Drukkerem na temat koncepcji przestrzeni fizycznej u Sittera jako pseudosfery Łobaczewskiego, najwidoczniej w celu zapoznania się z umysłowością kaleki. Przeczytał dzieło Drukкера *World Lines in Multidimensional Continua* i poświęcił prawie cały dzień studiom nad gambitem Pardee'ego, w analizach Janowskiego i Tarrascha.

W niedzielę, w osiem dni po zabójstwie Robina, rzekł do mnie:

— Eheu, Van! To problem niewiarogodnie subtelny. Nie zgłębi go żadne formalne śledztwo. Kryje się on w zawilościach umysłowości mordercy i najokropniejszą jego stroną stanowi powierzchowna dziecinada. Sprawca zbrodni nie zadowolony się jednym czynem. Śmierć Robina nie jest osiągnięciem celu. Perwersyjna wyobraźnia, która obmyśliła tę zwierzęcą zbrodnię, jest nienasycona, i o ile nie uda nam się zdemaskować w porę tego anormalnego mechanizmu psychologicznego, będziemy mieli więcej takich ponurych żartów...

Przepowiednia jego sprawdziła się zaraz na drugi dzień rano. O jedenastej udaliśmy się do biura Markhama, by wysłuchać raportu Heatha i naradzić się, co dalej robić. Jakkolwiek od śmierci Robina upłynęło dziewięć dni, sprawa nie posunęła się ani o krok i prasa znęcała się zjadliwie nad policją i nad władzami śledczymi. Toteż Markham powitał nas tego ranka z twarzą ponurą jak noc. Heath zjawił się dopiero w kilka minut później, ale i on był zniechęcony.

— Gdzie się obrócić, wszędzie ślepy mur — jęknął, gdy złożył raport z działalności swoich ludzi. — Ani śladu motywu zbrodni i poza Sperlingiem nie widzę nikogo, kto mógłby mieć interes w wyprawianiu nieboszczyka na tamten świat. Dochodzę do przekonania, że tego dnia wlaźł przypadkiem do suterenu jakiś opryszek i zrobił jatkę.

— Nie, sierżancie — zaprzeczył Vance. — Opryszki nie posiadają ani wyobraźni, ani poczucia humoru, podczas gdy artysta, który wyprawił Robina w długą, długą podróż, musiał mieć i bujną wyobraźnię, i zmysł humoru. Nie zadowolony się samym morderstwem, lecz obrócił je w obłąkańczy figiel. W

końcu z obawy, aby publiczność nie przeoczyła jego żartu, napisał wyjaśniające listy do prasy. Czy tak by postąpił pierwszy lepszy łotr?

Heath palił przez kilka minut w posępnym milczeniu, po czym zwrócił na Markhama spojrzenie pełne gniewnej trwogi.

— Chyba się w naszym mieście rozbiła szkuta z bredniami — rzekł żałośnie. — Dziś rano w Riverside Park koło 84 Street został zastrzelony niejaki Sprigg. Pieniądze miał w kieszeni — nic mu nie zabrano. Młody chłopak, student uniwersytetu Columbia. Mieszkał z rodzicami i nie miał żadnych wrogów. Przed pójściem na wykłady udał się jak zwykle na przechadzkę. W pół godziny później murarz znalazł go nieżywego. — Sierżant gryzł z pasją cygaro. — Jedno morderstwo na głowie więcej, i jeżeli go nie wyświetlimy pronto, znów nam pismaki zmyją głowę. A tu ani cienia żadnych poszlak.

— Pomimo wszystko, sierżancie — rzekł ze współczuciem Vance — zastrzelenie człowieka jest pospolitym wydarzeniem i pobudek w takich wypadkach nie brakuje. Gdyby nie dramatyczna inscenizacja morderstwa Robina, która przeciwstawiła się wszelkiej dedukcji, gdyby nie ta dziecinna piosenka...

Nagle urwał, spuścił oczy i nachyliwszy się ku sierżantowi zgniół w palcach papierosa jakby z namysłem.

— Jak pan powiedział, sierżancie? Jak się ten chłopiec nazywał? Sprigg?

Heath skinął ponuro głową.

— A — ciągnął dalej Vance, opanowując z trudem wzburzenie — jak mu było na imię?

Sierżant spojrział zdziwiony, lecz po chwili wyjął zniszczony notes i zaczął przerzucać kartki.

— Jan Sprigg — przeczytał. — Jan E. Sprigg.

Vance wyjął drugiego papierosa i zapalił go starannie.

— Niech mi pan jeszcze powie, czy go zastrzelono z rewolweru kaliber trzydzieści dwa?

— Co? — Oczy Heatha zaokrągliły się, a broda wysunęła do przodu. — Tak, tak, kaliber trzydzieści dwa...

— I pocisk przestrzelił czaszkę?

Sierżant zerwał się na równe nogi, śmiesznie zdumiony. Skinął powoli głową.

— Tak! Tak! Ale jakim sposobem, u wszystkich diabłów...

Vance podniósł rękę na znak milczenia. Ale więcej niż ten gest podziałał na Heatha wyraz jego twarzy.

— Wielkie nieba!

Wstał z krzesła ruchem lunatyka i zapatrzył się w dal tępym, szklanym wzrokiem. Gdybym go nie znał tak dobrze, byłbym przysiągł, że jest przerażony. Po chwili podszedł do wysokiego okna za biurkiem Markhama i stanął zapatrzony w szare kamienne mury naprzeciwko.

— Nie do wiary — mruczał. — To zbyt upiorne, ale naturalnie, to jest to!...

Zabrzmiął zniecierpliwiony głos prokuratora:

— Cóż ty tam mruyczysz, Vance? Nie bądź taki tajemniczy, u diabła! Skąd się dowiedziałeś, że Sprigg został zastrzelony z rewolweru kaliber trzydzieści dwa? I co to ostatecznie ma do rzeczy?

Vance odwrócił się i spojrzał przyjacielowi w oczy.

— Czy nie rozumiesz? — zapytał cichym głosem. — To przecież drugi akt tej szatańskiej parodii!... Zapomniałeś o wierszykach z naszych dziecińczych lat?

I ściszym głosem zadeklamował strofkę, której słowa przejęły nas wszystkich dreszczem niewymownej trwogi.

Był raz człowieczek, zawsze chodził zbrojny,  
Z rewolwerkiem u boku, choć nie było wojny,  
choć nie było wojny.  
Raz spotkał Janka Sprigga w ustronnym pustkowiu,  
I przestrzelił mu główkę kuleczką z ołowiu,  
kuleczką z ołowiu.



## ROZDZIAŁ IX FORMUŁA TENSORA

(Poniedziałek, 11 kwietnia, godz. 11.30 przed południem)

Markham siedział nieruchomo, z oczami utkwionymi w Vance'a, jak człowiek zahipnotyzowany. Heath wrósł w podłogę, z ustami wpółotwartymi, z cygarem w palcach i kilka cali od ust. W całej jego postawie było coś tak komicznego, że o mało się nie roześmiałem. Ale siedziałem jak skamieniały, gdyż miałem uczucie, że krew zakrzepła mi w żyłach, a mięśnie stężały.

Pierwszy odezwał się Markham. Rzucił się w tył, a jego zaciśnięta pięść wyrznęła z trzaskiem w biurko.

— Cóż to za nowe szaleństwo? — usiłował bronić się przeciwko oszołamiającej sugestii Vance'a. — Zaczynam podejrzewać, że sprawa Robina uderzyła ci na mózg. Zastrzelono człowieka o pospolitym nazwisku Sprigg, a ty robisz z tego groteskową makabrę.

— Musisz jednak przyznać, mój kochany — odparł łagodnie Vance — że ten właśnie Janek Sprigg został zastrzelony kuleczką z ołowiu w głowę. Czy ci to nie daje do myślenia?

— To i co z tego? — Markham zaczerwienił się jak indyk. — Czy dlatego masz bełkotać po biurach głupie dziecinne wierszydelka?

— Mój drogi, ja nigdy nie bełkocę. — Vance usiadł na krześle na wprost biurka prokuratora. — Może nie mam bezbłędnej wymowy, ale do bełkotu mi daleko. — Spojrzał z miłym uśmiechem na Heatha. — Nieprawdaż, sierżancie?

Ale Heath nie miał nic do powiedzenia. Pozostał w tej samej kamiennej pozie, tylko oczy jego upodobniły się w szerokiej wojowniczej twarzy do wąskich szparek.

— Czy naprawdę przypuszczasz... — zaczął prokurator, ale Vance nie dał mu dokończyć.

— Tak. Przypuszczam naprawdę, że morderca, który zabił Gila „strzałą z łuku”, ponownie dał wyraz swemu straszliwemu

poczuciu humoru na osobie nieszczęśliwego Sprigga. Gra przypadku wykluczona. Takie powtarzające się paralele zburzyłyby podstawy zdrowego myślenia. Jak Boga kocham, świat i tak jest szalony, lecz tego rodzaju szaleństwo zniweczyłoby naukę i położyło kres racjonalnemu myśleniu. Śmierć Sprigga jest okropna, ale musimy się z tym pogodzić. Choćbyś nie wiem jak protestował przeciwko narzucającym się wnioskom, będziesz je musiał w końcu przyjąć.

Markham wstał i zaczął krążyć nerwowo po pokoju.

— Przyznaję, że ta nowa zbrodnia ma w sobie zagadkowe elementy — mówił spokojniej, nie unosząc się już.

— Ale jeżeli przyjmiemy, choćby hipotetycznie, że jakiś szaleniec, znajdujący się na swobodzie, inscenizuje krwawo piosenki zapamiętane w dzieciństwie, to nie wiem, co nam w ogóle z tego przyjdzie. W praktyce równałoby się to zaniechaniu śledztwa, bo wobec takiej sytuacji rutyna byłaby bezsilna.

— Tego bym nie powiedział. — Vance puszczał w zamyśleniu kłęby dymu. — Przeciwnie, powiedziałbym raczej, że takie założenie dałoby nam zdecydowany punkt wyjścia.

— A pewnie! — warknął sarkastycznie Heath. — Nic nam wobec tego nie pozostaje, jak iść i szukać jednej pchły między sześcioma milionami ludzi. Wynik murowany!

— Nie daj się pan ogarniać zniechęceni, sierżancie. Nasz nieuchwytny żartowniś to bardziej pokaźny gatunek entomologiczny. Zresztą mamy pewne poszlaki, odnoszące się do miejsca jego zamieszkania...

Markham odwrócił się gwałtownie.

— Jak to?

— Po prostu druga zbrodnia łączy się z pierwszą nie tylko psychologicznie, ale i geograficznie. Obie zostały popełnione zaledwie w odległości paru bloków jedna od drugiej — nasz krwiożerczy demon ma widocznie upodobanie do dzielnicy Dillardów. Dalej, okoliczności, w jakich dokonano tych morderstw, wykluczają, nie pozwalają przypuszczać, aby morderca, przybywszy z daleka, wybrał sobie na teren swoich niesamowitych występów nie znane mu otoczenie. Jak wam

uczenie wykazałem, Robin został wyprawiony w zaświaty przez kogoś, kto zna rozkład domu Dillardów i wiedział, jaka była sytuacja w tym domu w godzinie zbrodni. Jasne jest również, że tak samo nie udałaby się inscenizacja drugiego zabójstwa, gdyby impresario nie znał zwyczaju Sprigga zażywania przechadzki o porannej godzinie. Cały mechanizm tych upiornych jednoaktówek wskazuje na to, że reżyser znał doskonale swoje ofiary i że nie działał na ślepo.

Zapadło głucho milczenie, które przerwał Heath:

— Jeżeli to prawda, panie Vance, to Sperling jest niewinny.

— Sierżant stwierdził z pewnym ociąganiem, ale głos jego dowodził, że argumentacja detektywa zrobiła na nim wrażenie. I co teraz pocniemy, panie prokuratorze? — spytał przygnębionego Markhama.

Markham, który miał jeszcze wątpliwości, nie odpowiedział od razu. Ale za chwilę usiadł znów przy biurku i bębniąc palcami po bibule, zapytał:

— Komu powierzono śledztwo w sprawie Sprigga, sierżancie?

— Kapitanowi Pittsowi. Policja z komisariatu na 68 Street zajęła się pierwsza tą sprawą, ale kiedy wiadomość przyszła do urzędu śledczego, Pitts udał się tam z naszymi ludźmi. Wrócił przed moim wyjściem. Początkowo nie chciał się tym zająć, mówiąc, że to nic ważnego, ale inspektor Moran dał mu rozkaz.

Markham nacisnął dzwonek pod krawędzią biurka i w wahadłowych drzwiach prowadzących do kancelarii, która mieściła się między gabinetem Markhama i główną poczekalnią, ukazał się jego młodociany sekretarz, Swacker.

— Proszę, niech pan zatelefonuje do inspektora Mora- na. Chcę z nim mówić — rozkazał.

Kiedy go połączono, przyciągnął do siebie aparat i rozmawiał przez kilka minut. Odłożywszy słuchawkę, zwrócił się do Heatha z wymuszonym uśmiechem:

— Sprawa Sprigga przechodzi oficjalnie w pańskie ręce, sierżancie. Kapitan Pitts za chwilę tu będzie i wtedy dowiemy się, jak rzeczy stoją. Zaczął przerzucać leżący przed nim plik papierów. Muszę dopiero uwierzyć

dodał niepewnie że Gil i Sprigg to ta sama sprawa.

W dziesięć minut później zjawił się Pitts, osobnik niski i krępy, z chudą zaciętą twarzą i czarnymi szczotkowatymi wąsami. Jak się później dowiedziałem, był to jeden z najzdolniejszych detektywów w policji nowojorskiej. Jego specjalnością byli bandyci-dżentelmeni. Podał rękę Markhamowi i mrugnął koleżeńsko do Heatha. Kiedy go przedstawiono Vance'owi i mnie, zmierzył nas podejrzliwym spojrzeniem i skłonił się jakby od niechcienia. Ale w tej samej chwili ożywił się nagle i zapytał:

— Czy pan Philo Vance?

— Na to wygląda, kapitanie — westchnął Vance.

Pitts uśmiechnął się i, przystąpiwszy bliżej, wyciągnął rękę.

— Jakżeż się cieszę, że mam okazję poznać pana! Heath często mówi o panu.

— Pan Vance pomaga nam nieoficjalnie w sprawie Gila, kapitanie — wyjaśnił Markham. I ponieważ ów Sprigg został zabity w tej samej dzielnicy, chcielibyśmy usłyszeć pański raport.

Wyjął pudełko cygar „Perfectos” i pchnął je na skraj biurka.

Kapitan uśmiechnął się i wzięwszy cygaro powąchał je z błogim wyrazem twarzy.

— Ależ proszę pana, po co ten wstęp? Inspektor powiedział mi, że pana ta sprawa zainteresowała i że chce ją pan przejąć. Prawdę mówiąc, rad jestem, że się jej pozbędę.

— Usiadł swobodnie i zapalił cygaro. Proszę, co by pan prokurator chciał wiedzieć?

— Wszystko od początku do końca.

Pitts rozsiadł się wygodniej.

— Właśnie byłem na posterunku zaraz po ósmej dziś z rana kiedy przyszedł meldunek o zbrodni. Wziąłem ze sobą paru ludzi i pośpieszyłem na miejsce. Policja tamtejsza już była. Lekarz, zastępca Doremusa, przybył jednocześnie ze mną...

— Czy zdał panu raport, kapitanie?

— Tak jest. Sprigg został zastrzelony z trzydziestki dwójki. Pocisk przeszył wierzch czaszki. Żadnych śladów walki, żadnych obrażeń, nic nadzwyczajnego. Zastrzelony, i kwita...

— Czy leżał na wznak?

— Tak jest, wyciągnięty prosto i równo na samym środku asfaltowej ścieżki.

— A czy nie miał pękniętej czaszki w miejscu, gdzie uderzył o asfalt? — zapytał niedbale Vance.

Pitts wyjął cygaro z ust i posłał mu chytre spojrzenie.

— Panowie, jak widzę, już coś wiecie. — Pokiwał znacząco głową. Tak, cały tył czaszki wgnieciony. Musiał się wyróżnić z całej siły. Ale sądzę, że mając pocisk w mózgu już tego nie poczuł.

— A rana postrzałowa, czy nic w niej pana nie uderzyło?

Ooowszem przyznał Pitts, obracając w palcach cygaro. Nie strzela się do człowieka w ten sposób, w sam czubek głowy. W kapeluszu nie ma dziury. Widocznie spadł mu przedtem. Zastanawiające szczegóły... panie Vance.

Tak, kapitanie, wysoce zastanawiające... Przypuszczam, że strzał padł z bliska.

—Z odległości paru cali. Włosy naokoło rany były osmalone.

— Machnął ręką. — Ale ostatecznie chłopak mógł spostrzec, że zabójca wyciąga rewolwer, i uchylił się, gubiąc kapelusz. To by tłumaczyło, dlaczego dostał postrzał w wierzchołek głowy i z tak małej odległości.

—Tak, tylko że w tym wypadku nie upadłby na wznak, lecz na twarz... Proszę, mów pan dalej.

Pitts spojrzał na Vance'a z wyrazem uznania i ciągnął dalej:

— Pierwszą moją czynnością było zrewidowanie mu kieszeni. Miał przy sobie drogi złoty zegarek i około piętnastu dolarów w banknotach i srebrze. A więc nie było to morderstwo rabunkowe, chyba że zbrodniarz spłoszył się i zemknął, nie zdążywszy obrabować ofiary. Ale to mało prawdopodobne, bo o tej godzinie park jest pusty i ścieżka w tym miejscu skręca tuż pod samą skałę, tak że nie ma perspektywy. Ptaszek, który to uczynił, wybrał sobie bezpieczne miejsce... Zostawiłem paru ludzi przy ciele do przybycia karetki i udałem się do domu Sprigga na 93 Street. Nazwiska i adresu dowiedziałem się z listów, znalezionych w jego kieszeni. Dowiedziałem się, że był to student uniwersytetu Columbia, że mieszkał z rodzicami i że miał

zwyczaj chodzić zawsze po śniadaniu na spacer do parku. Dzisiaj wyszedł z domu o wpół do ósmej...

— A więc miał zwyczaj spacerować po parku co dzień rano — mruknął Vance. — Cie-ka-we!

— Tylko że nam nic z tej wiadomości — odparł Pitts.

— Dużo ludzi ma ten zwyczaj. Jak mi powiedziano w domu, Sprigg zachowywał się przed wyjściem zupełnie normalnie. Był w dobrym humorze i zawołał: „Do widzenia” wesołym głosem. Stamtąd skoczyłem na uniwersytet; rozmawiałem z kilkoma studentami, którzy go znali, i z jednym z profesorów. Sprigg miał opinię spokojnego, nie zawierał przyjaźni i lubił samotność. Był poważny i cały oddany nauce. Wyróżniał się bardzo wśród kolegów. Nigdy nie widywano go w towarzystwie dziewcząt. Faktycznie nie lubił kobiet. Nie był towarzyski. Jak taki człowiek mógł się zaplątać w jakąś kabałę? Dlatego właśnie nie widzę w jego śmierci nic szczególnego. Musiał to być po prostu wypadek. Może go wzięto za kogoś innego.

A kiedy go znaleziono?

— Kwadrans przed ósmą. Jeden z murarzy, pracujących przy 79 Street, przechodził właśnie przez nabrzeże ku szynom i zobaczył ciało. Zawiadomił zaraz posterunkowego na bulwarze, a ten zatelefonował do komisariatu.

— A Sprigg wyszedł z domu na 93 Street o wpół do ósmej. — Vance patrzył z namysłem w sufit. — Czyli że zaledwie zdążył przyjść do parku, został zabity. To wygląda tak, jakby ktoś, kto znał jego przyzwyczajenia, już tam na niego czekał. Sprawność i orientacja, co?... Chyba nie zbieg okoliczności, jak sądzisz, Markham?

Prokurator zignorował docinek. Zwrócił się do Pittsa:

— Czy nie znaleźliście nic, co by mogło służyć jako poszlaka?

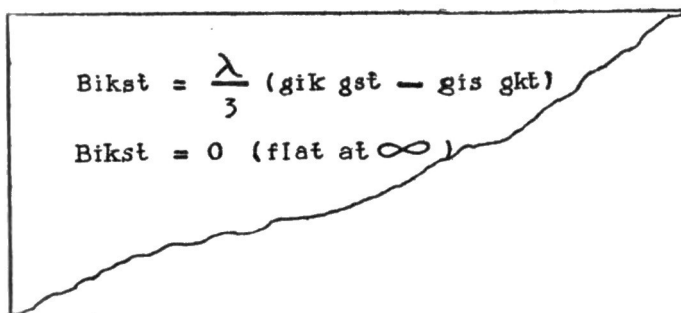
— Nie, panie prokuratorze. Moi ludzie przeczesałi gruntownie miejsce, ale bez skutku.

— A w kieszeniach Sprigga — między jego papierami...?

— Nic takiego. Zostawiłem wszystko u siebie w biurku — kilka listów, trochę zwykłych drobiazgów... Urwał nagle i jakby coś

sobie przypomniawszy, wydobyl z kieszeni pomięty notes. — To jeszcze było — dodał bez zapalu, wręczając Markhamowi oddartą trójkątną kartkę. Znaleźli ten świstek pod ciałem. Nic takiego, ale schowałem do kieszeni. Ot! Siła przyzwyczajenia!

Okazany skrawek papieru miał może cztery cale długości i wyglądał tak, jakby go oddarto od zwyczajnego, nie liniowanego arkusza papieru listowego. Na białej powierzchni widniała część formuły matematycznej, napisanej na maszynie, ze znakami i lambdą, z zaznaczonym ołówkiem znakiem nieskończoności. Kartka ta pomimo pozornego braku związku ze sprawą Sprigga odegrała w śledztwie rolę zdumiewającą, złowieszczą.



Vance ledwie rzucił okiem na papier, za to Markham trzymał go w rękę dłuższą chwilę, marszcząc czoło. Miał już coś powiedzieć, kiedy pochwycił wzrok przyjaciela i rzucił niedbale świstek na biurko. Wzruszył przy tym lekko ramionami.

— Więcej nic pan nie znalazł?

— Nie, panie prokuratorze!

Markham wstał.

— Bardzo panu dziękujemy, kapitanie. Nie wiem, jak nam pójdzie ta sprawa, ale spróbujemy. — Wskazał na pudełko „Perfectos”. Proszę wziąć trochę na drogę.

— Bardzo dziękuję, panie prokuratorze!

Pitts wziął kilka cygar i schowawszy je pieczołowicie do kieszeni kamizelki, pożegnał się z nami.

Po jego wyjściu Vance zerwał się z krzesła i pochylił nad biurkiem, na którym leżał papier pozostawiony przez

Pittsa.

— Słowo daję! — Wyjął monokl i dłuższą chwilę studiował symbole na udartym skrawku. — Cie-ka-we! Gdzie to ja widziałem tę formułkę?... Jakoś niedawno... Aha, tensor Riemanna-Christoffela naturalnie! Drukker posłużył się tym tensorem w swoim dziele celem oznaczenia krzywej przestrzeni sferycznej... krzywej Gaussa... Ale co z tym fantem robił Sprigg? Jego studiom daleko było jeszcze do tej formuły... — Podniósł papier pod światło.

— Ten sam papier, co w listach Biskupa. I pewnie zauważyliście, że czcionki podobne.

Heath przysunął się skwapliwie.

— Ten sam przytaknął, oszołomiony. Mamy w każdym razie ogniwo łączące obie zbrodnie.

Vance podniósł wysoko brwi.

— Ogniwo — tak, ale znalezienie kartki z tą formułą pod ciałem Sprigga jest równie nieracjonalne jak samo morderstwo...

Markham poruszył się niespokojnie.

— Mówisz, że Drukker użył tej formuły w swojej książce?

— Tak, ale to go jeszcze nie kompromituje. Tensor jest znany wszystkim zaawansowanym matematykom. Jest to formuła techniczna, używana w geometrii nieeuklidesowej, odkryta przez Riemanna w związku z pewnym konkretnym zagadnieniem z dziedziny fizyki i odgrywająca obecnie doniosłą rolę w matematyce względności. Formuła wysoce naukowa w sensie oderwanym i nie mogąca mieć żadnego bezpośredniego związku z zabójstwem Sprigga. Zajął z powrotem krzesło. — Arnesson będzie uszczęśliwiony! Może uda mu się wyciągnąć z tego jakąś zdumiewającą konkluzję.

— Nie widzę żadnej racji — zaproponował Markham — żeby informować go o tej nowej sprawie. Uważam, że im dłużej utrzymamy ją w tajemnicy, tym lepiej.

— Coś mi się wydaje, że Biskup na to nie pozwoli — odparł Vance.

Markham zacisnął szczęki.

— Na Boga! — wybuchnął. — Co się z nami dzieje? Mam



uczucie, że lada chwila się obudzę i przekonam się, że to tylko koszmarny sen!

—Tak dobrze nie będzie jęknął Heath i zaczerpnął głęboko powietrza jak człowiek gotujący się do walki.

—I co teraz? Dokąd się stąd udamy? Muszę działać, bo inaczej zwariuję!

Markham spojrział na Vance'a.

—Zdaje mi się, że ty wiesz, co robić. Radź, człowieku! Przyznam ci się, że sam tonę w tym chaosie.

Vance zaciągnął się głęboko. Nagle, jakby dla nadania większej wagi swoim słowom, pochylił się w przód.

—Słuchaj, Markham! Z tego wszystkiego da się wyprowadzić tylko jeden wniosek. Koncepcja obu morderstw narodziła się w mózgu jednego i tego samego człowieka, pod wpływem tego samego absurdałnego impulsu. I skoro pierwsze z nich zostało popełnione przez człowieka obznajomionego dokładnie ze stanem rzeczy w domu Dillardów, można dojść do przekonania, że człowiek ten poza tą wiedzą posiadał również dokładną znajomość zwyczajów Sprigga. Znalazłszy takiego człowieka, będziemy musieli sprawdzić dane dotyczące się czasu, miejsca, okoliczności i prawdopodobnej pobudki. Sprigga coś łączyło z Dillardami. Co nie wiem. Musimy to zbadać i to będzie nasze pierwsze posunięcie. Jako punkt wyjścia proponuję dom Dillardów.

— Ale może byśmy wpierw pomyśleli o lunchu — rzekł znużonym głosem Markham. — Potem wyruszymy.

## ROZDZIAŁ X ODMOWA POMOCY

(Poniedziałek, 11 kwietnia, godz. 2 po południu)

Zaraz po drugiej zajechaliśmy przed dom Dillardów. Otworzył nam Pynn, który doskonale ukrył zdziwienie na nasz widok, jeżeli się w ogóle zdziwił. Jednak w spojrzeniu, jakie rzucił Heathowi, dostrzegłem jakby niepokój, ale kiedy się odezwał, głos jego brzmiał spokojnie i grzecznie, jak przystało na dobrze wyszkolonego lokaja.

—Pan Arnesson nie wrócił jeszcze z uniwersytetu — poinformował nas na wstępie.

— Jak widzę, nie posiadacie daru czytania w myślach — rzekł Vance. — Przyszliśmy pogadać z wami i zobaczyć się z panem profesorem.

Stary zmieształ się, lecz nim zdążył odpowiedzieć, w drzwiach salonu ukazała się panna Dillard.

— Poznałam pana głos — zwróciła się do Vance'a, witając nas wszystkich melancholijnym uśmiechem.

— Proszę, niech panowie będą łaskawi... Lady Mae przyszła do mnie na chwilę, mamy jechać razem na spacer po południu — dodała tonem wyjaśnienia.

Weszliśmy do salonu. Pani Drukker stała koło środkowego stołu, wsparta kościstą ręką o poręcz krzesła, z którego widocznie wstała. Patrzyła na nas bez mrugnienia, z trwogą w oczach. Trwoga wykrzywiła jej wychudłą twarz. Nie próbowała się odezwać, lecz stała sztywna i nieruchoma, niby podsądny oczekujący na wyrok.

Miły głos Belli Dillard rozładował to przykre napięcie:

— Pójdę powiedzieć stryjowi o wizycie panów.

Zaledwie opuściła pokój, stara kobieta nachyliła się nad stołem i rzekła do Markhama trwożnym grobowym szeptem:

— Wiem, co was tu sprowadziło. Przyszlście w sprawie tego pięknego młodego człowieka, którego zastrzelono dziś w parku.

Słowa jej były tak zdumiewające, tak niespodziewane, że

Markham nie zdobył się od razu na odpowiedź. Wyręczył go Vance.

—A więc już pani wie? Jakim sposobem dowiedziała się pani tak szybko?

W twarzy starej kobiety odmalował się wyraz przebiegłości, który upodobnił ją do złej czarownicy.

—Wszyscy tu o tym mówią - odpowiedziała nieokreślenie.

—Doprawdy? To bardzo źle! Ale z czego pani wnioskowała, że przyszliśmy w tej sprawie?

—Wszak młody człowiek nazywał się Janek Sprigg?

Słowom tym towarzyszył szyderczy uśmieszek.

—Tak. Jan E. Sprigg. Ale to jeszcze nie tłumaczy jego związku z Dillardami.

—Tłumaczy. Zakołysała głową z szatańską uciechą.

—To zabawa, dziecinna zabawa. Wpierw biedny Gil... potem Sprigg. Dzieci muszą się bawić... wszystkie zdrowe dzieci muszą się bawić.

Nagle posmutniała. Twarz jej złagodniała, a w oczach odmalowała się żalność.

—Jeżeli to zabawa, to diabelska zabawa, nieprawdaż, lady Mae? — rzekł Vance.

—Czemu nie? Czyż samo życie nie jest piekłem?

—Dla niektórych z nas tak. — W głosie Vance'a, wpatzonego w niesamowicie tragiczną postać nieszczęśliwej matki, zabrzmiało dziwne współczucie. Proszę, niech mi pani powie — ciągnął pośpiesznie, zmienionym głosem — czy pani wie, kto to jest Biskup?

—Biskup? — Zmarszczyła z namysłem brwi. — Nie, nie znam go. Czy to także dziecinna gra?

—Zdaje się, że coś w tym rodzaju. W każdym razie Biskup interesuje się Gilem i Spriggim. Możliwe, że to on właśnie jest inicjatorem tych fantastycznych widowisk. Poszukujemy go, proszę pani. Mamy nadzieję, że od niego dowiemy się prawdy.

Kobieta potrząsnęła głową.

—Nie znam go. Rzuciła Markhamowi mściwe spojrzenie. — Nie uda się panu wykryć, „kto zabił gila strzałą z łuku” i

zastrzelił Sprigga „kuleczką z ółowiu”. Nie dowie się pan nigdy, nigdy...

Głos jej przeszedł w krzyk. Zaczęła cała dygotać.

W tej chwili powróciła Bella. Podbiegłszy do pani Drukker objęła ją ramieniem.

— Chodźmy — rzekła uspokajająco. Pojedziemy na długi, długi spacer za miasto, lady Mae! Zwróciła się do Markhama tonem chłodnego wyrzutu: — Stryj prosi panów do biblioteki. Z tymi słowy wyprowadziła przyjaciółkę do hallu.

— Dziwy się dzieją, proszę pana — zauważył Heath, który stojąc z boku przyglądał się ze zdumieniem rozgrywającej się scenie. — Wiedziała o Spriggu! Dowiedziała się!

Vance skinął głową.

— I nasze przybycie przeraziło ją. Ale nie trzeba zapominać, że to kobieta chorobliwie przeczulona. Możliwe, że bajkową teatralność śmierci Robina i Sprigga odkryła przypadkowo wskutek tego, że rozmyśla bezustannie o kalectwie syna i o tych wczesnych dniach jego dzieciństwa, kiedy był jak inne dzieci... Ciekawe. Spojrzał na Markhama. — To wszystko draży jakiś nurt podziemny, kłębią się potworne wiry. Wydaje się człowiekowi, że się zabłąkał w pieczarach Dovre-Troll z Ibsenowskiego „Peer Gynta”, zamieszkanych przez potworki i dziwolągi. — Wzruszył ramionami. Czulem jednak, że słowa lady Mae zrobiły na nim silne wrażenie. — Może profesor Dillard powie nam coś konkretnego.

Profesor przyjął nas bez entuzjazmu, bynajmniej nie serdecznie. Biurko jego było zasłane papierami. Najwidoczniej przeszkadziliśmy mu w pracy.

— Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną wizytę, panie Markham? — zapytał, gdyśmy zajęli miejsca. Czy wypłynęło coś nowego w sprawie Robina? — Zaznaczył sobie stronicę w dziele Weyla *Przestrzeń, czas i materia*, od którego oderwał się niechętnie, i rozparłszy się w fotelu, spojrzał na nas z wyrazem zniecierpliwienia. Jestem bardzo zajęty. Pracuję nad zagadnieniem z mechaniki Macha...

— Przykro mi bardzo — usprawiedliwiał się Markham.

— W sprawie Robina nic się nie wyjaśniło, ale dziś z rana

popołniono w tej stronie miasta drugie morderstwo, które, jak przypuszczamy, może mieć związek z pierwszym. Przybyłem specjalnie po to, aby pana profesora zapytać, czy panu jest znane nazwisko Jana Sprigga?

Z twarzy profesora znikła gniewna niechęć.

— Czy tak się nazywał zamordowany? — zapytał z żywym zainteresowaniem.

— Tak. Człowiek nazwiskiem Jan E. Sprigg został zastrzelony w Riverside Park, niedaleko 84 Street, dziś rano, wkrótce po wpół do ósmej.

Oczy profesora przeniosły się na kominek. Milczał długą chwilę, jakby się namyślając, co powiedzieć.

— Tak — rzekł wreszcie. — Znam... znamy młodego człowieka o tym nazwisku, chociaż to nieprawdopodobne, żeby to był ten sam.

—Cóż to za jeden? nalegał niecierpliwie prokurator.

Profesor znów się zawahał.

—Ten, o którym myślałem, to najlepszy uczeń Arnesona, pierwszorzędnny matematyk.

— Skąd go pan profesor znał?

— Arnesson zapraszał go do nas kilka razy. Chciał, żebym go poznał i pomówił z nim. Dumny był z tego ucznia i muszę przyznać, że chłopak zapowiadał się nadzwyczajnie!

—A więc znali go wszyscy domownicy?

—Tak, Bella też go znała, a jeżeli przez domowników rozumie pan nadto Pynna i Beedle'ową, to sądzę, że i oni zapamiętali to nazwisko.

Następne pytanie zadał Vance:

—A czy Drukkerowie znali Sprigga, profesorze?

—Bardzo możliwe. Arnesson i Drukker widują się bardzo często... Zdaje mi się nawet, że Sprigg zastał tu kiedyś wieczorem Drukкера.

—A Pardee? Czy także znał Sprigga?

—Nie umiem powiedzieć. — Uderzył niecierpliwie w poręcz fotela i zwrócił się znów do Markhama: — Panie prokuratorze — zapytał z rozdrażnieniem jaki jest cel tych pytań? Co ma wspólnego dzisiejsze morderstwo z faktem, że znamy studenta

nazwiskiem Sprigg? Chyba mi pan nie powie, że zabito właśnie ucznia Arnessona?

—Niestety, tak odparł Markham.

W głosie profesora, kiedy się znów odezwał, zabrzmiał niepokój, a może nawet strach.

—Jeżeli nawet tak, to co my możemy mieć z tym wspólnego? I jaki może być związek między tym mordem a śmiercią Gila?

—Przyznam się, że nie wiemy nic określonego — odparł Markham. — Ale bezcelowość obu tych mordów — kompletny brak pobudek w obydwóch wypadkach nadaje im szczególne podobieństwo.

—To znaczy, naturalnie, że panu nie są znane pobudki. Ale jeżeliby wszystkie pozornie nie umotywowane zbrodnie miały uchodzić za ogniwa jednego łańcucha...

—W obu wypadkach wchodzi w grę element czasu i miejsca — uzupełnił prokurator.

—I to pan wziął za podstawę swego twierdzenia? — Profesor mówił tonem dobrotliwie pogardliwym. — Nie byłeś pan nigdy dobrym matematykiem, panie Markham, ale to przynajmniej powinieneś wiedzieć, że na tak kruchych przesłankach nie można zbudować żadnej hipotezy.

— Obydwa nazwiska wtrącił Vance Robin Gil i Janek Sprigg, są znane z popularnych wierszyków dla dzieci.

Stary uczony popatrzył na niego z nie ukrywanym zdumieniem. Stopniowo twarz jego zapłonęła purpurą gniewu.

—Pański dowcip, szanowny panie, jest nie na miejscu.

— To nie mój dowcip, niestety! — odparł smutnie Vance. — Nie mój, lecz Biskupa.

—Biskupa? — Dillard opanował z trudem irytację

— Niech pan słucha, panie Markham, ja nie pozwolę z siebie żartować. Już drugi raz wspominać w tym pokoju tajemniczego Biskupa. Proszę mi powiedzieć, co to ma znaczyć. To, że jakiś wariat napisał do prasy bzikowaty list o śmierci Robina, nie dowodzi wcale, że tenże wariat ma coś wspólnego ze Spriggiem.

—Pod ciałem Sprigga znaleziono papier z formułą matematyczną, wypisaną na tej samej maszynie, co listy

Biskupa.

— Co? — profesor pochylił się w przód. — Na tej samej maszynie, powiada pan? Formuła matematyczna?... Cóż to za formuła?

Markham otworzył notes i wyjął zeń trójkątny kawałek papieru otrzymany od Pittsa.

—Tensor Riemanna-Christoffela... Profesor długo milczał, wpatrując się w papierek. Wreszcie oddał go prokuratorowi. Mogło się wydawać, że się nagle postarzał. Podniósł na nas znękane oczy i rzekł z beznadziejną rezygnacją. — Absolutnie niezrozumiałe. Ale może macie rację, może wasze poczynania są uzasadnione. Czego sobie życzycie?

Ta nagła zmiana taktyki zbiła Markhama z tropu.

—Celem naszej wizyty było przede wszystkim dowiedzenie się, czy Sprigg miał coś wspólnego z domem państwa. Co prawda szczerze mówiąc nie widzę, żeby nam to cokolwiek wyjaśniło. W każdym razie prosiłbym o łaskawe pozwolenie przesłuchania Pynna i Beedle'owej w sposób, jaki uznam za wskazany.

Ależ proszę bardzo. Nie będzie mi pan mógł zarzucić, prokuratorze, że utrudniałem śledztwo. — Popatrzył błagalnie na Markhama. Mam nadzieję, że bez mojej wiedzy nie przedsięwzięmie pan żadnych drastycznych kroków?

To mogę panu profesorowi przyrzec. Markham wstał. — Na razie jesteśmy bardzo dalecy od takich możliwości.

Wyciągnął rękę. Z jego zachowania się widać było, że wyczuł w starszym człowieku skrywany niepokój i że pragnął mu wyrazić nieme współczucie.

Profesor odprowadził nas do drzwi.

— Nie rozumiem tego tensora — mruczał, potrząsając głową. Ale jeżeli mógłbym w czymś pomóc...

Może pan coś dla nas zrobić, profesorze rzekł Vance przystając. — W dniu śmierci Robina przesłuchiwaaliśmy panią Drukker...

— A!

I jakkolwiek nie przyznała się, że siedziała w oknie tego dnia przed południem, nie jest wykluczone, iż widziała, co się

rozegrało na torze między jedenastą i dwunastą.

— Czy odniósł pan takie wrażenie? — zapytał z hamowanym zainteresowaniem profesor.

Niezupełnie. Drukker zeznał, że słyszał jej krzyk, czemu ona gwałtownie zaprzeczyła. I to właśnie naprowadziło mnie na domysł, że mogła coś widzieć, ale że woli nie mówić. Otóż przyszło mi do głowy, że może panu, jako sąsiadowi i dobremu znajomemu, udałoby się wpłynąć na nią i namówić, żeby się przyznała, jeżeli rzeczywiście coś widziała.

— Nie! — odparł prawie ostro profesor, ale momentalnie zmienił ton i położył rękę na ramieniu Markhama.

Są rzeczy, których bym się nie podjął. Jeżeli ta nieszczęśliwa, udęczona kobieta widziała coś ze swego okna, to panowie musicie to sami wyświecić. Ja nie będę się nad nią znęcał i mam szczerą nadzieję, że panowie również pozostawicie ją w spokoju. Macie inne sposoby wykrycia prawdy. — Spojrzał w oczy prokuratorowi.

— Jej dręczyć nie wolno. Sam by pan tego pożałował.

—Musimy wyświecić wszystko, co się da odparł stanowczo, lecz uprzejmie Markham. - Na mieście szaleje szatan, spuszczone z uwięzi, i nie mogę się cofać przed zadaniem cierpienia jednostce, choćby to cierpienie było nie wiem jak bolesne, kiedy wchodzi w grę istnienia ludzkie. Ale zapewniam pana, że nie będę się znęcał nad nikim bez potrzeby.

— Czy pan pomyślał — zapytał spokojnie Dillard że prawda, której pan szuka, może być jeszcze okropniejsza niż same zbrodnie?

— To będziemy ryzykować. Nawet gdybym miał tego rodzaju pewność, nie cofnąłbym się o krok.

—To zrozumiałe, ale, prokuratorze, ja jestem dużo starszy od pana. Miałem siwe włosy, kiedy pan był jeszcze sztubakiem zmagającym się z logarytmami, a człowiek, starzejąc się, uczy się oceniać sprawy tego świata z właściwego punktu widzenia. Proporcje ulegają zmianie. Rzeczy, które ceniliśmy, tracą znaczenie. Dlatego starzy łatwiej przebaczą: wiedzą bowiem, że wartości stworzone przez człowieka nie są ważne.

— Ale dopóki musimy żyć ludzkimi wartościami ar-



gumentował Markham obowiązkiem moim jest walczyć o nie. I żadna osobista sympatia nie powstrzyma mnie od obowiązku szukania prawdy.

—Może pan ma słuszość — westchnął profesor.

—Ale w tym wypadku proszę nie żądać pomocy ode mnie. Jeżeli pan się dowie prawdy, niech pan będzie miłosierny. I zanim pan pośle winowajcę na fotel elektryczny, niech się pan wpierw upewni, czy jest on naprawdę odpowiedzialny za swoje czyny. Istnieją chore umysły tak samo, jak chore ciała, i często jedno z drugim idzie w parze.

Powróciliśmy do salonu i Vance zapalił papierosa niezwykle starannie.

—Profesor jest przygnębiony śmiercią Sprigga — zaczął - i jakkolwiek nie chce się do tego przyznać, formuła tensora przekonała go, że Robin i Sprigg należą do tego samego równania. Ale dlaczego dał się tak łatwo przekonać? Dalej, nie miał wielkiej ochoty potwierdzić, że Sprigga znano w tym domu. Nie powiem, żeby miał podejrzenia, ale boi się... Zajął dziwaczne stanowisko. Nie chce ci przeszkadzać w wykonywaniu sprawiedliwości, którą ty reprezentujesz z takim zapalem, Markham, ale nie chce również pomóc ci w stosunku do Drukkerów. Ciekaw jestem, co się kryje za kulisami współczucia dla pani Drukker. Nie powiedziałbym, że profesor należy do natur sentymentalnych. A co znaczył frazes o chorym ciele i chorym umyśle? Brzmiało to jak z prospektu o wychowaniu fizycznym... Do licha! Ale czas pomyśleć o Pynnie i jego córce.

Markham puszczał w milczeniu kłęby dymu. Rzadko widywałem go tak przygnębionego.

Nie wiem, czego by się można od nich dowiedzieć

zauważył. No! spróbujmy! Sierzancie, sprowadź pan Pynna.

Heath opuścił pokój. Vance rzucił przyjacielowi filuterne spojrzenie.

Wiesz, nie powinienes się martwić. Niech cię pocieszy Terencjusz: Nil tam difficile est, quin quaerendo investigari possit. Słowo daję, mamy twardey orzech do zgryzienia... Nagle spowaźniał. — Mamy do czynienia z niewiadomymi.

Walczymy z dziwną anormalną siłą, która nie działa podług przyjętych praw postępowania. Jest ona jednocześnie subtelna — o, szalenie subtelna i niesamowita. Ale w każdym razie wiemy, że emanuje skądś blisko. Musimy wobec tego rozważyć wszelkie psychologiczne pobudki. Ów niewidzialny smok kryje się gdzieś w pobliżu. Nie zgorsz się więc, gdy będę sondował Pynna. Musimy przebadać nawet pozorne nieprawdopodobieństwa...

W hallu rozległy się kroki i wszedł Heath, prowadząc za sobą starego lokaja.

ROZDZIAŁ XI  
SKRADZIONY REWOLWER

*(Poniedziałek, 11 kwietnia, godz. 3 po południu)*

— Siadajcie, Pynn rzekł uprzejmie, lecz sucho Vance. — Pan profesor pozwolił was przesłuchać i mam nadzieję, że odpowiecie nam na wszystkie pytania.

— Jestem do dyspozycji, panie prokuratorze — odparł stary. Jestem pewny, że nie ma niczego takiego, co mój pan chciałby ukryć.

— Doskonale! Vance rozparł się leniwie w fotelu.

— Zaczynamy więc. O której godzinie podano dziś w tym domu pierwsze śniadanie?

— O wpół do dziewiątej, proszę pana. Tak, jak zwykle.

— Czy wszyscy byli obecni?

— Tak jest.

— Kto budzi państwa z rana? I o której godzinie?

— Ja — o wpół do ósmej. Pukam we drzwi...

— I czekacie na odpowiedź?

Tak, proszę pana zawsze.

Zastanówcie się teraz dobrze, Pynn, czy dziś rano wszyscy wam odpowiedzieli?

Lokaj pochylił emfatycznie głowę.

— Wszyscy, proszę pana.

— I nikt nie spóźnił się na śniadanie?

— Nikt wszyscy przyszli prędko, jak zwykle.

Vance przechylił się i strząsnął popiół z papierosa na kratę paleniska.

— Czy nie widzieliście, żeby ktoś dziś wyszedł z domu albo powrócił przed śniadaniem?

Pytanie to zabrzmiało zdawkowo. Pomimo to zauważyłem, że cienkie, obwisłe powieki lokaja drgnęły lekko ze zdziwienia.

— Nie, proszę pana.

— A czy to możliwe - ciągnął dalej Vance — żeby ktoś z domowników wyszedł z domu i powrócił tak, żebyście o tym

nie wiedzieli?

Pierwszy raz Pynn odpowiedział niechętnie:

— Ooowszem, proszę pana, mogło to być, że ktoś wyszedł rano frontowymi drzwiami bez mojej wiedzy, wtedy kiedy nakrywałem w jadalni do stołu. Przez klub łuczniczy też mógł ktoś wyjść, bo moja córka przygotowując śniadanie zawsze zamyka drzwi od kuchni.

Vance palił chwilę papierosa, wreszcie zapytał od niechcienia:

— Czy w tym domu ma ktoś rewolwer?

Stary wytrzeszczył oczy.

— N-nie wiem... proszę pana — odpowiedział jękając się.

— Czy słyszeliście kiedy o Biskupie, Pynn?

Nie, proszę pana! Twarz lokaja okryła się błądzą. — Czy o tym, co to pisał do gazet?

— Powiedziałem po prostu: o Biskupie — odparł niedbale Vance. — A słyszeliście, że dziś z rana zabito człowieka w Riverside Park?

— Słyszałem, proszę pana. Mówił mi dozorca z sąsiedniego domu.

— Znaliście młodego pana Sprigga?

— A jakże. Był u nas parę razy.

— A ostatnio kiedy?

— W zeszłym tygodniu, proszę pana. Zdaje mi się, że w czwartek.

— A czy był wtedy jeszcze ktoś inny?

Pynn zmarszczył brwi, jakby usiłując sobie przypomnieć.

— Pan Drukker — odpowiedział po chwili. — A potem jeszcze przyszedł pan Pardee. Siedzieli do późnej godziny w pokoju pana Arnessona i rozmawiali.

— W pokoju pana Arnessona? Więc pan Arnesson przyjmuje gości w swoim pokoju? Czy zawsze?

— Nie, proszę pana objaśnił Pynn ale w bibliotece pracował nasz pan, a panią Drukker siedziały tu w salonie.

Vance milczał chwilę.

— To wystarczy, Pynn — rzekł w końcu. Przyślijcie nam teraz waszą córkę.

Zjawiała się Beedle'owa i stanęła przed nami, po swojemu

naburmuszona. Vance przepytował ją podobnie jak jej ojca. Odpowiadała przeważnie monosylabami i nie dowiedzieliśmy się niczego więcej. Ale pod koniec tego krótkiego przesłuchania Vance zapytał, czy będąc rano w kuchni przed podaniem śniadania, nie wyjrzała przypadkiem oknem.

— Wyjrzałam parę razy — odparła wyzywająco.

— A bo mi to nie wolno?

— Czy nie widzieliście kogoś na torze łuczniczym albo na podwórzu od tyłu?

— Tylko naszego pana z panią Drukker.

— Nikogo obcego?

Vance usiłował zachować się tak, jakby fakt obecności profesora Dillarda i pani Drukker tego rana na podwórzu za domem nie miał żadnego znaczenia, ale po charakterystycznym powolnym ruchu, jakim sięgnął po papierośnicę, zorientowałem, że ta rewelacja zrobiła na nim silne wrażenie.

— Nie — odparła krótko baba.

— O której godzinie widzieliście na podwórzu pana profesora i panią Drukker?

— Była może ósma.

— Czy rozmawiali?

— A jakże. Przechadzali się tam i nazad koło altanki, rozmawiając.

— Czy zawsze przechadzają się po podwórzu przed śniadaniem?

— Pani często wychodzi całkiem rano i spaceruje koło kwiatów. A panu profesorowi chyba wolno spacerować po swoim podwórzu, kiedy mu się podoba?

— Nie kwestionuję jego praw w tym względzie, moja kobieto odrzekł łagodnie Vance. Ciekaw byłem tylko, czy ma zwyczaj korzystać z tych praw o tak wczesnej godzinie.

— Jak jest, to jest, a dziś z nich korzystał.

Vance odprawił kobietę i wstawszy z fotela, podszedł do frontowego okna. Był najwyraźniej zbity z tropu. Przez kilka minut milczał, wyglądając na ulicę w kierunku rzeki.

— Hm — mruknął wreszcie. — Piękny dzień dla obcowania z naturą. O ósmej z rana niewątpliwie „Skowronek był w

locie i — któż wie? - a ślimak na cierniu”, być może. Ale, słowo daję, nie wszystko było w porządku na świecie.

Markham wyczuł, że przyjaciel jest wytrącony z równowagi.

— Co o tym sądzisz? — zapytał. — Podług mnie informacje Beedle’owej są bez znaczenia.

— Sęk w tym, że w tej sprawie nie możemy ignorować niczego. — Vance mówił cicho, nie odwracając głowy.

— Muszę jednak przyznać, że na razie relacja Beedle’owej jest rzeczywiście bez znaczenia. Dowiedzieliśmy się po prostu, że dwoje uczestników naszego melodramatu spacerowało dziś wcześniej z rana po podwórzu, a o tej porze Sprigg już nie żył. Ta randka al fresco między profesorem i starą damą to ostatecznie mógł być twój ulubiony zbieg okoliczności. Z drugiej strony mogło to mieć związek z sentymentalnym poglądem starego dżentelmena na nieszczęśliwą kobietę... Będziemy go musieli dyskretnie zapytać o tę schadzkę.

Wyjrzał prędko oknem.

— Arnesson idzie. Wydaje się wzburzony.

W kilka chwil później rozległ się zgrzyt klucza w drzwiach frontowych i do hallu wszedł Arnesson.

Zobaczywszy nas wpadł do salonu i nie witając się wybuchnął:

— Co to znowu? Sprigga zastrzelono? Obrzucił nas bystrym spojrzeniem. Przyszłście pewnie mnie zapytać o niego. Jestem do usług. — Rzucił ciężką teczkę na środkowy stół i usiadł na brzeżku krzesła. Był dziś na uniwersytecie detektyw. Zadawał głupie pytania i zachowywał się jak błazen z operetki. Okropnie tajemniczy... Morderstwo straszne morderstwo! Co wiemy o niejakiem Janie E. Spriggu? I tak dalej... Kilku młodzikom napędził takiego stracha, że zgłupieli na pewno na cały semestr, a poczciwego angielskiego asystenta przyprawił o atak nerwowy. Ja się z nim nie widziałem — miałem właśnie wykład. Idiota miał czelność zapytać się, co to za dziewczyny, z którymi widywano Sprigga. Sprigg i kobiety! Chłopak nie myślał o niczym, tylko o nauce. Najlepszy mój matematyk! Nigdy nie opuścił wykładu. Kiedy dziś się nie zjawił, od razu byłem

pewien, że coś się stało. W południe już wszyscy wiedzieli o morderstwie... Co się właściwie stało?

— Nie wiemy. Vance nie spuszczał oka z uczonego. — Ale mamy nowe fakty dla pana. Janek Sprigg został zastrzelony „kuleczką z ołowiu”, która przeszła mu głowę. Rozumie pan?

Arnesson patrzył przez chwilę na Vance'a jak skamieniały. Nagle przechylił głowę w tył i roześmiał się drwiąco.

— Nowy kawał, co? W rodzaju śmierci Gila... Niech pan odczyta runy!

Vance zakomunikował mu pokrótce szczegóły zbrodni.

— To jest wszystko, co na razie wiemy — zakończył. — Ale może pan, panie Arnesson, mógłby nam dostarczyć jakichś wskazówek?

— Mój Boże, nie! — okazał szczere zdumienie. — Nie wiem absolutnie nic. Sprigg... jeden z moich najzdolniejszych studentów! Byłby geniuszem! Na Boga! Że też rodzice ochrztili go Janem... mieli tyle innych imion. To imię przypieczętowało wyrok na chłopca. Maniak przedziurawił mu głowę. Najwidoczniej ten sam wesoły błazen, który zakatrupił Robina strzałą. Zatarł ręce. Snuł oderwane filozoficzne rozważania. — Piękny problem? Wszystkoście mi już powiedzieli? Muszę znać wszelkie możliwe dane. Może być, że przy tej okazji natknę się na nową metodę matematyczną tak jak Kepler. Zachichotał. Pamiętacie jego *Doliometrię*, która stała się podstawą rachunku różniczkowego i całkowego? Stworzył ją, próbując obmyślić beczkę do wina o minimum ilości drzewa i maksimum pojemności. Może i mnie zdarzy się coś podobnego? Może formuły, jakie wypracuję, aby rozwiązać tę zbrodnię, otworzą w nauce nowe perspektywy. Ha! Wtedy Robin i Sprigg zostaną męczennikami.

Humor tego człowieka, nawet uwzględnivszy jego pasję do abstrakcji, wydał mi się odrażający. Ale na Vance'ie ten zimnokrwisty cynizm nie robił wrażenia.

— Zapomniałem o jednej rzeczy — rzekł i poprosił Markhama o wręczenie uczonemu skrawka papieru z formułą. — To znaleziono pod ciałem zamordowanego.

Arnesson wziął niedbale tajemniczy skrawek.

— Och, widzę, że Biskup znów działa. Ten sam papier i czcionki, co w listach... Ale skąd on wytrzasnął tensor Riemanna-Christoffela? Gdyby to był jakiś inny tensor, na przykład G-sigma-tau każdy interesujący się fizyką praktycznie mógłby nań trafić. Ale ten jest rzadko stosowany. To coś niezwykłego!... Do licha! Przecież rozmawiałem o tym ze Spriggem któregoś wieczora. Nawet to notował.

— Pynn wspominał, że Sprigg był tutaj w czwartek wieczorem wtrącił Vance.

— Tak?... A prawda, to był czwartek. Przyszedł również Pardee, a potem Drukker. Mieliśmy dyskusję o współrzędnych Gaussa. W czasie dyskusji Drukker pierwszy zrobił wzmiankę o tym tensorze. A Pardee'emu przyszła szalona myśl zastosowania wyższej matematyki do szachów...

— A propos, czy pan grywa w szachy? - zapytał Vance.

— Grywałem. Teraz już nie. Piękna gra, gdyby nie gracje. Dziwne stwory ci szachiści.

— Czy pan studiował gambit Pardee'ego?

W owej chwili nie zrozumiałem, do czego zmierza Vance. Pytania jego nie miały pozornie związku ze śledztwem. Zauważyłem, że i Markham zaczął się niecierpliwić.

— Biedny Pardee! Arnesson uśmiechnął się bez współczucia. Niezły matematyk elementarny. Powinien wykładać w szkole średniej. Ma za dużo pieniędzy i kompletnie zwariował na punkcie szachów. Powiedziałem mu, że jego gambitowi brak podstaw naukowych. Powiedziałem nawet, jak go można pobić. Ale nie mógł zrozumieć. Dopiero potem Casablanca, Vidmar i Tartakower rozbili mu jego gambit. Tak jak przepowiedziałem. Zmarnował chłop życie. Już od wielu lat biedzi się nad nowym gambitem, ale mu się nie udaje. Szuka natchnienia w Weylu, Silbersteinie, Eddingtonie i Machu.

— Bardzo interesujące. — Vance podał zapalki Arnessonowi, który rozprawiając nabijał fajkę. — Czy Pardee znał bliżej Sprigga?

— O, nie. Spotkali się tutaj dwa razy, i to wszystko. Natomiast zna dobrze Drukkera. Wypytuje go o skalary i



wektory. Ma nadzieję, że uda mu się znaleźć coś takiego, co zrewolucjonizuje szachy.

— Czy się interesował tensorem Riemanna-Christoffela w czasie owej dyskusji?

— Nie powiem. To dla niego za trudne. Ale co może być wspólnego między krzywą czasowo-przestrzenną a szachownicą?

— Jak pan sądzi, co to może znaczyć, że tę formułę znaleziono przy ciele zamordowanego?

— Nie mam pojęcia. Gdyby była napisana ręką Sprigga, powiedziałbym, że mu wypadła z kieszeni. Ale któż by zadawał sobie trud pisania formuły matematycznej na maszynie?

— Kto, jak nie Biskup!

Arnesson wyjął fajkę z ust i skrzywił się lekko.

— Biskup X. Będziemy go musieli znaleźć. Jakiś zwiariowany osobnik o spaczonym poczuciu wszelkich wartości.

— Najwidoczniej — potwierdził leniwie Vance. — Ale, ale, byłbym zapomniał, czy w tym domu są jakieś rewolwery?

— Oho! — Arnesson wybuchnął niepowstrzymaną wesołością. To tu raki zimują!... Przykro mi, że sprawię panu zawód. Żadnych rewolwerów. Żadnych zasuwanych drzwi. Żadnych ukrytych schodów. Wszystko otwarte i na wierzchu.

Vance westchnął teatralnie.

— Smutne... smutne! A stworzyłem sobie taką wygodną teorię.

W drzwiach stanęła Bella Dillard. Przeszła tak cicho przez hall, żeśmy jej nie usłyszeli, za to ona usłyszała zarówno pytanie Vance'a, jak i odpowiedź Arnessona.

— Ależ, Sigurdzie, w domu są rewolwery, dwa rewolwery — oświadczyła. — Czy nie pamiętasz tych starych rewolwerów, z których uczyłam się na wsi strzelać do celu?

— Myślałam, żeś je już dawno wyrzuciła. Arnesson wstał i podał jej krzesło. Powiedziałem ci przecież po powrocie z wakacji, że w tym kochanym stanie wolno używać rewolwerów tylko włamywaczom i bandytom...

— Ale ja ci nie uwierzyłam — zaprotestowała dziewczyna. Nigdy nie wiem, kiedy żartujesz, a kiedy mówisz na serio.

—Więc pani zachowała te rewolwery, panno Dillard? — zabrzmiał spokojny głos Vance’a.

— Tak. Rzuciła zaniepokojone spojrzenie na Heatha. Czy źle postąpiłam?

— Sądzę, że postępek pani był niezgodny z przepisami. Ale nie przypuszczam uśmiechnął się uprzejmie - żeby sierżant zechciał pociągnąć panią za to do odpowiedzialności. Gdzie one są?

— Na dole, w pokoju klubowym. W szufladzie komody z narzędziami.

Vance wstał.

— Może by pani była łaskawa pokazać nam, gdzie pani schowała te rewolwery? Szalenie bym chciał je zobaczyć.

Dziewczyna zawahała się i spojrzała na Arnessona. Skinął głową. Odwróciła się więc bez słowa i sprowadziła nas na dół, do sutereny klubowej.

— W komodzie koło okna rzekła i sama wysunęła małą, głęboką boczną szufladkę. Pod stosem rupieci w głębi leżał Colt 38.

— Co?! — krzyknęła. Tylko jeden! Drugi zniknął!

— Czy tamten był mniejszy od tego?

— Mniejszy...

— Trzydziestka dwójka?

Skinęła głową i odwróciła zdumione oczy na Arnessona.

— No cóż, przepadł, Bello odpowiedział wzruszając ramionami. Nie ma rady. Pewnie wziął któryś z twoich młodych łuczników, żeby sobie strzelić w łeb, gdy nie uzyska tytułu mistrza.

— Nie żartuj, Sigurd rzekła błagalnie, trochę przestraszona.

— Gdzie mógł się podziać?

— Jeszcze jedna czarna tajemnica zadrwił uczony.

— Zagadkowe zniknięcie starej pukawki!

Widząc niepokój dziewczyny Vance zmienił temat:

— Może by pani była łaskawa zaprowadzić nas teraz do pani Drukker. Chcielibyśmy zadać jej parę pytań, a z pani obecności tutaj wnoszę, że przejażdżka na wieś została odłożona.

Cień smutku przesunął się po twarzy dziewczyny.

— O, niech jej panowie dzisiaj nie męczą! - Zawołała błagalnym głosem. — Lady Mae jest bardzo chora. Nie rozumiem, co jej się stało — tak się dobrze czuła, gdyśmy gawędziły w salonie. Ale po rozmowie z panami zrobiło jej się słabo i... i... Och! ją dręczą jakieś okropne myśli. Kiedy ją położyłam do łóżka, przerażona zaczęła powtarzać szeptem: „Janek Sprigg, Janek Sprigg”... Zatelefonowałam do lekarza. Powiedział, żeby jej nie denerwować.

— To nic ważnego — uspokoił ją Vance. Naturalnie poczekamy. Kto jest jej lekarzem?

— Doktor Whitney Barstead. Ma ją pod opieką, odkąd tylko pamiętam.

— Świetny specjalista — rzekł Vance. — Najlepszy neurolog w Stanach! Nic nie zrobimy bez jego pozwolenia.

Panna Dillard spojrzała nań z wdzięcznością i, pożegnawszy nas, wyszła.

Kiedyśmy się znów znaleźli w salonie, Arnesson stanął przed kominkiem i popatrzył drwiąco na Vance'a.

— „Janek Sprigg, Janek Sprigg!” Lady Mae w lot pojęła, o co chodzi. Może to i wariatka, ale niektóre płaty jej mózgu funkcjonują aż nadto sprawnie. Cóż to za przedziwna maszyna ta ludzka mózgowica. Niektórzy z największych matematyków pamięciowych w Europie są głuptakami. I znam kilku mistrzów szachowych, którzy bez pomocy pielęgniarki nie potrafią ani się ubrać, ani zjeść.

Vance zachowywał się tak, jakby go nie słuchał. Stał koło małej gablotki blisko drzwi i przyglądał się starożytnym chińskim cackom, rżniętym w jaspisie.

— Ten słon nie pasuje do tej kolekcji zauważył od niechcienia, wskazując na maleńką figurkę. — Ładny, ale nieautentyczny. Zręczna imitacja. Stłumił ziewnięcie i zwrócił się do Markhama: Chyba pójdziemy. Nie mamy tu nic więcej do roboty. Chociaż warto by może pomówić chwilę z profesorem... Panie Arnesson, nie byłby pan tak dobry, żeby tu na nas poczekać?

Uczony podniósł brwi z pewnym zdziwieniem, ale zaraz potem uśmiechnął się wzgardliwie.

— Owszem. Idźcie, panowie! — I zaczął nabijać fajkę.  
Drugie nasze najście bardzo zirytowało profesora.

— Dowiedzieliśmy się właśnie rzekł Markham — że dziś przed śniadaniem rozmawiał pan profesor z panią Drukker...

Policzki profesora drgały gniewnie.

— Czy bez aprobaty urzędu śledczego nie wolno mi rozmawiać z sąsiadką?

— Cóż znowu, panie profesorze! Ale prowadzę śledztwo, które zahacza o pański dom, i sądzę, że mam przywilej zwracania się do pana o pomoc i informacje.

Stary człowiek krztusił się z irytacji.

— Dobrze — fuknął. Widziałem się z nią, jeżeli o to panom chodzi.

Vance wtrącił się do rozmowy:

— Nie o to nam idzie, profesorze. Chcielibyśmy jedynie zapytać, czy nie odniósł pan wrażenia, że ta kobieta mogła podejrzewać, co się rozegrało w Riverside Park na chwilę przed waszą rozmową.

Profesor chciał ostro odpowiedzieć, ale się pohamował i rzekł tylko:

— Nie. Nie odniosłem takiego wrażenia.

— A czy nie wydała się panu nieswoja lub podniecona?

— Nie! — profesor wstał i spojrzał w twarz Markhamowi. Rozumiem doskonale, do czego pan zmierza, aleja się na to nie zgadzam. Powiedziałem panu już raz, że absolutnie nie przyłożę ręki do maltretowania tej nieszczęśliwej kobiety. Więcej nic nie mam do powiedzenia.

—Odwrócił się do biurka. — Przepraszam, ale jestem zajęty!

Zeszliśmy na dół i pożegnaliśmy się z Arnessonem. Kiwnął nam serdecznie ręką, ale uśmiechnął się tak wzgardliwie i zarazem pobłażliwie, jakby był świadomy doznanej przez nas odprawy i jakby się nią cieszył.

Na chodniku Vance przystanął, żeby zapalić nowego

papierosa.

— A teraz udamy się na krótką causerie z wytwornym i smutnym Pardee'm. Nie wiem, co on może nam powiedzieć, ale pragnę go zobaczyć.

Ale Pardee'ego nie było. Lokaj Japończyk poinformował nas, że jego pan poszedł najprawdopodobniej do Klubu Szachistów na Manhattanie.

— Mamy czas jutro — rzekł Vance do Markhama.

Z rana skomunikuję się z doktorem Barsteadem. Może uda mi się zobaczyć z panią Drukker. Przy tej okazji zajdziemy do naszego szachisty.

— Mam nadzieję — mruknął Heath — że jutro dowiemy się czegoś więcej niż dzisiaj.

— Zapomina pan, że i dziś dokonaliśmy pewnego odkrycia — odparł Vance. Dowiedzieliśmy się, że wszyscy domownicy i przyjaciele Dillardów znali Sprigga i mogli wiedzieć o jego porannych przechadzkach nad Hudsonem. Dowiedzieliśmy się również, że w dzień mordu o godzinie ósmej rano profesor i pani Drukker przechadzali się po ogródku. Następnie, że z pokoju klubowego zginął rewolwer kaliber trzydzieści dwa... Niewiele tego, ale w każdym razie coś. Może nawet coś o dużym znaczeniu!

W drodze do urzędu Markham otrząsnął się z ponurego roztargnienia i spojrzał trwożnie na Vance'a.

— Zaczynam się bać tej złowrogiej sprawy. Dreszcz mnie przechodzi na myśl, co się będzie działo, gdy reporterzy natrafią na piosenkową kombinację nazwiska Jana E. Sprigga i znajdą tam związek między obu morderstwami.

— To prawie nieuniknione, mój drogi — westchnął Vance. Nie jestem medium, sny mi się nie sprawdzają, nie wiem, co to znaczy trans telepatyczny, ale coś mi mówi, że Biskup nie omieszkiał zawiadomić prasy o swojej drugiej wierszykowej zabawie. Ten nowy kawał jest jeszcze bardziej niezrozumiały niż komedia z Robinem Gilem. Już on się postara, żeby nikt tego nie przeoczył. Nawet srogi humorysta, który żongluje trupami, musi mieć audytorium, i to jest słabą stroną jego ohydnych zbrodni, a naszą prawie jedyną nadzieją, Markham.

— Zadzwoń do Quinana rzekł Heath i dowiem się, czy nie otrzymali czegoś nowego.

Ale nie potrzebował się fatygować. Reporter „Worldu” czekał już na nas w urzędzie śledczym i Swacker wprowadził go od razu do gabinetu.

Moje uszanowanie, panie prokuratorze — powitał go gość, którego zachowanie zdradzało zdenerwowanie, pokrywane fanfaronadą. — Mam tu coś dla sierżanta Heatha. Powiedziano mi w komendzie policji, że jemu powierzono sprawę Sprigga i że jest właśnie u pana. Więc właśnie... Sięgnął ręką do kieszeni i wydobywszy z niej arkusik papieru, wręczył go Heathowi. — Przysługuję się panu pięknie, ślicznie, ładnie, sierżancie, i spodziewam się, że w zamian dowiem się czegoś poufnego... Rzuć pan okiem na ten dokument. Największy kobiecy dziennik amerykański otrzymał właśnie pocztą tę reklamkę.

Pochyliliśmy się nad zwykłym arkusikiem maszynowego papieru z wypisaną bladoniebieskimi małymi czcionkami piosenką o Janku Spriggu. W rogu po prawej stronie na dole widniał wielkimi literami podpis: BISKUP.

— A oto koperta, sierżancie!

Pieczęć była przybita o godzinie dziewiątej. List ten podobnie jak poprzedni został wrzucony w tym samym urzędzie pocztowym.

## ROZDZIAŁ XII WIZYTA O PÓLNOCY

(Wtorek, 12 kwietnia, godz. 10 rano)

Na drugi dzień rano prasa wystąpiła z tak jaskrawo zmyślonymi sensacjami, że przeszło to najgorsze oczekiwania Markhama. Oprócz „Worldu” dwa jeszcze czołowe pisma poranne otrzymały zawiadomienia, podobne do tego, jakie pokazał nam Quinan. Wrażenie było wstrząsające, na miasto padł cień trwogi. I jakkolwiek tu i ówdzie usiłowano rozproszyć psychozę, tłumacząc zbiegiem okoliczności niesamowite szczegóły mordów, a listy Biskupa przypisując autorstwu jakiegoś idiotycznego żartownisia, to przecież cała prasa i ogromna większość publiczności uwierzyła święcie, że nowy straszliwy typ mordercy grasuje po mieście.<sup>3</sup>

Markham i Heath, atakowani przez reporterów, strzegli tak starannie tajemnicy, że prócz nich nikt się nie domyślał, że klucza do niej należało przypuszczalnie szukać w domu Dillardów. Przemilczeli również fakt zniknięcia rewolweru kaliber 32. Położenie Sperlinga prasa omawiała ze współczuciem. Został on powszechnie uznany za nieszczęśliwą ofiarę przypadku. Przestano krytykować Markhama, że zwleka z oddaniem go pod sąd.

W dzień śmierci Sprigga Markham zwołał konferencję w Klubie Stuyvesant, w której uczestniczyli inspektor Moran z biura wywiadowczego i główny inspektor O'Brien. Omówiono szczegółowo oba morderstwa i Vance uzasadnił swój pogląd, że jego zdaniem rozwiązania problemu należało szukać albo w domu Dillardów, albo gdzieś w pobliżu.

---

<sup>3</sup> Taka sama panika wybuchła w Londynie w 1888 roku, kiedy Kuba Rozpruwacz potwornie mordował kobiety w anormalnym szale, i w Hanowerze w 1923 roku, gdzie znów Haarman, wilkołak, zabawiał się w kanibala. Ale nie przypominam sobie żadnej innej współczesnej paraleli mogącej się równać pod względem atmosfery grozy z tą, jaka zawisła nad Nowym Jorkiem w okresie tych „piosenkowych” mordów.

— Jesteśmy teraz w kontakcie zakończył — ze wszystkimi osobami, które na tyle znały otoczenie i szczegóły z życia ofiar, że mogły z powodzeniem dopuścić się zbrodni. Nie pozostaje nam przeto nic innego, jak wziąć je wszystkie pod ścisłą obserwację.

Inspektor Moran był tego samego zdania, ale z jednym zastrzeżeniem.

— Chciałbym tylko dodać — uzupełnił — że żadna z wymienionych przez pana dramatis personae nie potrafiłaby odgrywać roli krwiożerczego szaleńca.

— Morderca nie jest szaleńcem w zwykłym tego słowa znaczeniu — odparł Vance. — Prawdopodobnie pod wszelkimi innymi względami jest normalny. Może się nawet odznaczać wysoką inteligencją, a nawet powiedziałbym błyskotliwością, a pomimo to być zbrojcem. Zagłębiając się w oderwane zagadnienia zatracił poczucie proporcji.

— Ale czyż nawet perwersyjny nadczłowiek może płatać bez powodu takie ohydne figle? — zapytał inspektor.

— Jest powód. Za potworną koncepcją tych mordów kryje się potężna siła, która w działaniu przybiera formę szatańskiego poczucia humoru.

O'Brien nie brał udziału w dyskusji. Chociaż zarysowujące się możliwości zrobiły na nim wrażenie, to z irytacją słuchał tych oderwanych rozważań psychologicznych.

— Tego rodzaju frazesy dobre są dla pism — mruknął.

— Nas nie doprowadzą do niczego. Wskazał grubym czarnym cygarem na Markhama. — My musimy iść za faktycznymi poszlakami i starać się o dowody rzeczowe.

Postanowiono w końcu, że listy Biskupa zostaną oddane do zbadania ekspertowi, oraz zarządono dalsze poszukiwanie tajemniczej maszyny do pisania. Należało również dojść, skąd pochodził papier, i szukać systematycznie świadków, którzy mogli ewentualnie spotkać kogoś w Riverside Park między siódmą i ósmą rano tego samego dnia. Nakazano staranne przestudiowanie zwyczajów i kontaktów Sprigga. Miał być także przesłuchany pracownik poczty, którego zadaniem było opróżnianie skrzynek pocztowych, w nadziei, że wyjmując listy



z różnych skrzynek mógł zwrócić uwagę na koperty, zaadresowane do pism, i zapamiętać, gdzie były wrzucone. Przedsięwzięto wiele jeszcze innych nakazanych rutyną czynności. Moran poradził, żeby przez jakiś czas trzej ludzie pełnili służbę dzień i noc w sąsiedztwie miejsc zbrodni ze względu na możliwość obserwowania podejrzanych osób. Policja i urząd śledczy miały działać ręką w rękę, naturalnie pod komendą Markhama pozostającego w porozumieniu z Heathem.

— Przesłuchiwałem już domowników u Dillardów i u Drukkerów w sprawie morderstwa Robina rzekł Markham do Morana i O'Briena. Co się tyczy zabójstwa Sprigga, to badałem profesora Dillarda i Arnessona. Jutro będę u Pardee'ego i Drukkerów.

Na drugi dzień rano Markham i Heath stawili się u Vance'a przed dziesiątą.

— Tak dalek być nie może — oznajmił prawie się nie witając prokurator. — Jeżeli kto coś wie, musimy to z niego wypompować. Przykręć śrubę i niech się dzieje, co chce.

— Naturalnie. — Vance wydawał się przygnębiony.

Chociaż wątpię, czy to coś pomoże. Tej zagadki zwyczajna procedura nie rozwikła. Jednakże telefonowałem do Barsteada. Pozwala przesłuchać panią Drukker, ale ja wpierw z nim pomówię. Mam szczególną ochotę dowiedzieć się czegoś o Drukkerze, bo to typ patologiczny. Widzisz, garby nie są na ogół skutkiem uszkodzeń kręgosłupa, spowodowanych upadkiem.

Pojechaliśmy niezwłocznie do doktora Barsteada. Był to potężny zażywny mężczyzna, którego nienaganne maniery sprawiały wrażenie wystudiowanych.

Vance wyjawiał bez wstępów cel swojej wizyty.

— Mamy powody przypuszczać, doktorze, że pani Drukker i może jej syn wiedzą coś o niedawnej zbrodni, popełnionej na osobie Robina Gila w domu Dillardów. Ale zanim ich ponownie przesłuchamy, pragnąłbym, aby nam pan powiedział o ile

naturalnie pozwoli panu na to etyka lekarska co to są za ludzie z neurologicznego punktu widzenia.

— Proszę, niech pan wypowie się jaśniej — odpowiedział doktor Barstead dość niechętnie.

— O ile wiem — ciągnął Vance — pani Drukker sobie przypisuje winę za kalectwo syna. Chociaż z drugiej strony orientuję się, że tego rodzaju deformacje fizyczne nie są zazwyczaj rezultatem przypadkowych obrażeń.

Lekarz pokiwał głową.

— Ma pan słuszność. Paraplegia mlecza pacierzowego może być następstwem dyslokacji lub urazu, ale w tym wypadku garb ma charakter ogniskowy, transwersalny. Osteitis, czyli próchnica kręgow, co nazywamy pospolicie chorobą Potta, jest zazwyczaj pochodzenia gruźliczego. Najczęściej występuje ona u dzieci. Często już przy urodzeniu. Prawdą jest, że uraz może przyspieszyć rozwój choroby, determinując miejsce infekcji lub pobudzając potencjalne ognisko. To dało niewątpliwie początek opinii, że sam uraz był przyczyną garbu. Ale i Schmaws, i Horsley wyjaśnili prawdziwą patologiczną anatomię próchnicy kręgowej. Ułomność Drukkera jest niewątpliwie pochodzenia gruźliczego. Nawet jego krzywa jest wybitnie zaokrąglona, co świadczy o daleko posuniętym procesie chorobowym. Scholiosis ani śladu. Co więcej, występują u niego wszystkie symptomy osteitis.

— Naturalnie wyjaśnił pan sprawę matce.

— Wiele razy, ale bez skutku. Straszliwy perwersyjny instynkt samoudręczenia każe jej wierzyć, że to ona jest odpowiedzialna za kalectwo syna. To błędne przeświadczenie przeszło u niej w *idae fixe*, zabarwiło jednostronnie cały jej światopogląd i stało się treścią życia na przeciąg czterdziestu lat. Ona żyje tylko dla syna, jemu służy i dla niego się poświęca.

— A jak pan sądzi — zapytał Vance do jakiego stopnia ta psychoneuroza podziałała na jej umysł?

— To trudno orzec. Nie chciałbym się wdawać w dyskusję na ten temat. Tyle tylko powiem, że to kobieta niewątpliwie chorobliwie przeczulona i że jej pojęcia uległy wypaczeniu.

Kilka razy — mówię to panom w zaufaniu zauważyłem objawy halucynacji, koncentrującej się na synu. Troska o niego stała się u niej obsesją. Dla niego byłaby zdolna do wszystkiego.

— Bardzo dziękujemy, doktorze, za okazane nam zaufanie... A czy w takim razie można przypuszczać, że jej wczorajsze zdenerwowanie zostało spowodowane niepokojem czy strachem o syna?

— Nie ulega wątpliwości. Całe jej życie umysłowe i uczuciowe ogniskuje się w nim bez reszty. Czy jednak w tym wypadku jej złe samopoczucie było skutkiem przerażenia rzeczywistego czy imaginacyjnego, nie da się określić. Za długo żyła na pograniczu między złudą i rzeczywistością.

Nastąpiło krótkie milczenie, po czym Vance zapytał:

— A co się tyczy samego Drukera, czy uważa go pan doktor za całkowicie odpowiedzialnego za swoje czyny?

— Ponieważ jest on moim pacjentem — odpowiedział oziębłe lekarz — i ponieważ nie przedsięwziąłem żadnych środków, aby go odosobnić, uważam pańskie pytanie za impertynencję.

Markham pochylił się ku niemu.

— Nie ma czasu bawić się w uprzejmostki, doktorze — rzekł ostro. — Prowadzimy śledztwo w sprawie wyrafinowanych morderstw. Druker jest w nie wplątany. Jak dalece, nie wiemy, ale naszym obowiązkiem jest wykryć prawdę.

Doktor miał najwidoczniej ochotę odpalić coś tak samo ostro, zreflektował się jednak i odrzekł tonem obiektywnej informacji z domieszką pobłażliwości:

— Nie mam powodu ukrywać przed panem czegokolwiek, ale kwestionowanie poczytalności pana Drukera równa się dla mnie zarzutowi, że lekceważę bezpieczeństwo publiczne. Chociaż może ja źle zrozumiałem pytanie tego pana. — Popatrzył przenikliwie na Vance'a. Ma się rozumieć, istnieją różne stopnie poczytalności ciągnął autorytatywnie. — Umysł pana Drukera jest, że tak powiem, nadmiernie rozwinięty, jak to się często zdarza u ofiar kyphosis. U niego wszystkie procesy umysłowe zwracają się niejako do wewnątrz, brak zaś normalnych reakcji fizycznych wywołuje niejednokrotnie

inhibicje i aberracje. Co prawda u pana Drukкера nie zauważyłem żadnych takich objawów. Jest drażliwy i skłonny do hysterii, ale ostatecznie psychokinesia zwykle idzie w parze z chorobą, na jaką on cierpi.

— Jakie on uznaje rozrywki? — zapytał zdawkowo, lecz uprzejmie Vance.

Doktor Barstead myślał chwilę.

— Powiedziałbym: dziecinne zabawy. Jest to zjawisko nierzadko spotykane u kalek. U pana Drukкера możemy je określić mianem realizacji pragnień na jawie. Nie zaznawszy normalnego dzieciństwa, chwyta się wszystkiego, co może być rekompensatą niepełnego dzieciństwa. Figle równoważą niejako monotonię jego czysto umysłowego życia.

— A matka jak się odnosi do tych zachcianek syna?

— Bardzo rozumnie, to znaczy zachęca go. Widywałem ją nieraz przechyloną przez mur w Riverside Park i przyglądającą się, jak on figluje z dziećmi. Zawsze też patroluje na przyjęciach i obiadach dla dzieci, jakie on u siebie wydaje.

W kilka minut później znaleźliśmy się na ulicy. Gdyśmy skręcali w 76 Street, Heath, jakby budząc się ze złego snu, westchnął głęboko i usiadł prosto w samochodzie.

— Czy pan zwrócił uwagę na to, co doktor mówił o dziecinnych zabawach? zapytał z przestrochą w głosie. Wielki Boże, panie Vance, czym się to wszystko skończy?

Vance patrzył na przesłonięte mgłą skały po drugiej stronie rzeki z wyrazem dziwnego smutku w oczach.

Zajechaliśmy przed dom Drukkerów. Otworzyła nam tęga Niemka, która rozparła się wyzywająco w drzwiach i zakomunikowała, że pan nikogo nie przyjmuje, bo bardzo zajęty.

— To trudno — odparł Vance. — Nas musi przyjąć. Powiedźcie mu, że pan prokurator chce się z nim widzieć.

Słowa te podziały na kobietę w dziwny sposób. Podniosła ręce do twarzy i jej ogromny biust zafalował konwulsyjnie. Nagle, jakby ogarnięta strachem, odwróciła się i wybiegła na schody. Dało się słyszeć pukanie do drzwi, potem głosy i w kilka chwil później zostaliśmy poinformowani, że pan czeka na

nas w gabinecie.

W chwili gdyśmy mijali Niemkę, Vance zatrzymał się nagle i świdrując ją złowieszczo oczami, zapytał:

— O której pan wstał wczoraj rano?

— Nie—nie wiem wyjąkała przestraszona. — Ja ja wiem, o dziewiątej, jak zawsze.

Vance skinął głową i poszedł dalej.

Drukker stał koło wielkiego stołu, zavalonego książkami i kartkami maszynopisu. Odkłonił się posępnie, ale nie poprosił, abyśmy usiedli.

Vance przyglądał mu się chwilę, jakby starając się wyczytać tajemnicę, ukrytą w głębi j ego niespokojnych, zapadniętych oczu.

— Panie Drukker — zaczął — nie jest naszym zamiarem narzucać się panu niepotrzebnie, ale dowiedzieliśmy się, że pan znał studenta Jana Sprigga, który, jak panu pewnie wiadomo, został zastrzelony wczoraj z rana niedaleko stąd. Otóż, proszę nam powiedzieć, czy pan się nie domyśla pobudki zbrodni?

Drukker wyprostował się. Pomimo że usiłował nad sobą panować, głos mu drżał.

— Bliżej go nie znałem i nie wyobrażam sobie, co mogło być przyczyną jego śmierci.

— Przy ciele znaleziono kartkę z formułą tensora Riemanna-Christoffela, którą to formułę zastosował pan w swojej książce, w rozdziale o skończoności przestrzeni fizycznej.

Mówiąc to, Vance przysunął do siebie jedną z kartek maszynopisu pokrywających stół i zerknął na nią od niechcienia.

Drukker jakby tego nie dostrzegł. Całą jego uwagę pochłonęło to, co usłyszał.

— Nie rozumiem odpowiedział niepewnie. Czy mogę to zobaczyć?

Markham podał mu papieraek. Kaleka, obejrzawszy tajemniczy świstek, oddał go z powrotem, mrużąc nieprzyjaźnie małe oczka.

— Czy pytaliście o to Arnessona? Omawiał tę formułę ze Spriggiem w czasie jego ostatniej bytności u Dillardów.

— Owszem — odparł niedbale Vance. — Pan Arnesson przypomniał sobie tę rozmowę, ale nie domyśla się, co może znaczyć ta notatka. Myśleliśmy, że może pan będzie coś wiedział.

— Przykro mi, ale i ja nie mogę panom nic powiedzieć — odparł z odcieniem szyderstwa Drukker. Każdemu wolno użyć tej formuły. Dość często wspomina się o niej w dziełach Weyla i Einsteina. Nikt nie ma na nią wyłącznego prawa... — Sięgnął do obrotowej półki i zdjął z niej cienką małą broszurę. — Posługuje się nią Minkowski w *Relativitätsprinzip*, tylko z innymi symbolami, na przykład T zamiast B, i greckimi literami jako wykładnikami — sięgnął po inną książkę — i Poincare w *Hypotheses Cosmogoniques* z jeszcze innymi symbolami ekwiwalentnymi. — Cisnął pogardliwie książki na stół. Po co do mnie przychodzić w tej sprawie?

— Nie sama tylko formuła tensora sprowadziła nas pod pańskie drzwi — odparł od niechcenia Vance. Na przykład mamy powód przypuszczać, że śmierć Sprigga ma związek z morderstwem Robina.

Drukker uczeplił się długimi rękami krawędzi stołu. Pochylił się ku nam, oczy rozbliły mu gorączkowo.

— Związek między Spriggiem i Robinem? Chyba nie wierzycie w bajki, rozsiewane przez prasę?... Podłe kłamstwa! — Twarz mu drgała, a głos przeszedł w krzyk.

— Obląkańczy nonsens... żadnego dowodu, powiadam wam: ani cienia dowodu!

— Gil, Robin Gil i Janek Sprigg, czy pan nie wie? — zabrzmiał cichy, natarczywy głos Vance'a.

— Idiotyzm! Absurd! Szaleństwo! Och, Boże! Czy świat oszalał?

Waląc ręką w stół, z którego kartki pospadały na wszystkie strony, kołysał się w przód i w tył.

Vance przyglądał mu się z łagodnym zdziwieniem.

— Czy nie zna pan przypadkiem Biskupa, panie Drukker?

Kaleka przestał się kołysać, oparł się o stół, wpił w Vance'a

straszliwe, przenikliwe spojrzenie. Usta silnie rozciągnięte nadawały mu wygląd człowieka chorego na postępującą dystrofię mięśniową, gdy się śmieje.

— Pan także! I pan oszalał! — przesunął po nas oczami.

— Wy beznadziejni głupcy! Nie ma żadnego Biskupa! Nie było żadnego Gila ani Janka Sprigga. I wy, dorośli ludzie, próbujecie nastraszyć mnie, mnie, matematyka dziecinnymi bajeczkami!...

Wybuchnął histerycznym śmiechem.

Vance podszedł do niego, szybko ujął za ramię i doprowadził do krzesła. Drukker śmiał się coraz ciszej, aż zamilkł. Machnął ciężko ręką.

— Źle się stało, że zabito Gila i Sprigga — rzekł z wysiłkiem bezbarwnym głosem. — Ale ostatecznie najważniejsze są dzieci... Prawdopodobnie wpadniecie na trop mordercy. A jeżeli nie, to może ja wam pomogę. Ale nie dajcie się ponosić wyobraźni. Trzymajcie się faktów... faktów...

Był kompletnie wyczerpany. Pożegnaliśmy go.

— On się boi, Markham, szalenie się boi — zauważył Vance, gdyśmy się znaleźli w hallu. — Chciałbym wiedzieć, co kryje się w jego przebiegłym, wynaturzonym mózgu.

Skierował się w stronę pokoju matki.

— Nie bardzo wypada składać w ten sposób wizytę damie. Doprawdy, Markham, nie urodziłem się na policjanta. Nienawidzę wścibstwa.

Na nasze pukanie odpowiedział słaby głos. Pani Drukker bledsza niż zwykle leżała na szezlongu koło okna. Jej białe ruchliwe ręce z lekko zagiętymi palcami spoczywały na poręczach fotela. Więcej niż kiedykolwiek widok jej przypominał mi drapieżne harpie dręczące Fineusza w opowieści o Argonautach.

Nim zdążyliśmy się odezwać, powiedziała z wysiłkiem, przerażonym głosem:

— Wiedziałam, że przyjdziecie, wiedziałam, że będziecie mnie dalej dręczyć...

— Ależ, proszę pani — odparł łagodnie Vance — jesteśmy jak

najdalsi od myśli zadawania pani cierpień. Potrzebujemy po prostu pani pomocy.

Zachowanie się Vance'a podziało na nią uspokajająco. Patrzyła na niego z namysłem.

— O, żebym mogła wam pomóc! — wymamrotała.

— Ale ja nic nie mogę zrobić, nie!...

— Mogłaby nam pani powiedzieć, co pani widziała ze swego wykuszu w dzień śmierci Robina — podsunął łagodnie Vance.

— Nie, nie! — Oczy wyskakiwały jej wprost z orbit.

— Nic nie widziałam, tego dnia wcale nie wyglądałam przez okno. Możecie mnie zabić, a konając, powtarzałam jeszcze: „Nie — nie — nie!”

Vance nie nalegał.

— Beedle'owa mówiła nam ciągnął że pani często wstaje wcześniej i przechadza się po ogródku.

Tak — odparła z westchnieniem ulgi. - Nie sypiam dobrze z rana. Nieraz budzę się ze świdrującym tęnym bólem w krzyżu, sztywna i rozbita. Toteż ilekroć pogoda pozwala, wstaję i przechadzam się po podwórzu.

— Beedle'owa widziała panią wczoraj rano.

Skinęła z roztargnieniem głowę.

— Przechadzała się pani w towarzystwie profesora Dillarda.

Znów skinęła głowę, ale zaraz potem posłała Vance'owi przenikliwe, zaczepne spojrzenie.

— Profesor przyłącza się czasami do mnie — wyjaśniła pośpiesznie. Ma dla mnie współczucie i podziwia Adolfa; uważa go za geniusza. Bo Adolf jest geniuszem!

I byłby wielkim człowiekiem, tak jak profesor Dillard, gdyby nie to jego kalectwo... A to kalectwo... A to kalectwo to tylko moja wina. Upuściłam go, kiedy był malutki...

Suche łkanie wstrząsnęło jej wychudzonym ciałem, ręce zaciskały się spazmatycznie.

Po chwili Vance zapytał:

— O czym pani rozmawiała wczoraj z profesorem Dillardem?

Oczy starej kobiety zamrugały chytrze.

— Głównie o Adolfie—odpowiedziała, siląc się najoczywiściej



na obojętność.

— Czy widziała pani jeszcze kogoś innego w ogródku albo na torze? — rzucił od niechcienia detektyw.

— Nie! krzyknęła w nowym przypiływie strachu.

— Ale byli jeszcze inni, prawda? Tacy, co nie chcieli, żeby ich widziano. — Pokiwała energicznie głową. — Tak! Byli, i oni myśleli, że ja ich nie widziałam... Ale nie widziałam! O, miłosierny Boże, nie widziałam! — Zakryła twarz dłońmi i ciałem jej wstrząsnęło konwulsyjne drganie. — O! gdybym ich widziała! Gdybym widziała!... Ale tam Adolfa nie było — mój maleńki tam nie był. On wtedy spał — dzięki Bogu, spał!

Vance przysunął się do płaczącej kobiety.

— Dlaczego pani dziękuje Bogu, że to nie był pani syn?

— zapytał łagodnie.

Spojrzała prawie zdumiona.

— Jak to? Czy nie pamiętacie? Mały człowieczek zastrzelił Janka Sprigga kuleczką z ołowiu, malutkim rewolwerkiem wczoraj rano — ten sam mały człowieczek, który zabił Gila strzałą z łuku... To straszna zabawa i ja się boję... Ale nie powiem... nie mogę powiedzieć. Mały człowieczek mógłby zrobić coś okropnego. Może — w głosie jej zabrzmiała głucha trwoga — może mu się przywidzieć — temu szaleńcowi — że to ja jestem tą „starą kobieciną, co mieszkała w bucie”!...

— Niechże się pani uspokoi proszę z wymuszonym uśmiechem Vance. — Przecież to nonsens. Za bardzo się pani tym przejęła. Wszystko da się wytłumaczyć w racjonalny sposób. I mam wrażenie, że pani mogłaby nam pomóc znaleźć to racjonalne wyjaśnienie.

— Nie, nie! Nie mogę, nie! Sama tego nie rozumiem!

Odetchnęła głęboko i zacięła usta.

— Dlaczego nie może nam pani powiedzieć? — nalegał Vance.

— Bo nie wiem! — krzyknęła. — Boże! Jakże żałuję, że nie wiem! Wiem tylko, że dzieje się tutaj coś okropnego, że nad tym domem zawisło jakieś straszliwe przekleństwo...

— Skąd pani o tym wie?

Zaczęła drżeć gwałtownie. Oczy jej biegały nieprzytomnie po pokoju.

— Dlatego że — mówiła ledwie dosłyszalnym szeptem — dlatego że mały człowieczek był tutaj wczoraj w nocy. Na te słowa mróz mnie przeszedł. Usłyszałem nawet, jak taki zawsze niewzruszony sierżant sapnął głośno. Vance pytał dalej tym samym spokojnym głosem:

— Skąd pani wie, że on tu był? Czy pani go widziała?

— Nie, nie widziałam, ale próbował się dostać do tego pokoju tymi drzwiami.

Wskazała niepewnym gestem na drzwi od hallu, przez któreśmy właśnie weszli.

— Musi nam pani opowiedzieć dokładnie, jak to było

— rzekł Vance — bo inaczej będziemy zmuszeni posądzić panią o zmyślanie.

— Och, nie, Bóg mi świadkiem, że nie zmyślam. Nie ulegało wątpliwości, że nie kłamała. Stało się coś, co ją śmiertelnie przeraziło. Leżałam w łóżku, ale nie spałam. Mały zegar na konsoli wybił właśnie północ, kiedy w hallu za drzwiami usłyszałam cichy szelest. Zwróciłam głowę ku drzwiom i zobaczyłam — na stoliku paliła się nocna lampka i zobaczyłam, że klamka drzwi porusza się lekko, cicho, tak, jakby ktoś chciał wejść, nie budząc mnie...

— Przepraszam panią — przerwał Vance. — Czy pani wieczorem zamyka drzwi na klucz?

— Dawniej nie zamykałam, ale od dnia śmierci pana Robina zamykam. Od tego czasu nie czuję się bezpieczna, sama nie wiem dlaczego...

— Rozumiem panią doskonale. Proszę, niech pani opowiada dalej. Zobaczyła pani, że klamka się porusza... A potem co?

— Tak, tak... Poruszała się wolno, podnosiła i opadała. Leżałam w łóżku, skamieniała z trwogi. Ale po chwili zdobyłam się na wydobycie głosu i krzyknęłam — nie wiem, jak głośno. Nagle klamka przestała się poruszać i usłyszałam oddalające się szybko kroki. Wtedy wstałam z wysiłkiem i poszłam do drzwi, nasłuchując. Złęklam się o... o... Adolfa. I słyszałam te ciche kroki, jak zbiegały po schodach...

— Po których schodach?

— Tylnych od kuchni... Potem skrzypnęły drzwi siatkowe i

zapadła cisza. Długo klęczałam z uchem przyłożonym do dziurki od klucza, nasłuchując, wyczekując. Ale niczego się nie dosłuchałam i w końcu wstałam... Coś mi powiedziało, że muszę otworzyć drzwi. Bałam się okropnie, ale czułam, że muszę to zrobić...

Przeszło ją silne drzenie. Przekręciłam ostrożnie klucz i ujęłam za klamkę. W chwili gdy pociągałam wolno drzwi ku sobie, jakiś drobny przedmiot, położony na klamce z drugiej strony, zleciał z hałasem na podłogę. W hallu paliło się światło. Nigdy nie każę gasić światła w hallu. Nie chciałam patrzeć na to, co spadło, ale nie mogłam oderwać oczu od podłogi! U moich nóg, och, Boże! u moich nóg leżało coś...

Nie mogła mówić dalej. Trwoga sparaliżowała jej język. Spokojny, chłodny głos Vance'a przywrócił jej panowanie nad sobą.

— Co leżało na podłodze?

Wstała z trudnością, przytrzymała się łóżka i poszła chwiejnym krokiem do toaletki. Wsunęła małą szufladkę, przez chwilę szukała, wreszcie wyciągnęła do nas rękę: na białej dłoni czerniała bierka szachowa.

Był to biskup!<sup>4</sup>

---

<sup>4</sup> W angielskiej terminologii szachowej „biskup” oznacza „gońca”

## ROZDZIAŁ XIII W CIENIU BISKUPA

(Wtorek, 12 kwietnia, godz. 11 przed południem)

Vance wziął bierkę z dłoni pani Drukker i schował do kieszeni.

— Proszę pani rzekł uroczyście źle by było, gdyby to, co zaszło w tym pokoju ubiegłej nocy, rozeszło się... Gdyby osoba, która pani wypłatała tego niemądrego figla, dowiedziała się, że pani dała znać policji, mogłyby panią spotkać jeszcze inne niespodzianki. Proszę więc ani słowa — nikomu!

— Czy nawet Adolfowi nie mogę powiedzieć? zapytała z roztargnieniem.

— Nikomu! Nawet jemu! Absolutne milczenie, rozumie pani?

Nie rozumiałem, dlaczego Vance tak na to nalega, ale w parę dni wszystko się wyjaśniło. Pobudka jego przestrogi ujawniła się w sposób tragiczny. Pojąłem, że już wtedy, w czasie rozmowy z panią Drukker, przenikliwy umysł wielkiego detektywa wypracował niesamowicie ścisłą hipotezę i przewidział pewne nie podejrzewane przez nas możliwości.

W kilka chwil później pożegnaliśmy się i zesliśmy tylnymi schodami, które skręcały pod ostrym kątem na prawo, osiem lub dziesięć stopni poniżej poziomu drugiego piętra. Z podestu odchodził mały, ciemny korytarzyk z dwójgiem drzwi. Jedne prowadziły do kuchni, a drugie, ukośnie przeciwległe do tamtych, na ganek z drzwiami z siatki drucianej.

Wyszliśmy pośpiesznie na ganek, tonący w blasku słońca.

Nikt się nie odzywał. Staraliśmy otrząsnąć się z wrażenia, w jakie wprowadziło nas opowiadanie pani Drukker.

Pierwszy zabrał głos Markham.

— Czy sądzisz, Vance, że człowiek, który tu przyniósł w nocy figurę szachową, jest zabójcą Gila i Sprigga?

— Nie ulega wątpliwości. Cel jego nocnej wizyty jest oczywisty i zgadza się z tym, co już wyszło na jaw.

—Mnie się to wydaje okrutnym żartem — odparł Markham

figlem szatana.

Vance potrząsnął głową.

— Jest to właśnie jedyny epizod w całej makabrze, który nie wygląda na figiel szaleńca. To była wyprawa śmiertelnie poważna. Sam diabeł nie jest nigdy tak uroczysty jak wtedy, gdy zaciera za sobą ślady. Nasz diabeł znalazł się w kłopotcie i uciekł się do śmiałej sztuczki. Słowo daję, że ja wolę jego jowialny humor od tej powagi, która zmusiła go, by zawitał tutaj ostatniej nocy. W każdym razie mamy teraz w rękę coś określonego.

Heath, który nie znosił teoretycznych roztrząsań, podjął skwapliwie ostatnią uwagę.

—Ale co, proszę pana?

— Imprimis należy przyjąć, że nasz szachowy trubadur musiał być gruntownie obznajomiony z rozkładem tego domu. Nocna lampa w górnym hallu mogła oświetlać schody do podestu, ale reszta klatki schodowej tonęła w ciemnościach. Nadto, tylna część domu obfituje w zakamarki i obcemu trudno byłoby znaleźć drogę po ciemku nie narobiwszy hałasu. Oczywiście nocny gość wiedział, w którym pokoju śpi pani Drukker. Dalej, musiał wiedzieć, o której godzinie położył się Adolf Drukker, bo przecież nie narażałby się na niebezpieczne spotkanie.

— Z tego nam wiele nie przyjdzie — sarknął Heath.

— I tak od początku wojujemy tą teorią, że morderca musiał dobrze znać topografię obu domów.

— Prawda, ale wszak można dobrze znać zwyczaje domowników, a nie wiedzieć, o której godzinie ten czy ów poszedł spać jakiegoś wieczora, i nie móc zakraść się potajemnie do domu. Co więcej, sierżancie, nasz nocny gość wiedział, że pani Drukker nie zamykała się w nocy na klucz, gdyż jasną jest rzeczą, że chciał wejść do jej pokoju. Zamiar jego nie polegał wyłącznie na zostawieniu tej drobnej pamiątki. Dowodzi tego ciche, ukradkowe naciskanie klamki.

— Może chciał po prostu obudzić panią Drukker, żeby znalazła to od razu? podsunął Markham.

— Więc dlaczego poruszał klamką tak ostrożnie, jakby

właśnie nie chciał nikogo obudzić? Szarpnięcie klamką albo puknięcie w drzwi, albo nawet rzucenie w nie figurą byłoby w tym wypadku bardziej celowe... Nie, Markham, cel tej wizyty był daleko bardziej złowieszczy. Jednakże zamknięte na klucz drzwi i krzyk pani Drukker przeszkodziły nocnemu gościowi w jego zamiarze. Położył więc figurkę na klamce, żeby ją mogła znaleźć, i uciekł.

— Ale przecież, proszę pana — argumentował Heath — każdy mógł wiedzieć, że ona nie zamykała się w nocy na klucz, i każdy mógł się postarać spenetrować dom, żeby potem móc trafić po ciemku.

— Tak, ale kto mógł mieć klucz od tylnych drzwi i kto mógł go używać o północy?

— Drzwi mogli zostawić otwarte przez zapomnienie — zaoponował Heath zresztą, sprawdziwszy alibi wszystkich mieszkańców, trafimy na trop.

Vance westchnął.

— Prawdopodobnie znajdzie pan parę osób bez żadnego alibi. I jeżeli nocna wizyta była uplanowana, na pewno pomyślano o zabezpieczeniu sobie alibi. Nie mamy do czynienia z głuptasem, sierżancie. Gramy o śmierć i życie z przebiegłym i pomysłowym mordercą, który potrafi myśleć tak samo prędko, jak my, i który ma wieloletnie logistyczne doświadczenie...

Nagle, jakby pod wpływem impulsu, odwrócił się i wszedł do domu, dając znak, abyśmy szli za nim. Wkroczył do kuchni, gdzie przy stole siedziała głupia Niemka, która nam otworzyła, zajęta przygotowaniem obiadu. Na nasz widok wstała i cofnęła się parę kroków. Vance, zdumiony jej zachowaniem, przyglądał się jej kilka chwil bez słowa. Następnie oczy jego przeniosły się na stół.

— A! wykrzyknął, lustrując wzrokiem zawartość półmisek na stole. Aubergines à la Turque, co? Wspaniała potrawa! Chociaż na waszym miejscu posiekałbym baraninę trochę drobniej. I nie za dużo sera. Psuje smak sosu espagnole, który, jak widzę, gospościa przygotowuje. Spojrzał z życzliwym uśmiechem na milczącą kucharkę. A może mi powiecie, jak się

nazywacie?

Zachowanie Vance'a ogromnie zdziwiło kucharkę, ale zarazem uspokoiło.

— Menzel odpowiedziała leniwie. Greta Menzel.

— Jak dawno służycie u państwa Drukkerów?

— Blisko dwadzieścia pięć lat.

— O, kawał czasu zauważył Vance. Proszę mi powiedzieć, dlaczegoście się tak złąkli na nasz widok?

Zasępiła się; wielkie jej ręce zacisnęły się kurczowo.

— Nie przestraszyłam się, ale pan był zajęty...

— Może wam się zdawało, żeśmy przyszli go aresztować? przerwał Vance.

Wytrzeszczyła szeroko oczy, ale nie odpowiedziała.

— O której godzinie pan wstał wczoraj? ciągnął dalej detektyw.

— Powiedziałam panu... o dziewiątej jak zwykle.

— O której godzinie pan wstał?

Naleganie w jego głosie było daleko bardziej złowrogie niż jakakolwiek najbardziej dramatyczna intonacja.

— Powiedziałam panu...

— Die Wahrheit, Frau Menzel! Um wieviel Uhr war er aufgestanden?

Psychologiczny efekt powtórzenia pytania po niemiecku był natychmiastowy. Kucharka podniosła ręce do twarzy i z piersi jej wydobył się stłumiony skowyt, podobny do głosu schwytanego w sidła zwierzęcia.

— Nie wwiem wyjęczała. Poszłam obudzić pana o wpół do dziewiątej, ale nie odpowiedział, więc nacisnęłam klamkę... było otwarte i — Du lieber Gott! — pana nie było.

— A o której zobaczyliście go potem? — zapytał spokojnie Vance.

— O dziewiątej. Poszłam drugi raz na górę powiedzieć panu, że śniadanie gotowe. Siedział w gabinecie przy biurku i pracował jak szalony. Był okropnie rozdrażniony. Kazał mi się wynosić.

— Czy zeszedł na śniadanie?

— Ja—ja. Zeszedł w pół godziny później.

Oparła się ciężko o zlew. Vance podsunął jej krzesło.

— Siadajcie, Frau Menzel rzekł uprzejmie. Kiedy usłuchała, zapytał: A dlaczego powiedzieliście mi początkowo, że pan wstał o dziewiątej?

— Musiałam, pani kazała. — Opór jej stopniał. Dyszała ciężko jak osoba wyczerpana. — Pani była wczoraj po południu u panny Belli i po powrocie nakazała mi, że jakby się kto pytał, o której godzinie pan wstał, mam powiedzieć, że o dziewiątej. Kazała mi przysiąc, że tak powiem... Urwała i oczy jej stały się szkliste. — Bałam się powiedzieć prawdę.

Vance wydawał się w dalszym ciągu zbity z tropu. Zaciągnąwszy się parę razy powiedział:

— Nie macie się czego bać. W tym, co powiedzieliście, nie ma nic strasznego. To przecież naturalne, że taka nerwowa kobieta, jak wasza pani, wpadła na tak fantastyczną myśl chronienia swego syna przed ewentualnym podejrzeniem, kiedy się dowiedziała, że w sąsiedztwie popełniono morderstwo. Tak długo u niej służycie, że się orientujecie, jak przesadza, ilekroć chodzi o syna. Doprawdy, dziwię się, że bierzecie to tak poważnie... Czy wiecie coś więcej o waszym panu w związku z tym morderstwem?

— Nie, nie! — potrząsnęła głową.

Vance podszedł do okna, marszcząc brwi. Nagle odwrócił się i zapytał surowo:

— Pani Menzel, gdzieście byli tego dnia rano, kiedy zabito pana Robina?

Z kobietą stało się coś zdumiewającego. Zbladła jak trup, wargi jej drżały, ręce zacisnęły się kurczowo. Chciała odwrócić oczy od Vance'a i nie mogła, jakby ją zahipnotyzował.

— Gdzieście byli, Frau Menzel? powtórzył.

— Byłam... tutaj... zaczęła i urwała, przy czym jej niespokojne spojrzenie przeniosło się na Heatha, który nie spuszczał jej z oka.

— W kuchni?

Niezdolna przemówić słowa, skinęła głową.

— I widzieliście, jak wasz pan wracał od Dillardów?

Znów skinęła głową.



— Aha rzekł Vance. Wszedł od tyłu przez ganek i na górę po schodach... nie wiedząc, że go obserwujecie przez uchylone drzwi kuchni... I później spytał, gdzieście byli o tej godzinie... I kiedy usłyszał, że w kuchni, kazał milczeć... A potem dowiedzieliście się o śmierci Gila na kilka minut przed powrotem pana... Wczoraj znów starsza pani kazała gosposi powiedzieć, jeżeliby się kto pytał, że pan wstał o dziewiątej. I ma się rozumieć, ta instrukcja w połączeniu z wiadomością o nowym zabójstwie w sąsiedztwie wzbudziła w was podejrzenie i strach... Czy mam słuszość, Frau Menzel?

Szlochała głośno, zakrywając twarz fartuchem. Nie potrzebowała nawet odpowiadać. I tak widzieliśmy, że Vance odgadł prawdę.

Heath, wyjąwszy cygaro z ust, utkwił w kobiecie srogie spojrzenie.

— Więc to tak! - ryknął. Nie mówiliście prawdy, kiedy was przesłuchiwałem! Okłamaliście policję! Ochranialiście winnych? To tak?

Spojrzała na Vance'a błagalnie, z przestraczeniem.

— Nie, sierżancie — rzekł detektyw — gosposia nikogo nie ochraniała. Teraz, kiedy nam powiedziała prawdę, uważam, że możemy jej darować to całkiem naturalne oszustwo. I nim Heath zdążył odpowiedzieć, zwrócił się do Niemki i zapytał: Czy zawsze wieczorem zamykacie na klucz drzwi od ganku?

— Ja... co wieczór.

Mówiła słabym, obojętnym głosem. Po strachu nastąpiła apatia.

— A wczoraj? Czy jesteście pewni, żeście zamknęli?

— Tak, o wpół do dziesiątej. Zamknęłam i poszłam się położyć.

Vance wyszedł na korytarz i obejrzał zamek. Po chwili powrócił.

— To jest zatrask oznajmił powróciwszy. Kto ma klucz od tych drzwi? — zapytał.

— Ja mam jeden, a pani drugi.

— Czy jesteście pewni, że oprócz was i pani nikt inny nie ma klucza?

— Nikt, oprócz panienki z przeciwka...

— Panny Dillard? zawołał z żywym zaciekawieniem Vance. — A jej na co ten klucz?

— Ma go od dawna. Panienka należy prawie do rodziny wpada tu do nas dwa, trzy razy dziennie. Ja, wychodząc, zamykam tylne drzwi. Gdyby panienka nie miała klucza, starsza pani musiałaby ciągle schodzić i otwierać.

— Rozumiem mruknął Vance i dodał: No, nie będziemy wam przeszkadzać, Frau Menzel! Wyszedł na korytarzyk, a stamtąd na ganek.

Kiedy drzwi od korytarza zamknęły się za nami, Vance wskazał na zewnętrzne drzwi ganku z siatki drucianej, wychodzące na podwórze.

— Widzicie, siatka oderwana od ramy. Nocny intruz wsadził rękę i nacisnął klamkę. Drzwi do korytarza otworzył sobie albo kluczem pani Drukker, albo panny Dillard; raczej tym ostatnim.

Heath skinął głową. Do niego przemawiały konkretne argumenty. Markham nie słuchał. Stał z dala od nas, puszczając kłęby dymu z gniewnym roztargnieniem. Nagle odwrócił się, jakby chciał wejść znów do domu, gdy Vance chwycił go za ramię.

— Nie, nie, Markham, tak się nie robi! Opanuj się! Doprawdy, jesteś niemożliwie porywczy!

— Do diabła! Markham strząsnął rękę przyjaciela.

— Drukker okłamał nas, że wtedy z rana, przed zabójstwem Robina, wyszedł przez bramkę w murze Dillardów...

— Naturalnie. Podejrzewałem od samego początku, że jego pierwsze zeznanie było niezgodne z prawdą. Ale iść teraz na górę i robić mu o to scenę, byłoby bezcelowe. Powiedziałby po prostu, że kucharka musiała się omylić.

Markham nie dał się przekonać.

— Ale mnie idzie o to, co było wczoraj! Chcę wiedzieć, gdzie on był, kiedy kucharka przysłała go obudzić o wpół do dziewiątej. Dlaczego matka chciała w nas wmówić, że spał?

— Prawdopodobnie i ona zajrzała do jego pokoju i zobaczyła, że go nie ma. Kiedy usłyszała o zabójstwie Sprigga, w jej

gorączkowej wyobraźni powstał momentalnie plan zapewnienia synowi alibi. Ale zapewniam cię, zaczepiać go o nieścisłości w jego zeznaniach nie warto. Tylko byśmy sobie narobili nowej biedy.

— Nie jestem taki pewny odparł znacząco prokurator. A może właśnie przyspieszyłbym rozwiązanie tej okropnej zagadki.

Vance nie odpowiedział. Stał nieruchomo, patrząc na trawnik, po którym migotały drżące cienie wierzb. W końcu rzekł cichym głosem:

— Nie możemy sobie pozwolić na ryzyko. Jeżeli twoje przypuszczenie okazałoby się prawdą i jeżelibyś się zdradził z otrzymaną informacją, mały człowieczek, który tu był dziś w nocy, mógłby się znów zjawić. I tym razem może by się nie zadowolił pozostawieniem figury szachowej na drzwiach w hallu!

W oczach Markhama błysnęła trwoga.

— Więc sądzisz, że wyjawiając zeznania kucharki, naraziłbym ją na niebezpieczeństwo?

— Okropną stroną tej sprawy jest to, że dopóki nie poznamy prawdy, jesteśmy narażeni na niebezpieczeństwo na każdym kroku. W głosie Vance'a brzmiał ton całkowitego zniechęcenia. — Nie wolno nam narażać nikogo...

Drzwi wychodzące na ganek otworzyły się i w progu stanął Drukker. Oślepiiony silnym blaskiem słońca zamrugał małymi oczkami. Spojrzenie jego zatrzymało się na Markhamie, podczas gdy wstrętnie przebiegły uśmiech wykrzywił usta.

— Sądzę, że panom nie przeszkadzam — przeprosił nas i łypnął groźnie oczami — ale kucharka poinformowała mnie właśnie, że powiedziała panom, jakoby widziała mnie wchodzącego do domu tymi drzwiami z rana w fatalny dzień śmierci Robina.

— O, wielkie nieba! — mruknął Vance, odwracając się i wydobywając papierośnicę. Przepadło!

Drukker rzucił mu badawcze spojrzenie i wyprostował się. Na twarzy jego malował się wyraz, który nazwałbym cynicznym męstwem.

— Więc o cóż panu chodzi, panie Drukker? — zapytał prokurator.

— Chciałbym tylko powiedzieć panom odrzekł kaleka że kucharka jest w błędzie. Najwidoczniej pomieszala daty — tak często wchodzę tędy i wychodzę. Rano, w dzień śmierci Robina, jak już panom mówiłem, wyszedłem od Dillardów przez furtkę w murze na 75 Street i po krótkiej przechadzce w parku powróciłem do domu wejściem od frontu. Przekonałem Gretę, że się omyliła.

Vance przysłuchiwał się uważnie. Nagle odwrócił się i spojrzał Drukkerowi w oczy z bezpośrednią szczerością.

— Jak ją pan przekonał? Czy za pomocą figurki szachowej?

Garbus pochylił się w przód, złapał oddech, sprężył się cały. Mięśnie koło ust zaczęły mu drgać nerwowo, żyły szyi napięły się jak postronki. Przez chwilę myślałem, że straci panowanie nad sobą, ale zdołał się powściągnąć.

— Nie rozumiem pana. — W głosie jego wibrowała wściekłość. — Co ma z tym wszystkim wspólnego figura szachowa?

— Figury szachowe mają różne nazwy — podsunął ostrożnie Vance.

— Mnie pan opowiada o szachach? odparł z jadowitą wzgardą Drukker, usiłując się jednocześnie uśmiechnąć.

Różne nazwy, naturalnie. Jest król, królowa, wieża, koń... — urwał. Biskup! — oparł głowę o odrzwia i wybuchnął gwałtownym, bynajmniej nie wesołym śmiechem. Więc to tak? Biskup!... Ach! wy głuptasy! Bawicie się jak dzieci! Cóż za głupia zabawa!

— Mamy bardzo poważne podstawy do przypuszczenia — rzekł z imponującym spokojem Vance — że to ktoś inny zabawia się tak głupio, ktoś, kto wziął sobie za symbol biskupa szachowego.

Garbus otrzeźwiał.

— Nie bierzcie, panowie, poważnie niedorzecznych przywidzeń mojej matki... rzekł ostrzegawczo. Matkę ponosi często chora wyobraźnia.

— A! Ale co ma właściwie pańska matka do tej sprawy?

— Byliście u niej, prawda? Pańskie uwagi są powtórzeniem niektórych jej nieszkodliwych halucynacji.

— Z drugiej strony — odparł łagodnie Vance — pańska matka mogła dobrze wiedzieć, co mówi.

Oczy Drukera zwały się w szparki. Spojrzał szybko na Markhama.

— Brednie!

— Dobrze — westchnął Vance — nie będziemy więc roztrząsać tej kwestii. — I zmienionym tonem dodał:

— Chociaż może by to było z korzyścią dla śledztwa, gdyby nam pan powiedział, co pan robił wczoraj rano między ósmą i dziewiątą.

Kaleka otworzył lekko usta, jakby chcąc coś powiedzieć, ale zamknął je szybko i wpatrzył się z namysłem w Vance'a.

— Pracowałem w swoim gabinecie od szóstej do wpół do dziesiątej. — Urwał, lecz widocznie pomyślał, że to nie wystarczy, bo ciągnął dalej: Od kilku miesięcy pracuję nad modyfikacją teorii sprężystości eteru dla wyjaśnienia interferencji światła, co jest brakiem teorii kwantów. Dillard powiedział mi, że tego nie dokonam w oczach zaświecił mu fanatyczny błysk — ale wczoraj z rana obudziłem się bardzo wcześniej z zagadnieniem częściowo rozwiązany. Wstałem więc i przeszedłem do gabinetu...

— Ach! więc to tak! — rzekł niedbale Vance. Tonie ma znaczenia. Przykro mi, żeśmy panu zakłócili spokój.

— Dał znak Markhamowi i ruszył ku wyjściu. Gdyśmy się znaleźli na torze łuczniczym, odwrócił się i rzekł ze słodkim prawie uśmiechem: Menzłowa jest pod naszą opieką. Bardzo bym się zmartwił, gdyby jej się co stało.

Drukker patrzył za nami jak zahipnotyzowany.

Gdyśmy odeszli tak daleko od domu, iż nie było obawy, że nas usłyszy, Vance przysunął się do Heatha.

— Sierzancie — rzekł z niepokojem — należy się obawiać, że ta prostoduszna niemiecka Hausfrau wsadziła bezwiednie głowę w stryczek. Słowo daję, jestem w strachu. Postaw pan dziś w nocy kogoś na straży koło domu Drukkerów — od tyłu, pod wierzbami. I żeby na krzyk lub wołanie biegł

natychmiast. Będę spał spokojniej, jeżeli będę wiedział, że nad Frau Menzel czuwa anioł stróż w cywilnym ubraniu.

— Dobrze, proszę pana. Rozumiem — odparł pośpiesznie Heath. — Żaden szachista nie zakłóci jej dziś snu.

## ROZDZIAŁ XIV PARTIA SZACHÓW

(Wtorek, 12 kwietnia, godz. 11.30 przed południem)

W drodze do Dillardów postanowiliśmy, że przepytamy wszystkie osoby mogące mieć coś wspólnego z tą straszną sprawą, co robiły i gdzie były ubiegłej nocy.

— Ale musimy bardzo uważać, aby nie zdradzić się z tym, co wiemy od pani Drukker ostrzegł Vance.

— Nocny szachista nie pragnął bynajmniej, abyśmy się dowiedzieli o jego wizycie. Sądził, że biedna kobieta nic nam nie powie ze strachu.

— Mam wrażenie, że przywiązujesz zbyt wielką wagę do tego wydarzenia — zaoponował Markham.

— Och, mój drogi — Vance przystanął i położył ręce na ramionach przyjaciela. — Masz za mało energii i to jest twoja wielka wada. Nie czujesz, nie jesteś dzieckiem natury. Poezja twojej duszy przerodziła się w prozę. Ja natomiast puszczam wodze wyobraźni i powiadam ci, że pozostawienie figury szachowej za drzwiami pani Drukker nie było głupim figlem, lecz desperackim czynem zrozpaczonego człowieka. To było ostrzeżenie.

— Czy sądzisz, że ona coś wie?

— Sądzę, że widziała, jak ciało Robina wynoszono na tor. I sądzę, że widziała jeszcze coś innego. Coś takiego, że wolałaby umrzeć, niż to zobaczyć.

Szliśmy dalej w milczeniu z zamiarem przejścia przez furtkę w murze na 75 Street i wejścia od frontu do domu Dillardów. Ale w chwili gdyśmy mijali suterene klubową, drzwi się otworzyły i w progu stanęła Bella Dillard.

— Zobaczyłam pana przez okno — rzekła niespokojnie, zwracając się do Markhama. — Od przeszło godziny chciałam się z panem porozumieć — telefonowałam do biura... — Mówiła z coraz większym zdenerwowaniem.

— Stało się coś dziwnego... Może to zresztą bez znaczenia...

ale kiedy przechodziłam tędy dziś rano idąc do lady Mae, jakiś impuls kazał mi zajrzeć ponownie do komody z narzędziami do tej szuflady — takie to było dziwne — że ten mały rewolwer — został skradziony... I... znalazłam go! Leżał na wierzchu, obok tamtego większego! — Złapała z trudem oddech. Panie prokuratorze, ktoś włożył go z powrotem do szuflady w nocy.

Wiadomość ta podziałała na Heatha jak wstrząs elektryczny.

— Czy pani go dotykała? zapytał podniecony.

— Ależ nie...

Przepchnął się bezceremonialnie koło niej, podbiegł do komody i wyszarpnął szufladę. Obok dużego rewolweru, który już widzieliśmy, leżał drugi, mniejszy, kaliber 32, z rękojeścią z masy perłowej. Sierżant wsunął ołówek w cyngiel i podniósł ostrożnie rewolwer ku oknu, żeby lepiej widzieć. Pociągnął nosem u wylotu lufy.

— Jedna komora pusta oznajmił z zadowoleniem, —świeżo wystrzelona... To nas powinno naprowadzić na trop. — Zawinął pieczołowicie rewolwer w chustkę do nosa i wsunął do kieszeni. — Dubois będzie mi musiał zaraz zdjąć odciski, a kapitan Hagedorn obejrzy broń i kulkę.

— Doprawdy, sierżancie — rzekł żartobliwie Vance — czy pan sobie wyobraża, że dżentelmen, którego poszukujemy, wytarł luk i strzałę, a swój monogram zostawił na rewolwerze?

— Nie mam pańskiej wyobraźni, panie Vance odparł cierpko sierżant. Więc, chcąc nie chcąc, muszę robić to, co mi nakazują przepisy policyjne.

— Ma pan słuszość uśmiechnął się dobrodusznie Vance, zachwycony uporczywą sumiennością policjanta.

— Przepraszam, że pana oblałem zimną wodą.

Zwrócił się do Belli Dillard:

— Przyszliśmy głównie po to, żeby pomówić z panem profesorem i panem Arnessonem, ale mamy również do pomówienia z panią. O ile nam wiadomo, jest pani w posiadaniu klucza do tylnych drzwi domu Drukkerów.

Skinęła głową, oszołomiona.

—Tak. Od wielu lat. Tak często tam zaglądam, że lady Mae



miałyby niepotrzebny kłopot...

— Idzie nam o to, że klucz ten mógł być użyty przez kogoś, kto nie miał do niego prawa.

— Ależ to niemożliwe! Nigdy go nikomu nie pożyczam. Zawsze trzymam w torebce.

— Czy wszyscy wiedzą, że pani ma klucz do domu Drukkerów?

— Chyba wszyscy — odpowiedziała z widocznym zakłopotaniem. Nigdy nie robiłam z tego tajemnicy. Domownicy wiedzą o tym z pewnością.

— Ale może pani wspomniała o tym swoim przywileju w obecności osób postronnych?

— Naturalnie, ale nie przypominam sobie, kiedy i w jakich okolicznościach.

— Czy pani jest pewna, że ten klucz jest teraz u pani w torebce?

Rzuciła Vance'owi niespokojne spojrzenie i nie odpowiadając wzięła z wyplatanej stolika małą torebkę z krokodyljej skóry. Palce jej sięgnęły szybko do jednej z wewnętrznych przegródek.

— Jest! — oznajmiła z ulgą. — Zawsze go tu trzymam... Dłaczego pan o to pytał?

— Musimy wiedzieć, kto ma możliwość wstępu do domu państwa — objaśnił Vance i nim zdążyła się odezwać, pytał dalej: — Czy możliwe, że ktoś posłużył się w nocy pani kluczem? To znaczy, czy ktoś mógł wyjąć klucz z torebki bez pani wiedzy?

Na twarzy Belli odmalowało się przerażenie.

— Och, co się znów stało? — zaczęła. Vance nie pozwolił jej dokończyć.

— Zapewniam panią, że nie ma powodu do niepokoju.

Staramy się po prostu wyeliminować pewne poszlaki. Niech mi pani powie, czy mógł ktoś zabrać pani ten klucz wczoraj wieczorem?

— Nikt — odpowiedziała z wysiłkiem. — O ósmej poszłam do teatru i przez cały czas miałam torebkę przy sobie.

— Kiedy się pani posłużyła tym kluczem ostatni raz?

— Wczoraj po obiedzie. Poszłam zobaczyć, jak się czuje lady

Mae, i powiedzieć jej dobranoc.

Vance ściągnął brwi. Zrozumiałem, że odpowiedź dziewczyny nie pasowała do jego teoretycznych domysłów.

— A więc posłużyła się pani kluczem po obiedzie — rekapitulował. — I trzymała go pani przy sobie w torebce przez resztę wieczoru, mając ją cały czas na oku. Czy tak, proszę pani?

Skinęła głową.

— Przez cały czas przedstawienia trzymałam torebkę na kolanach — uzupełniła.

Vance przyjrzał się torebce.

— Tak — rzekł od niechcienia. — Otóż i cała romantyczna historia klucza. Teraz pójdziemy dręczyć stryja. Czy pani zechce podjąć się roli naszego avant-courrier, czy mamy przpuścić szturm bez zapowiedzi?

— Stryja nie ma — oznajmiła. — Poszedł na spacer na Riverside Drive.

— A pan Arnesson? Pewnie jeszcze nie wrócił z uniwersytetu?

— Nie, ale wróci na lunch. We wtorki nie ma popołudniowych wykładów.

— To tymczasem pokonferujemy z Beedle'ową i z niezrównanym Pynnem. A pani radziłbym odwiedzić panią Drukker. Biedaczka będzie pani bardzo wdzięczna.

Bella skinęła głową z wymuszonym uśmiechem i wyszła na tor.

Heath poszedł zaraz szukać lokaja i kucharki. Sprowadził ich do salonu, gdzie zostali przesłuchani w sprawie ubiegłej nocy, ale nie udało się wydusić z nich nic istotnego. Oboje poszli spać o dziesiątej. Pokoje ich mieściły się na czwartym piętrze, z boku. Nie słyszeli nawet, jak panienka wróciła z teatru. Vance pytał, czy nie słyszeli jakichś hałasów na torze łączniczym, dając do zrozumienia, że około północy mógł ktoś trzasnąć siatkowymi drzwiami ganku u Drukkerów. Ale najwidoczniej oboje wtedy spali. Zostali odprawieni z nakazem, żeby nie mówili nikomu, o co ich pytano.

W pięć minut później zjawił się profesor Dillard. Choć

zdziwił się, gdy nas zobaczył, przywitał się nader uprzejmie.

— Raz się panu prokuratorowi udało wybrać taką godzinę, kiedy nie jestem zajęty. Pewnie przychodzicie z nową serią pytań? Proszę do biblioteki, panowie inkwizytorzy. Tam nam będzie wygodniej.

Zaprowadził nas na górę i kiedy zajęliśmy miejsca, poczęstował portwajnem, po który sam poszedł do kredensu.

— Brakuje tylko Drukera — zauważył. — Przepada za moim rocznik „1896”, chociaż rzadko pija. Radzę mu, żeby pijał więcej portwajnu, ale jemu się zdaje, że to dla niego szkodliwe, i wypomina mi moją podagrę. Ale między portwajnem i podagrą nie zachodzi związek przyczynowy. Takie uprzedzenie to czysty przesąd. Najlepsze wino, najzdrowsze wino portwajn! W Oporto nie znają podagry. Trochę umiarkowanej podniety fizycznej przydałoby się Drukkerowi... Biedny chłop! Potężny, gorejący intelekt, od którego spala się ciało! Wybitny człowiek, prokuratorze! Gdyby jego możliwości fizyczne były takie same, jak umysłowe, byłby jednym z największych fizyków świata.

— Mówił mi — zauważył Vance — że pan profesor nie wierzy, żeby mu się udało zmodyfikować teorię kwantów w związku z interferencją światła.

Stary uczoney uśmiechnął się żałośnie.

— Właśnie. Moje niedowierzanie działa na niego pobudzająco, zmusza do maksymalnego wysiłku. On faktycznie jest na drodze do jakiegoś rewolucyjnego odkrycia. Pracuje nad twierdzeniami. Wypracował już kilka interesujących... Ale panów to nie obchodzi i nie po toście tu przyszli. Czym mogę służyć, prokuratorze? A może przyszedł pan z jakąś nowiną?

— Na nieszczęście nie ma nic nowego. Przyszliśmy znów prosić o pomoc... Markham zawahał się, jakby nie był pewny, co powiedzieć. Wyręczył go Vance.

— Od wczorajszej naszej wizyty sytuacja uległa pewnej zmianie. Wyszło na jaw parę nowych faktów i gdybyśmy wiedzieli dokładnie, co robili dzisiejszej nocy wszyscy pańscy domownicy, może by się dało coś wyświecić. Faktycznie, ich

zachowanie mogło wpłynąć na bieg rzeczy.

Profesor spojrział z pewnym zdziwieniem, ale nie zrobił żadnej uwagi, tylko rzekł:

— Nic łatwiejszego, jak odpowiedzieć na to pytanie.

O których domowników w szczególności chodzi panom?

— O żadnego w szczególności zapewnił go pośpiesznie Vance.

— Zaraz. Zastanówmy się. Wyjął starą fajkę z pianki morskiej i zaczął ją nabijać. Ja, Bella i Sigurd zjedliśmy obiad o szóstej. O wpół do ósmej przyszedł Drukker, a w kilka minut później Pardee. O ósmej Bella i Sigurd pojechali do teatru, a o wpół do jedenastej Drukker i Pardee odeszli. Ja sam zamknąłem dom i wkrótce po jedenastej położyłem się spać. Służbie pozwoliłem położyć się wcześniej. I oto wszystko, co mogę powiedzieć.

— A więc panna Bella była w teatrze z panem Arnesonem.

— Tak. Sigurd rzadko bywa w teatrze, ale ilekroć mu przyjdzie fantazja, zabiera z sobą Bellę. Bywa przeważnie na sztukach Ibsena, którego nawiasem mówiąc uwielbia.

Amerykańskie wychowanie nie zmniejszyło w nim entuzjazmu dla norweszczyzny. Sercem pozostał wierny swojej ojczyźnie i literaturę norweską zna tak dobrze, jakby był profesorem uniwersytetu w Oslo. Jedyna muzyka, jaką uznaje, to Grieg. Jeżeli się wybierze do teatru albo na koncert, to można być pewnym, że program będzie norweski.

— I wczoraj wieczorem też był na Ibsenie?

— Zdaje się, że na „Rosmersholmie”. Nowy Jork przeżywa obecnie renesans Ibsena.

Vance skinął głową.

— Walter Hampden wystawia jego dramaty. A czy po powrocie z teatru widział się pan z nimi, z panną Bellą albo z panem Arnesonem?

— Nie. Zdaje mi się, że wrócili dosyć późno. Bella mówiła mi dziś rano, że po teatrze byli na kolacji w Plaża. Ale Sigurd zaraz tu będzie, to od niego dowiedzie się, panowie, szczegółów.

Chociaż profesor odpowiadał uprzejmie, widać było, że ta pozornie bezcelowa interogacja zaczyna go irytować.

— Czy nie byłby pan profesor łaskaw — ciągnął dalej Vance — opowiedzieć nam szczegółowo o poobiedniej wizycie panów Drukкера i Pardee’ego?

— To nie było nic nadzwyczajnego, często wpadają do nas wieczorem. Drukker chciał przedyskutować ze mną pewne punkty, dotyczące się jego modyfikacji teorii kwantów, ale przyszedł Pardee i musieliśmy przerwać. Pardee jest dobrym matematykiem, ale te rzeczy są poza zasięgiem jego zainteresowań.

— Czy który z tych panów widział się z panną Bellą przed teatrem? Profesor Dillard wyjął powolnym ruchem fajkę z ust i w jego oczach błysnął gniew.

— Powiem otwarcie — rzekł cierpko — że te indagacje wydają mi się bezcelowe. Jednakże — dodał uprzejmie — jeżeli domowe błahostki, dotyczące moich domowników, mogą się panom na coś przydać, chętnie udzielę szczegółowych informacji. — Popatrzył na Vance’a.

— Owszem, Pardee i Drukker widzieli się z Bellą przed teatrem. Siedzieliśmy wszyscy w tym pokoju — bo i Sigurd był z nami — może pół godziny, zanim Sigurd z Bellą wyszli. Wywiązała się nawet zdawkowa dyskusja na temat geniuszu Ibsena, przy czym Drukker zirytował Sigurda, bo dowodził, że Hauptman przewyższa Ibsena.

— A więc o ósmej panna Bella i pan Arnesson wyszli i pan profesor, Drukker i Pardee zostaliście sami?

— Tak jest.

— A o wpół do jedenastej, jak pan wspomniał, Pardee i Drukker odeszli. Czy razem?

— Zeszli na dół razem — odparł lekko zniecierpliwiony profesor. — Drukker, o ile wiem, wrócił zaraz do siebie, a Pardee wybrał się do Klubu Szachistów. Umówił się z kimś.

— Dziwna rzecz, że Drukker odszedł tak wcześnie

— zauważył Vance — zważywszy, że przyszedł przedyskutować z panem ważną sprawę i że mu w tym przeszkadzono.

— Drukker nie jest zdrowy — odpowiedział Dillard siłąc się na uprzejmość. — Jak już panom mówiłem, łatwo się męczy,

a wczoraj wieczorem czuł się wyjątkowo źle. Skarżył się nawet, że jest bardzo zmęczony, że pójdzie od razu do łóżka.

— Tak... w porządku — mruknął Vance. — A nam właśnie mówił, że wczoraj z rana był już o szóstej na nogach i pracował.

— Nie dziwię się. Niech go tylko zainteresuje jakieś zagadnienie, nie może się od niego oderwać. Na nieszczęście nie potrafi przezwyciężyć pochłaniającej go pasji do matematyki. Były takie chwile, że obawiałem się o jego równowagę umysłową.

Vance dla jakiegoś powodu zmienił temat.

— Więc pan Pardee udał się stąd do Klubu Szachistów? — rzekł, wpiersz zapaliwszy starannie nowego papierosa.

— Nie wspomniał panu, z kim się umówił?

Profesor Dillard uśmiechnął się wyrozumiale.

— Mówił o tym przeszło godzinę. Jakiś Rubinstein, jak się okazuje geniusz szachowy, bawiący przejazdem w naszym mieście, wyzwiał go na trzy popisowe partie. Ostatnia była wczoraj. Zaczęła się o drugiej po południu i została przerwana o szóstej. Mieli powrócić do niej o ósmej, ale Rubinstein był zaproszony na jakiś uroczysty obiad wydany na jego cześć i przesunięto dokończenie partii na jedenastą. Pardee był zdenerwowany, bo pierwszą partię przegrał, druga pozostała nie rozegrana, gdyby więc wygrał ostatnią, wyszedłby z Rubinsteinem na czysto. Sądząc ze stanu gry o szóstej uważał, że ma szansę, chociaż Drukker twierdził, że nie ma... Pardee musiał się udać do klubu prosto stąd, bo kiedy wychodził z Druk-kerem, było już wpół do jedenastej.

— Rubinstein to świetny szachista — zauważył z udaną obojętnością Vance. — Jeden z mistrzów świata. Pobił Capablancę w San Sebastian w roku 1911... W latach 1907 i 1912 uchodził za współzawodnika doktora Lasera, ówczesnego światowego mistrza szachowego, to jest za kandydata do tego tytułu. Tak, Pardee dokonałby czynu nie lada, gdyby go pobił. Faktycznie niemałe to dla niego wyróżnienie, że Rubinstein z nim zagrał. Pardee, pomimo że się wslawił swoim gambitem, nigdy nie uchodził za mistrza. Ä propos, czy pan słyszał, jaki

był wynik wczorajszej gry?

I znów na ustach profesora zaigrał słaby, pobłażliwy uśmiezek. Miał taki wyraz twarzy, jaki ma wybitny intelektualista przyglądający się dobrotliwie figlom dzieci.

— Nie — odparł. — Nie dowiadywałem się. Ale przypuszczam, że Pardee został pobity, bo kiedy Drukker wykazał mu, że pozycja jego jest słaba, zaprzeczył kategorycznie. Drukker jest z natury ostrożny i rzadko wypowiada się w kwestiach, których nie zna gruntownie.

Vance podniósł brwi z wyrazem lekkiego zdziwienia.

— A więc Pardee analizował swą nie skończoną partię z Drukkerem i dyskutował jej dalsze możliwości? Takie postępowanie jest nieetyczne i wystarcza, aby gracza zdyskwalifikować.

— Nie znam się na subtelnościach gry w szachy — odpowiedział kwaśno profesor. — Jestem jednakże przekonany, że Pardee nigdy by jako szachista nie postąpił nieetycznie. Przypominam sobie, że stał przy tamtym stoliku, pochylony nad szachownicą, i kiedy podszedł Drukker, poprosił, aby mu nie udzielał żadnych rad. Dyskusja na temat partii z Rubinsteinem odbyła się później i ograniczyła się do samych ogólników. Nie sądzę, żeby była mowa o jakiejś określonej taktyce.

Vance pochylił się wolno w przód i zgniótł z namysłem papierosa. Ten gest oznaczał u niego zawsze silnie hamowane podniecenie. Po chwili wstał z fotela i podszedł niedbale do stojącego w rogu stolika z szachownicą. Oparty jedną ręką o śliczną mozaikę dwubarwnych kwadratów, zapytał:

— Więc Pardee analizował swoją pozycję na tej szachownicy, kiedy Drukker do niego podszedł?

— Tak — odparł z wymuszoną grzecznością Dillard. — Drukker usiadł po drugiej stronie i, przyjrzawszy się rozstawionym figurom, chciał zrobić jakąś uwagę, ale Pardee poprosił go, żeby nic nie mówił. W kwadrans później Pardee sprzątnął figury i wtedy dopiero Drukker powiedział mu, że przegra, bo jego pozycja, pozornie korzystna, jest faktycznie słaba.

Vance suwał palcami po szachownicy. Potem wyjął z pudełka dwie czy trzy figury i wrzucił je z powrotem, jakby się bawił.

— Czy pan pamięta, co mówił Drukker? — zapytał nie podnosząc oczu.

— Nie bardzo uważałem, niewiele mnie te rzeczy interesują — odparł z wyraźną ironią profesor. — Ale o ile sobie przypominam, Drukker powiedział, że Pardee może by i wygrał, gdyby grał szybko, ale Rubinstein znany jest z tego, że gra wolno i długo się namyśla, wobec czego nie ulega wątpliwości, że wykryje słaby punkt w pozycji przeciwnika.

— Czy Pardee bardzo odczuł tę krytykę?

Vance powrócił do swego fotela i wyjął drugiego papierosa z papierošnicy, ale nie usiadł.

— Bardzo, Drukker ma niesympatyczny, zaczepny sposób bycia, a Pardee jest przewraźliwiony na punkcie szachów. Krytyczne uwagi Drukкера wprowiły go w pasję. Staralem się załagodzić sytuację i rozmowa zesła na inne tory. Odeszli w pozornej zgodzie.

Zabawilišmy jeszcze kilka minut. Markham przeproszał profesora dłuższą chwilę za nasze najście, wyrażając w uprzejmych słowach žal, żešmy mu się naprzykrzali. A gdyšmy zesli do salonu, zgromił Vance'a za jego natrętne gadulstwo na temat partii szachowej z Rubinsteinem.

— Rozumiem, że mogeš go indagować o to, co robili ubieglej nocy mieszkańcy tego domu, ale żeby się rozwodzić nad nieporozumieniem Drukкера i Pardee'ego w kwestii szachów, to juź nie do darowania. Nie przyszlišmy tu plotkować.

— I ja jestem tego zdania — odparł szorstko Vance. — Ale w moim plotkowaniu była metoda. Gawędząc, dochodziłem prawdy.

— Czegoś się dowiedział? — zapytał ostro Markham.

Detektyw rzucił ostrożne spojrzenie w głąb hallu i, pochyliwszy się ku nam, zniżył głos:

— Dowiedziałem się, mój drogi Lukullusie, że w bibliotecznym komplecie szachów brak czarnego gońca-bis- kupa i że bierka zostawiona za drzwiami u pani Drukker naleźy do tego kompletu.



## ROZDZIAŁ XV ROZMOWA Z SZACHISTĄ

(Wtorek, 12 kwietnia, godz. 12.30 w południe)

Nowina zrobiła na Markhamie głębokie wrażenie. Jak zwykle w chwilach podniecenia, wstał i zaczął się przechadzać po pokoju z rękami założonymi w tył i ze spuszczoną głową. Heath, jakkolwiek mniej bystry, zaczął się gwałtownie zaciągać dymem, co było znakiem, że usiłuje zgłębić sens tej rewelacji.

Zanim wszakże któryś z nich zdążył zrobić jakąś uwagę, tylne drzwi hallu otworzyły się, dały się słyszeć lekkie kroki, zmierzające w stronę salonu, i w progu ukazała się Bella Dillard, wracająca od pani Drukker. Twarz miała wzburzoną. Spojrzała na Markhama i zapytała:

— Co pan powiedział Adolfowi? Biedak w okropnym strachu. Ogląda drzwi i okna, czy się dobrze zamykają, jakby się obawiał włamywaczy. I nastraszył Gretę, bo ją ostrzegł, żeby nie zapomniała zaryglować się na noc.

— A! Więc ostrzegł Menzłową — zauważył Vance.

— Ciekawe!

Bella rzuciła mu szybkie spojrzenie.

— Tak, ale nie chce powiedzieć, po co te ostrożności. Podniecony i tajemniczy. A co najdziwniejsze, unika matki... Co to ma znaczyć, panie Vance? Mam przeczucie, że zanosí się na coś strasznego.

— Nie wiem, co to może znaczyć — odpowiedział cichym zgnębionym głosem Vance. — Boję się nawet próbować zgadywać. Gdybym się omylił... — Umilkł i po chwili mówił dalej: — Musimy czekać i obserwować. Może dowiemy się jeszcze dziś wieczorem... W każdym razie nie ma żadnego powodu, żeby się pani niepokoiła, panno Bello! — Uśmiechnął się, żeby jej dodać odwagi.

— A jak pani znalazła panią Drukker?...

— Mam wrażenie, że lepiej się czuje, ale coś ją dręczy. Pewnie niespokojna o syna, bo przez cały czas, kiedy tam

byłam, mówiła tylko o nim i pytała mnie bezustannie, czy nie zauważyłam ostatnio, że jest jakiś dziwny.

— W tych okolicznościach naturalne pytanie — odparł Vance. — Ale pani nie powinna się poddawać jej chorobliwym nastrojom. A teraz chciałbym pomówić z panią o czym innym. O ile mi wiadomo, wczoraj przed pójściem do teatru spędziła pani pół godziny w bibliotece. Proszę, niech mi pani powie, gdzie przez ten czas była pani torebka?

Pytanie zaskoczyło ją, ale po chwili wahania odpowiedziała:

— Wchodząc do biblioteki położyłam ją razem z okryciem na stoliczku koło drzwi.

— To była ta sama torebka z krokodyla, w której zazwyczaj nosi pani klucz?

— Tak. Sigurd nie cierpi toalet wieczorowych, toteż wychodząc z nim nie przebieram się.

— Więc przez te pół godziny torebka leżała na stoliku, a później w teatrze trzymała ją pani na kolanach? A dziś rano?

— Wysłałam na spacer przed śniadaniem i wzięłam ją z sobą. O dziewiątej powiesiłam ją w hallu na wieszaku. O dziesiątej, idąc do lady Mae, też ją zabrałam. Wtedy to właśnie zrobiłam odkrycie, że zaginiony rewolwer odnalazł się, i już do lady Mae nie poszłam. Do przyjścia panów torebka była na dole w suterenie klubowej. Później już się z nią nie rozstawałam.

Vance podziękował jej żartobliwie.

— A teraz, kiedy peregrynacje torebki zostały gruntownie wytropione, proszę, niech pani o tym zapomni. — Chciała o coś zapytać, ale uprzedzając jej ciekawość, rzekł prędko: — Stryj mówił, że byliście, państwo, po teatrze na kolacji w Plaża. Musieliście późno wrócić.

— Nigdy nie wracam późno w towarzystwie Sigurda — odpowiedziała tonem macierzyńskiej skargi. — On ma wrodzony wstręt do nocnego życia. Prosiłam, żebyśmy zostali dłużej, ale miał taką nieszczęśliwą minę, że nie miałam serca nalegać. Wróciliśmy do domu o wpół do pierwszej.

Vance wstał z szarmanckim uśmiechem.

— Pani jest doprawdy ogromnie dobra, że tak cierpliwie znosiła naszą nedorzeczną, natrętną ciekawość... Teraz

udamy się do pana Pardee'ego. Może on nam co wyjaśni. W tych godzinach można go zastać, prawda?

— Jestem pewna, że jest teraz u siebie. — Odprowadziła nas do hallu. — Był tu na chwilę przed przyjściem panów i mówił, że musi iść do domu, aby zająć się korespondencją.

Mieliśmy już wyjść, kiedy Vance'a uderzyła nowa myśl.

— Przepraszam. Zapomniałem zapytać panią jeszcze o jedno. Skąd pani wie, że wróciliście, państwo, do domu o wpół do pierwszej? Zauważyłem, że pani nie nosi zegarka.

— Sigurd mi powiedział. Byłam na niego trochę cięta za ten wczesny powrót i wchodząc do hallu zapytałam złośliwie, która też może być godzina. Spojrzał na swój zegarek i powiedział, że wpół do pierwszej...

W tej chwili drzwi frontowe otworzyły się i wszedł Arnesson. Wzrok jego zatrzymał się na nas z wyrazem drwiącego zdziwienia, gdy nagle spostrzegł Bellę Dillard.

— Halo, dziecinko! — powitał ją miło. — W rękach obrońców prawa, jak widzę! — Roześmiał się ubawiony.

— W jakim celu to konklawe? Ten dom stał się istnym posterunkiem policyjnym. Szukacie mordercy Sprigga? Ha! Genialny uczeń sprzątnięty przez zazdrosnego profesora, co?... Czy aby nie dokuczaliście zanadto Dianie Łowczyńni?

— Ależ nie — wtrąciła panna. Okazano mi wszelkie względy. Opowiadałam panom, jaki z ciebie stary maruda, żeby mnie przywozić do domu o wpół do pierwszej.

— Ja uważałem się za bardzo pobłażliwego — uśmiechnął się uczony. — I tak była już za późna godzina dla takiego dziecka jak ty.

— Okropna kombinacja, zgrzybiałość z matematyką — odcięła się podnosząc nieco głos i pobiegła na górę.

Arnesson wzruszył ramionami. Patrzył za nią, dopóki nie znikła, po czym zwrócił drwiące spojrzenie na Mark-hama.

— No więc, jakie radosne nowiny? Może dowiedzieliście się czegoś o ostatniej ofierze? — Poprowadził nas z powrotem do salonu. — Żal mi tego chłopca. Byłby zaszedł daleko. Doprawdy hańba, że go tak fatalnie ochrzcili... Janek Sprigg. Pietrek — byłoby bezpieczniej. Pietrkowi nic się nie stało z

wyjątkiem pieprzowej przygody, a z tego nie dałoby się wykombinować morderstwa.

— Nie mamy nic nowego — rzekł prokurator zirytowany paplaniną matematyka. — Sytuacja bez zmiany.

— A więc wpadliście, panowie, z wizytą. Zostaniecie na lunchu?

— Przysługuje nam prawo — odparł chłodno Markham — prowadzenia śledztwa w taki sposób, jak nam to odpowiada. I nie jesteśmy obowiązani składać panu raportów.

— A! więc stało się coś, coś, co pana wprowadziło w zły humor — przyciął sarkastycznie Arnesson. — Myślałem, że przyjęliście mnie na wspólnika, a tymczasem zostaję wyrzucony z powrotem poza nawias. — Westchnął teatralnie i wydobyl fajkę. — Pozbawiacie się pilota! Spotkał mnie, niestety, ten sam los, co Bismarcka!

Vance palił papierosa. Stał niedaleko drzwi, pogrążony w zadumie, niby to nie słuchając. Przy ostatnich słowach Arnessona wystąpił na środek pokoju.

— Słuchaj, Markham, pan Arnesson ma rację. Umówiliśmy się, że będziemy go informowali o wszystkim. Jasna rzecz, że musi znać wszystkie fakty, jeżeli ma się nam na coś przydać.

— Ty sam — zaproponował prokurator — zaznaczyłeś, że byłoby niebezpiecznie rozgłaszać o wydarzeniach ostatniej nocy...

— Tak, ale mówiąc to, nie pamiętałem o przyrzeczeniu danym panu Arnessonowi. A jego dyskrecji jestem zupełnie pewny.

I opowiedział szczegółowo, co spotkało w nocy panią Drukker.

Uczony przysłuchiwał się z natężoną uwagą. Zauważyłem, że sarkastyczny uśmiezek zniknął stopniowo z jego twarzy ustępując miejsca ponurej zadumie. Siedział kilka minut w głębokim milczeniu, z fajką w ręku.

— To jest na pewno ważny czynnik w tej sprawie

— rzekł w końcu. — Wobec tego nasza stała się zmienić się. Zagadnienie musi być obliczone z nowego punktu widzenia. Biskup, jak się okazuje, jest wśród nas. Ale po cóż on

przyszedł nastraszyć lady Mae?

— Ktoś zeznał, że krzyczała w chwili śmierci Robina. Prawie w tym samym momencie.

— A! — Arnesson usiadł prosto. — Rozumiem, co pan chce powiedzieć. Widziała z okna Biskupa w chwili śmierci Robina, a potem Biskup powrócił i przysiadł na jej kłance na znak ostrzeżenia, żeby milczała.

— Pewnie coś w tym rodzaju... Czy ma pan teraz dosyć danych do wypracowania formuły?

— Chciałbym rzucić okiem na tego czarnego gońca-biskupa. Gdzie on jest?

Vance sięgnął do kieszeni i wy dobył bierkę. Arnesson porwał ją skwapliwie. Oczy mu zabłysły. Przez chwilę obracał w rękę gońca, po czym oddał z powrotem.

— Poznaje pan tego gońca — rzekł słodko detektyw.

— I nie myli się pan. Pochodzi on z pańskiego kompletu w bibliotece.

Uczony skinął powoli głową.

— Mam wrażenie... — Nagle zwrócił się do Markhama i jego ostre rysy wykrzywił ironiczny grymas. — Czy dlatego nie chcieliście mi powiedzieć? Podejrzewacie mnie? Cieniu Pitagorasa! Jakaż kara należy się ohydnemu zbrodniarzowi, rozdającemu sąsiadom bierki szachowe?

Markham wstał i ruszył w stronę hallu.

— Nie podejrzewamy pana, panie Arnesson — odpowiedział nie starając się ukryć złego humoru. — Gońca zostawiono na kłance drzwi pani Drukker dokładnie o północy.

— Więc wróciłem do domu o pół godziny za późno, żebyście się mogli mnie czepiać. Przepraszam, że sprawiłem panu zawód.

— Niech pan da nam znać, jeśli pan wypracuje formułę — rzekł Vance, gdy wychodziliśmy frontowymi drzwiami. — Teraz idziemy z wizytą do szachisty.

— Do Pardee'ego? Oho! Jako do rzeczoznawcy w kwestii gońców. Pojmuję pańskie rozumowanie, ma ono przynajmniej tę zaletę, że jest proste i oczywiste...

Staął pod kolumnami i przeprowadził nas wzrokiem przez

ulicę. Wyglądał w tej chwili jak śmiejący się gargulec.

Pardee przyjął nas ze zwykłą sobie spokojną kurtuazją. Depresyjny smutek, jaki go nigdy nie opuszczał, był dziś jeszcze bardziej uderzający. Kiedy podawał nam krzesła w gabinecie, zrobił na mnie wrażenie człowieka, który stracił już wszelką ochotę do życia i żyje nadal siłą nawyku. To już był tylko manekin.

— Przyszliśmy do pana — zaczął Vance — w związku z morderstwem popełnionym wczoraj z rana w Riverside Park na osobie Jana Sprigga. Pytania, jakie panu zadamy, będą w pełni uzasadnione.

Szachista skinął z rezygnacją głową.

— Nie obrażę się, o cokolwiek zapytacie, panowie. Czytałem gazety i zdaję sobie sprawę z całej niezwykłości tej morderczej afery.

— A więc niech pan będzie łaskaw powiedzieć nam, gdzie pan był wczoraj z rana między siódmą i ósmą?

Twarz Pardee'ego oblała się słabym rumieńcem, ale odpowiedział cichym, równym głosem:

— W łóżku. Wstałem dopiero o dziewiątej.

— Czy nie ma pan zwyczaju chodzić przed śniadaniem do parku na spacer? (Był to ze strony Vance'a czysty domysł, gdyż dotąd w toku śledztwa kwestia przyzwyczajzeń Pardee'ego nie wyłoniła się i nie była omawiana.)

— Owszem — odpowiedział bez wahania. — Mam ten zwyczaj. Ale wczoraj wyjątkowo nie poszedłem. Poprzedniego dnia siedziałem długo w noc i byłem niewyspany.

— Kiedy się pan dowiedział o śmierci Sprigga?

— Przy śniadaniu. Kucharka usłyszała od sąsiadek. Oficjalne sprawozdanie z tragedii przeczytałem we wczesnym wydaniu wieczornego „Sun”.

— I naturalnie w dzisiejszym dzienniku porannym przeczytał pan list Biskupa. Co pan o tym sądzi, panie Pardee?

— Doprawdy, sam nie wiem. — W jego matowych oczach zaświeciła po raz pierwszy iskierka ożywienia. — To są niewiarygodne rzeczy! Na zasadzie rachunku prawdopodobieństwa nie można przyjąć serii aż tylu zbiegów

okoliczności, notabene powiązanych z sobą.

— Tak — potwierdził Vance. — Ale mówiąc o matematyce, czy zna pan tensor Riemanna-Christoffela?

— Wiem o tej formule — odparł szachista. — Drukker zastosował ją w swojej książce. Ale ja nie interesowałem się matematyką w związku z fizyką. Gdybym się nie zakochał w szachach — uśmiechnął się smutnie — byłbym został astronomem. Uważam, że największe zadowolenie umysłowe po skomplikowanych kombinacjach szachowych może dać obserwacja nieba i odkrywanie nowych planet. Mam nawet na dachu w nadbudówce pięciocalowy teleskop do amatorskich obserwacji.

Vance słuchał z natężoną uwagą. A potem przez kilka minut omawiał z szachistą niedawne odkrycie profesora Pickeringa, który oznaczył za pomocą rachunku położenie nowej transneptuńskiej planety O. Markham nie ukrywał zdumienia, a Heath irytacji. W końcu rozmowa powróciła do tensora.

— O ile mi wiadomo, był pan u Dillardów w ostatni czwartek, kiedy Arnesson, Drukker i Sprigg dyskutowali na temat tego tensora? zapytał Vance.

— Tak. Przypominam sobie, że była o tym mowa.

— Czy pan znał Sprigga bliżej?

— Nie. Przelotnie. Spotkałem go parę razy u Arnessona.

— Sprigg, jak mi mówiono, także miał zwyczaj chodzić przed śniadaniem na spacer do Riverside Park zauważył niedbale Vance. Czy go pan kiedy spotkał, panie Pardee?

Powieki szachisty zadrżały lekko. Zawahał się.

— Nigdy!

Vance przyjął zaprzeczenie obojętnie. Wstał i poszedł wyjrzeć frontowym oknem.

— Zdawało mi się, że stąd widać tor łuczniczy, ale nie. Węgiel zasłania.

— Tak. Kamienica przeszkadza. Tam jest pusty plac na wprost muru, co także uniemożliwia obserwację. O co panu chodzi? O ewentualnego świadka śmierci Robina?

— O to i o inne rzeczy. — Vance powrócił do swego krzesła.

— Pan nie interesuje się łucznictwem?

— To nad moje siły. Panna Dillard namawiała mnie kiedyś, ale okazało się, że jestem do niczego. Chociaż byłem z nią na kilku turniejach.

W głosie szachisty zabrzmiała niezwykle ciepła nutka. Wydało mi się, sam nie wiem dlaczego, że musiał się w niej podkochać. Vance również pomyślał to samo, bo po krótkiej pauzie rzekł:

— Pan chyba rozumie, mam nadzieję, że nie chcemy ingerować niepotrzebnie w niczyje prywatne sprawy, ale kwestia motywu dwóch morderstw, które staramy się wyświetlić, pozostaje dotąd nie rozstrzygnięta. Ponieważ zaś śmierć Robina przypisywano początkowo domniemanej rywalizacji o względy panny Dillard, chcielibyśmy się zorientować choćby z grubsza, bo może by to rzuciło jakie światło na sprawę, kogo ona wyróżniała... Jako przyjaciel rodziny musi pan coś wiedzieć. Pańskie zaufanie ocenilibyśmy w całej pełni.

Pardee popatrzył w okno. Z piersi jego wydarło się ciche westchnienie.

— Zawsze miałem wrażenie i mam, że w końcu wyjdzie za Arnessona. Ale to tylko przypuszczenie. Oświadczyła mi raz bardzo stanowczo, że ma czas myśleć o małżeństwie do ukończenia trzydziestu lat. (Łatwo było zgadnąć, w jakich okolicznościach Bella powiedziała to Pardee'emu. Przegrał więc życie nieborak i pod względem uczuciowym, i intelektualnym.)

— Więc pan nie wierzy — ciągnął Vance — żeby ona miała jakąś szczególną sympatię do Sperlinga?

Szachista zaprzeczył ruchem głowy.

— Chociaż — dodał — poświęcił się dla niej, a kobiety są wrażliwe na takie rzeczy. Szalenie wrażliwe.

— Mówiła mi, że pan był u niej dziś rano.

— Co dzień zaglądam do sąsiadów.

Było mu najwidoczniej nieswojo. Wydawał się zakłopotany.

— Czy pan dobrze zna panią Drukker?

Pardee rzucił Vance'owi szybkie, badawcze spojrzenie.

— Nie znam jej bliżej — odpowiedział. — Ma się rozumieć, widuję ją od czasu do czasu.



— Bywa pan u nich?

— Owszem, chodzę do Drukera. Interesuje mnie stosunek matematyki do szachów...

Vance skinął głową.

— Ä propos, jak się skończyła pańska gra z Rubinsteinem? Nie czytałem dzisiejszych gazet porannych.

— Zrezygnowałem przy czterdziestym czwartym posunięciu — wyjaśnił melancholijnym tonem. — Rubinstein odkrył słabą stronę mego ataku, którą ja, przerywając grę, przeoczyłem.

— Profesor Dillard mówił mi, że Drukker przewidział, jak się ta partia skończy. Słuchał waszej dyskusji.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Vance nawiązywał tak otwarcie do epizodu, który, jak musiał wiedzieć, był dla Pardee'ego niezmiernie przykry. Trudno było to nazwać inaczej, jak krańcowym nietaktem. Markham zmarszczył brwi.

Szachista zaczerwienił się i poruszył na krześle.

— Drukker w ogóle za dużo wczoraj gadał — rzekł kąśliwie. — I chociaż nie jest graczem turniejowym, powinien wiedzieć, że tego rodzaju dyskusje są w czasie nie dokończonych gry zakazane. Szczerze mówiąc, niewiele sobie robiłem z jego przepowiedni, myślałem, że moja pozycja jest doskonała, ale okazało się, że widział lepiej niż ja. Jego analiza sytuacji okazała się niezwykle przenikliwa.

W głosie jego brzmiała zazdrość. Wyczułem, że nienawidził Drukera tak głęboko, jak tylko było to możliwe przy jego pozornie łagodnym usposobieniu.

— Jak długo trwała ta partia? — zapytał od niechcienia detektyw.

— Skończyła się zaraz po pierwszej. W końcowej rozgrywce było tylko czternaście ruchów.

— Czy było dużo widzów?

— Jak na tak późną godzinę, niezwykle dużo.

Vance zgasił papierosa i wstał. Kiedy znaleźliśmy się na dole w hallu, przystanął nagle i, utkwivszy w gospodarzu żartobliwie sardoniczne spojrzenie, rzekł:

— Wie pan, wczoraj o północy czarny Biskup znów dokonał posunięcia...

Efekt tych słów był zdumiewający. Pardee wyprostował się takim ruchem, jakby dostał w twarz, i zbladł jak kreda. Przez pełne pół minuty wpatrywał się w Vance'a oczami gorejącymi jak węgle. Usta mu drżały, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. W końcu odwrócił się sztywno, jak się mogło zdawać, z nadludzkim wysiłkiem, i poszedł otworzyć drzwi. Przytrzymał je, póki nie wyszliśmy.

Gdyśmy szli Riverside Drive do samochodu prokuratora, czekającego przed domem Drukkerów na 76 Street, Markham zapytał ostro Vance'a, co miała znaczyć końcowa uwaga, jaką uraczył Pardee'ego.

— Miałem nadzieję — wyjaśnił detektyw - że pochwycę w jego oczach jakiś błysk zrozumienia. Ale słowo ci daję, Markham, takiego efektu się nie spodziewałem. Zdumiewające, jak on zareagował. Nie pojmuję, absolutnie nie pojmuję.

Pograżył się w myślach, ale gdy auto skręciło na Broadway przy 72 Street, ocknął się z zadumy i kazał szoferowi jechać do hotelu na Sherman Square.

— Mam ogromną chęć dowiedzieć się czegoś więcej o rozgrywce między Rubinsteinem i Pardee'em. Bez żadnego określonego powodu ot! fantazja. Jednak ten zamiar kielkował w moim umyśle od chwili rozmowy z profesorem... Od jedenastej do pierwszej - strasznie długo. Przecież skończyli partię i zrobili tylko czternaście ruchów.

Zatrzymaliśmy się koło chodnika na rogu Amsterdam Avenue i 71 Street i Vance zniknął w drzwiach Klubu Szachistów. Czekaliśmy na niego dobre pięć minut. W rękę trzymał diagram gry, ale wyraz jego twarzy nie wróżył triumfu.

— Moja śmiała, ale wspaniała teoria — rzekł z grymasem — rozbiła się na rafach prozaicznych faktów. Rozmawiałem właśnie z sekretarzem Klubu. Ostatnia nocna sesja trwała dwie godziny i dziewiętnaście minut. Była to podobno bardzo efektowna rozgrywka i bardzo skomplikowana. Około wpół do dwunastej szala zwycięstwa przechylała się już na stronę Pardee'ego, lecz Rubinstein przeprowadził wtedy mistrzowską analizę sytuacji i rozbił w puch taktykę przeciwnika tak, jak przepowiedział Drukker. Drukker ma rzeczywiście głowę nie od

parady...

Ale Vance nie był jeszcze zadowolony z tego, czego się dowiedział. Dał temu wyraz w następujących słowach:

— Zastosowałem metodę sierżanta, to jest trzymając się ściśle rutyny, pożyczyłem diagram tej gry i skopiowałem sobie ruchy. Przystudiuję, gdy będę miał czas.

Mówiąc to, złożył arkusz, jak mi się wydało niezwykle starannie, i schował do portfela.

## ROZDZIAŁ XVI AKT TRZECI

*(Wtorek, 12 kwietnia — sobota, 16 kwietnia)*

Po lunchu w Elysée Markham i Heath pojechali na miasto. Mieli przed sobą pracowite popołudnie. Markhamowi uzbierała się fura formalności do załatwienia, a sierżant, który kierował śledztwem w sprawie dwóch zabójstw, bo i Gila, i Sprigga, musiał czuwać nad tym, żeby dwie te maszynie funkcjonowały należycie, koordynować raporty, odpowiadać na niezliczone pytania zwierzchników i zмагаć się z armią wścibskich reporterów. Ja z Vance'em pojechaliliśmy na wystawę nowoczesnej sztuki francuskiej u Knoedlera, wypili herbatę w St. Regis i spotkali się na obiedzie z Markhamem w jego Klubie. O wpół do dziewiątej przyłączyli się do nas Heath i inspektor Moran.

Nieoficjalna konferencja trwała blisko do północy, ale nie dała pozytywnego wyniku. Następnego dnia też był zniechęcający. Kapitan Dubois nie znalazł na rewolwerze żadnych odcisków palców. Kapitan Hagedorn stwierdził, że zastrzelono z rewolweru tego właśnie kalibru Sprigga, o czym wiedzieliśmy z góry. Detektyw pilnujący domu Drukkerów spędził nudną noc. Nikt nie wszedł do domu i nikt nie wyszedł, a o jedenastej światło zgasło we wszystkich oknach. Przez całą noc panowała niezmacona cisza i dopiero rano zaczęły dochodzić hałasy z kuchni. Pani Drukker zeszła do ogródka po ósmej, a o wpół do dziesiątej Drukker wyszedł frontowymi drzwiami i siedział z książką w parku dwie godziny.

Upłynęły dwa dni. Miano na oku dom Dillardów. Pardee był pod ścisłą obserwacją, a co noc za domem Drukkerów wśród wierzb czuwali policjanci. Ale nie wykryto nic szczególnego i pomimo niez mordowanej akcji sierżanta wszystkie obiecujące tory śledztwa prowadziły donikąd. Markham i sierżant chodzili jak struci. Pisma prześcigały się w retorycznych inwektywach i

nieudolność policji i urzędu śledczego w rozwikłaniu tajemnicy tych dwóch teatralnych morderstw urastała do rozmiarów politycznego skandalu.

Vance odwiedził Dillarda i przedyskutował z nim ogólnikowo trudną sprawę. W czwartek po południu spędził przeszło godzinę na rozmowie z Arnessonem w nadziei, że pracując nad swoją formułą zrobił jakieś owocne odkrycie.

— Teraz nie dowiemy się od nich prawdy. Każdy prowadzi jakąś grę i obydwaj są wystraszeni. Dopóki nie zdobędziemy jakiegoś określonego dowodu rzeczowego, badanie ich przyniesie więcej szkody niż pożytku.

Ten określony dowód miał nam wpaść w ręce zaraz na drugi dzień, i to z najmniej spodziewanej strony, już jako początek ostatniej fazy naszych dochodzeń; fazy tak złowrogiej, tragicznej, straszliwej, okrutnej i monstrialnie humorystycznej, że do dzisiejszego dnia, gdy myślę o tym, nie jestem pewny, czy ostatecznie nie padłem ofiarą szatańskiej halucynacji.

W piątek po południu zrozpaczony Markham zwołał znów konferencję, na którą zaprosił się Arnesson. Zebraliśmy się o czwartej w urzędzie śledczym w gabinecie Markhama. Był również obecny inspektor Moran. Arnesson był tym razem niezwykle milczący, nie błaznował, przysłuchiwał się uważnie dyskusji, nie wypowiadał się jakby rozmyślnie, nawet gdy go Vance zapytywał.

Konferowaliśmy może z pół godziny, kiedy wszedł sekretarz Swacker i położył na biurku prokuratora jakieś formularze. Markham spojrział i zmarszczył brwi. Podpisawszy oba formularze, wręczył je Swackerowi.

— Proszę to wypełnić i dać Benowi — rozkazał. Po wyjściu sekretarza zwrócił się do nas: — Sperling prosi o przesłuchanie. Ma jakoby coś ważnego do zakomunikowania. Ano, zobaczymy!

W dziesięć minut później wszedł Sperling, eskortowany przez zastępcę szeryfa. Powitał przyjacielskim, młodzieńczym uśmiechem Markhama, skinął wesoło głową Vance'owi i oddał ukłon Arnessonowi. Wydało mi się, że obecność uczonego

zdziwiła go i zbiła z tropu. Markham wskazał młodemu człowiekowi krzesło, a Vance poczęstował go papierosem.

— Chciałem panu prokuratorowi coś zakomunikować — zaczął trochę nieufnie — coś, co może się panu bardzo przydać... Pamięta pan, jak pan mnie wypytywał, dokąd się udał pan Drukker, gdy się rozstał ze mną i z Robinem, a my zostaliśmy w suterenie klubowej? Powiedziałem, że nie zauważyłem, że widziałem tylko, jak wychodził na tor... Otóż, proszę pana, miałem ostatnio dużo czasu do myślenia i, ma się rozumieć, zastanawiałem się bezustannie nad wypadkami owego dnia. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale przypominam sobie teraz wszystko znacznie wyraźniej. Ożyły we mnie pewne, że tak powiem, wrażenia...

Urwał i spojrział na dywan. Po chwili podniósł głowę i mówił dalej:

— Jedno z tych wrażeń dotyczy pana Drukkera — i dlatego właśnie chciałem zobaczyć się z panem prokuratorem. Dziś po południu odtwarzając w pamięci scenę ostatniej rozmowy z Robinem w suterenie ujrzałem nagle obraz tylnego okna sutereny od strony ogródka. Przypomniałem sobie, że chcąc się upewnić, czy będzie pogoda, bo wybierałem się na wycieczkę, wyjrzałem przez okno i zobaczyłem pana Drukkera, siedzącego w altance za domem.

— Kiedy to było? — zapytał porywczo Markham.

— Na kilka sekund przed moim wyjściem na dworzec.

— A więc daje pan do zrozumienia, że Drukker nie odszedł, tak jak zeznał, lecz schronił się w altance i pozostał tam, dopóki pan nie odszedł.

— Tak to wygląda, panie prokuratorze — przyznał z ociąganiem Sperling.

— Czy pan jest absolutnie pewny, że go pan widział?

— Tak, proszę pana. Twarz sobie wyraźnie przypominam. Przypominam sobie nawet, w jaki sposób siedział z podkurczonymi nogami.

— Czy — zapytał poważnie Markham — przysięgłby pan, że go pan widział, wiedząc, że od pańskiego zeznania może zależeć życie ludzkie?

— Przysięgłbym, panie prokuratorze — odpowiedział z prostotą młody człowiek.

Kiedy zastępca szeryfa wyprowadził więźnia, Markham spojrział na Vance'a.

— Sądzę, że mamy punkt wyjścia.

— Tak. Zeznanie kucharki nie ma wielkiego znaczenia, bo Drukker je zakwestionował, a to taka lojalna, nieugięta Niemka. Wiedząc, że grozi mu prawdziwe niebezpieczeństwo, gotowa może jego zaprzeczenie potwierdzić. No, ale mamy ich teraz w rękę.

— Wygląda na to — rzekł po chwili głębszego namysłu prokurator — że to będzie dobry proces poszlakowy przeciwko Drukkerowi. Był na podwórzu u Dillardów na kilka sekund przed śmiercią Robina, mógł łatwo zauważyć, kiedy odszedł Sperling, i ponieważ na krótko przedtem był u Dillardów, wiedział, którzy z domowników byli nieobecni. Pani Drukker zeznała, że tego rana nie widziała nikogo z okna, chociaż w chwili śmierci Gila wydała okrzyk przerażenia, a później, kiedy przyszliśmy przesłuchać jej syna, tak się okropnie złąkla. Ostrzegła go nawet przed nami i nazwała nas „wrogami”. Sądzę, że musiała zobaczyć Drukкера, wracającego w chwilę potem, gdy ciało zabitego znalazło się na torze. W godzinie śmierci Sprigga Drukker był poza domem i oboje z matką starali się to ukryć przed nami. Za każdym razem, gdy poruszaliśmy kwestię tych dwóch mordów, tracił panowanie nad sobą i wyśmiewał nas, że dopatrujemy się związku między nimi. Istotnie, w wielu wypadkach zachowanie się jego było wysoce podejrzané. Wiemy również, że jest genialny, niezrównoważony i że ma upodobanie do zabaw z dziećmi. W związku z tym, co powiedział nam doktor Barstead, jest zupełnie możliwe, że Drukker wziął rzeczywistość za złudzenia i popełnił te zbrodnie w przystępie chwilowego obłądu. Znał formułę tensora i w następstwie wspomnianej już dyskusji Arnessona ze Spriggiem na temat tego tensora mógł ją skojarzyć w jakiś szaleńczy sposób ze Spriggiem. Co się tyczy listów Biskupa, to mogły one stanowić dopełnienie jego obłądnych fantazji. Wszystkie dzieci,

gdy wymyślają nową zabawę, chcą, żeby je podziwiać, starają się zawsze o audytorium. To, że wybrał pseudonim „Biskup”, mogło być rezultatem upodobania do szachów i manewrem, mającym na celu zabicie z tropu władz śledczych. Potwierdza to pozostawienie bierki gońca-biskupa na klamce drzwi pokoju matki. Może obawiał się, że go wtedy z rana widziała, i chciał jej w ten sposób nakazać milczenie, nie przyznając się otwarcie do winy. Mógł z łatwością zatrzaskać siatkowe drzwi od środka bez pomocy klucza, co nasuwało błędny wniosek, że nocny gość, który przyniósł figurkę, wszedł i wyszedł drzwiami od tyłu. Następnie mógł z łatwością zabrać gońca z biblioteki tego wieczora, gdy Pardee analizował swoją grę...

Markham rozwodził się tak przez pewien czas, zestawiając dowody rzeczowe przeciwko Drukkerowi w sposób wysoce logiczny i przekonujący. Gdy umilkł, nastąpiła długa cisza.

W końcu Vance wstał, jakby napięcie nerwowe było ponad jego siły, i podszedł do okna.

— Może i masz słuszość — rzekł do przyjaciela — ale muszę ci postawić zarzut, że jesteś zbyt pewny siebie oskarżając go. Ja podejrzewałem Drukкера od samego początku, ale im zachowywał się dwuznaczniej, im więcej poszlak wskazywało na niego, tym mniej mi się wydawał podejrzany. Mózg, w którym powstały te morderstwa, jest zbyt kompetentny, zbyt szatańsko przebiegły, żeby pozostawić tyle poszlak, takich, jakimi osnułeś Drukкера. Drukker jest zdumiewającą umysłowością — jego zdolności, jego intelekt zasługują na miano genialnych i trudno sobie wyobrazić, aby taki człowiek, popełniwszy zbrodnię, pozostawił za sobą tyle śladów.

— Prawo — przyciął cierpko Markham — nie może ignorować poszlak dlatego tylko, że wydają się przekonujące.

— Z drugiej strony — ciągnął Vance pomijając ten komentarz — jest oczywiste, że Drukker, jeżeli nawet nie zawinił, to coś wie, coś mającego bezpośredni i ważny związek z całą sprawą, i dlatego radziłbym wydusić z niego tę informację. Zeznanie Sperlinga daje nam punkt zaczepienia... Co pan o tym sądzi, panie Arnesson?

— Nic nie sądzę — odpowiedział zagadnięty — jestem



bezsronnym widzem. Ale przyznam się, że nie chciałbym widzieć biednego Adolfa w okowach.

Arnesson był najwidoczniej tego samego zdania, co Vance, tylko nie chciał się wypowiedzieć.

Heath swoim obyczajem radził natychmiastowe działanie:

— Jeżeli ten garbus ma coś do powiedzenia, to najprędzej powie, gdy go weźmiemy pod klucz.

— Sytuacja jest trudna — wtrącił pojednawczo cichym głosem inspektor Moran — nie możemy sobie pozwolić na najbliższą omyłkę. Gdyby zeznania Drukera obciążały kogoś innego, jak byśmy wyglądali, gdybyśmy go aresztowali?

Vance spojrział na Markhama. Był tego zdania co Moran.

— Wpierw go wziąć na spytki. Może zechce się wypowiadać. Można mu ewentualnie zagrozić aresztowaniem dla przyspieszenia zeznań. Dopiero wtedy, jeżeli nie otworzy ust, będziecie mogli zakuć go w kajdanki i oddać w ręce dzielnemu sierżantowi.

Markham siedział, bębniąc niezdecydowanie palcami po biurku, z głową w chmurze dymu, gdyż palił jak szalony. Po chwili zaciął szczęki i spojrział na sierżanta.

— Jutro o dziewiątej rano sprowadzi pan tutaj Drukera. Na wszelki wypadek weźcie wóz i nakaz aresztowania in blanco — postanowił groźnie Markham. — Wydobędę z niego prawdę i wtedy będę wiedział, jak postąpić.

Konferencja zaraz się skończyła. Było parę minut po piątej. Vance, Markham i ja pojechaliśmy do Klubu Stuyvesant. Arnesson wysiadł koło metra. Rozstał się z nami bez słowa, on, taki zawsze gadatliwy i cyniczny. Po obiedzie Markham wymówił się od towarzyszenia nam zmęczeniem, a Vance i ja pojechaliśmy do Opery.

Na drugi dzień ranek zaświtał szary i mglisty. Jackson obudził nas o wpół do ósmej, gdyż Vance chciał być obecny przy przesłuchiwaniu Drukera. O ósmej zjedliśmy śniadanie w bibliotece przy blasku kominkowego ognia. W drodze do urzędu śledczego musieliśmy czekać z powodu zatoru na jezdni i chociaż przybyliśmy na miejsce kwadrans po dziewiątej, a więc z opóźnieniem, Heath i Drukera jeszcze nie było.

Vance usadowił się wygodnie w wielkim skórzanym fotelu i zapalił papierosa.

— Czuję się dziś podminowany — zauważył. — Jeżeli Drukker nie odmówi zeznań i jeżeli te zeznania pokryją się z tym, co myślę, znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Zaledwie wypowiedział te słowa, kiedy do gabinetu wpadł Heath; zatrzymawszy się przed prokuratorem bez słowa powitania podniósł ręce i opuścił gestem beznadziejnej rezygnacji.

— Panie prokuratorze, nie będziemy już badać Drukкера ani dziś, ani nigdy — wypalił. — Wczoraj wieczorem spadł z wysokiego muru w Riverside Park, niedaleko swego domu, i skręcił kark. Znaleźli go dopiero dzisiaj rano o siódmej. Ciało jest w kostnicy. Ale nam się wiezie! Cholera!

Osunął się na krzesło.

Markham wpatrzył się w niego z niedowierzaniem.

— Czy pan jest tego pewny? — zapytał bezsensownie.

— Byłem na miejscu, zanim zabrano ciało. Jeden z tamtejszych posterunkowych zatelefonował do mnie w chwili, gdy wychodziłem z biura. Wywęszyłem wszystko, co się dało.

— Czego się pan dowiedział?

Prokurator walczył z ogarniającym go przemożnym zniechęceniem.

— Nie tak wiele. Dzieci go znalazły o siódmej. W parku roi się od dzieci, bo to dzisiaj sobota. Zaraz przyjechali z miejscowego komisariatu i sprowadzili lekarza policyjnego. Ten powiada, że Drukker musiał spaść z muru wczoraj wieczorem około dziesiątej i że zabił się na miejscu. Mur w tym miejscu — na wprost 76 Street — ma trzydzieści stóp wysokości. Biegnie on równolegle do alejki do konnej jazdy i trzeba się tylko dziwić, że więcej ludzi nie skręciło tam karku. Dzieci stale spacerują po kamiennej krawędzi.

— Czy dano znać matce?

— Nie. Powiedziałem im, że sam się tym zajmę, ale później postanowiłem zapytać w pierw pana prokuratora.

Markham oparł się o poręcz krzesła. Był zniechęcony.

— Nie widzę, żeby tu w ogóle można coś zrobić.

— Dobrze by było — pdsunął Vance — zawiadomić Arnessona. Prawdopodobnie on będzie musiał się zająć tą sprawą... Słowo daję, Markham! Zaczyna mi się wydawać, że to nie rzeczywistość, lecz upiorny sen. Główna nasza nadzieja była w Drukkerze i właśnie w chwili, gdy mógł coś zeznać, zwał się z muru. — Nagle urwał. — Z muru! — powtórzył i zerwał się z krzesła jak podrzucony sprężyną. — Garbus spadł z muru — z murku!... Garbus, garbus, garbusek!...

Myśleliśmy, że zwariował, i muszę przyznać, że wyraz jego twarzy przejął mnie dreszczem. Oczywiście miał błędne, jakby zobaczył upiora. Zwróciwszy się powoli do Markhama, rzekł głosem zmienionym do niepoznania:

— Jeszcze jedno krwawe widowisko — jeszcze jeden wierszyk do kompletu... Tym razem „Garbusek mały”!...

Nastąpiło pełne zdumienia milczenie, które przerwał chrapliwy, wymuszony śmiech sierżanta.

— Panie Vance, czy to aby nie naciągane?

— Nonsens! — oświadczył Markham, obserwując z prawdziwym niepokojem twarz przyjaciela. — Mój drogi, za wiele rozmyślasz nad tą sprawą. Cóż się takiego stało, ostatecznie? Człowiek z garbem wszedł na mur w parku, spadł i zabił się. Prawda, że to nieszczęście, a w tych okolicznościach podwójne nieszczęście... Ale bywają większe dramaty... — Podeszedł do Vance'a i położył mu rękę na ramieniu. — Ja z sierżantem zajmujemy się teraz tą sprawą — jesteśmy przyzwyczajeni do takich rzeczy. Tobie radziłbym wyjazd i odpoczynek. Zawsze na wiosnę jeździłeś do Europy...

— Pewnie, pewnie — westchnął Vance i uśmiechnął się słabo. — Morskie powietrze świetnie by mi zrobiło. Oczywiście. Boisz się o mój stan umysłowy! Przypuszczasz, że moja szlachetna mózgowica zaczyna zawodzić! Daję za wygraną! Trzeci akt straszliwej tragedii rozegrał się nieomal przed waszymi oczami, i wy to ignorujecie! O, ludzie!

— Ponosi cię wyobraźnia — odparł, serdecznie zaniepokojony o przyjaciela Markham. — Nie myśl o tym więcej. Zjemy razem obiad i pogadamy!

W drzwiach ukazała się głowa Swackera.

— Przyszedł Quinan z „Worldu” — rzekł do sierżanta. — Chce z panem mówić.

Markham odwrócił się.

— Och, mój Boże!... Proś go pan!

Wszedł Quinan i przywitawszy nas wesoło, wręczył list sierżantowi.

— Jeszcze jeden billet-doux otrzymaliśmy dziś rano. Jak mnie wynagrodzicie, że tak o was pamiętam?

Heath otworzył list wśród ogólnego zaciekawienia. Poznałem momentalnie papier i gatunek czcionki. Złowrogie pismo brzmiało, jak następuje:

Siedział na murku Garbusek mały,  
Zleciał i biedak rozbił się cały.  
Nie ma nadziei, nie ma nadziei,  
Nikt go z pewnością teraz nie skleci!

W rogu po prawej stronie widniał wielkimi literami podpis:  
BISKUP.

## ROZDZIAŁ XVII ŚWIATŁO, KTÓRE NIE ZGASŁO

(Sobota, 16 kwietnia, godz. 9.30 rano)

Kiedy Heath pozbył się Quinana, przyobiecawszy mu cuda, które rozradowałyby serce każdego reportera, w gabinecie zapanowało kilkuminutowe przejmujące milczenie. Straszny Biskup wstąpił znów na widownię i sprawa zamieniła się w potrójne morderstwo, bardziej zagadkowe niż kiedykolwiek. Jednakże większe wrażenie, niż tajemniczość tych niewiarygodnych zbrodni, zrobiła na nas niesamowita groza, emanująca z nich na podobieństwo zatrutych miazmatów.

Vance, który przechadzał się posępnie tam i z powrotem, dał wyraz nurtującym go uczuciom.

— Do pioruna, Markham! To najgorsze ze wszystkiego!... Te dzieci w parku — korzystając z sobotniej swobody — rozbawione, szczęśliwe w świecie złudy i urojeń... i nagle w całej grozie rzeczywistości — straszliwe otwarcie oczek!... Czy rozumiesz, jakie to potworne? Te dzieci znalazły małego garbuska — swojego garbuska, z którym się bawiły — leżącego bez życia u stóp osławionego muru — małego garbuska, którego mogły dotknąć, nad którym mogły płakać, zabitego, przetrąconego, nie dającego się już „skleić”.

Zatrzymał się przy oknie i wyjrzał na dwór. Mgła pierzchła i nad olbrzymim miastem zajaśniała słaba pożłota wiosennej pogody. W dali błyszczał złoty orzeł na nowojorskim Life Building.

— Ech, nie bądźmy sentymentalni — powiedział z wymuszonym uśmiechem, odwracając się od okna. — Sentymentalizm osłabia inteligencję i zdolności dialektyczne. Teraz, kiedy wiemy, że Drukker nie padł ofiarą prawa grawitacji, lecz że ludzka ręka pchnęła go w otchłań śmierci, im prędzej zacniemy działać, tym lepiej.

Jakkolwiek ta zmiana nastroju była widocznym tour de force, otrząsnęliśmy się momentalnie z ponurej apatii. Markham

zatelefonował do inspektora Morana, aby sprawa Drukera została także powierzona Heathowi, a następnie, również telefonicznie, zażądał od lekarza natychmiastowego przedstawienia orzeczenia post mortem. Heath zerwał się energicznie i, wypiwszy trzy szklanki lodowatej wody, stanął z rozstawionymi nogami, z melonikiem nasuniętym na czoło przed biurkiem prokuratora w oczekiwaniu rozkazów.

Markham poruszył się niespokojnie.

— Pańscy ludzie, sierżancie, mieli obserwować domy Drukkerów i Dillardów. Czy pan z nimi rozmawiał?

— Nie miałem czasu, panie prokuratorze, i zresztą myślałem, że to był wypadek. Ale kazałem chłopcom czekać na miejscu, dopóki nie wrócę.

— Co mówił lekarz?

— Że to wygląda na wypadek i że śmierć musiała nastąpić mniej więcej przed dziesięcioma godzinami...

Wtrącił się Vance:

— Czy nie wspominał przypadkiem o frakturze czaszki?

— Tego słowa nie użył, ale napomknął, że Drukker upadł na wznak. — Sierżant pokiwał głową. — Z pewnością to będzie taka sama fraktura jak u Gila i Sprigga.

— Niewątpliwie. Technika naszego mordercy jest prosta i skuteczna. Uderza ofiarę w głowę i albo ją ogłusza, albo zabija na miejscu, po czym charakteryzuje odpowiednio do roli, jaką jej przeznaczył w swoim teatrze marionetek. Drukker niewątpliwie stał przechylony przez mur<sup>5</sup> w pozycji doskonale się nadającej do napaści. Była mgła, przesłaniająca zachód słońca. Nagle dostał po głowie, silne ręce podźwignęły go, tak że się przeważył, i zleciał do parku bez hałasu. To trzecia ofiara obłądu...

— Co mnie zastanawia — zauważył cierpko Heath — to fakt, że Guilfoyle, którego postawiłem na czatach na tyłach domu Drukkerów, nie zaraportował mi, że Drukker nie wrócił na noc. Guilfoyle wrócił do biura o ósmej i naturalnie minęliśmy się. Czy pan nie uważa, że nim wyruszymy na miasto, dobrze

---

<sup>5</sup> Mur od strony ścieżki był niski, od strony placu zabaw (parku) wysoki na trzydzieści stóp.

by było z nim pogadać?

Markham zgodził się i Heath wydał rozkaz przez telefon. Guilfoyle zjawił się przed upływem dziesięciu minut, choć odległość między główną komendą policji i urzędem śledczym jest znaczna. Sierżant rzucił niecierpliwie:

– O której Drukker wyszedł wczoraj wieczorem z domu?!

– Około ósmej – prawie zaraz po obiedzie.

Guilfoyle był zdenerwowany. Mówił przymilnym tonem człowieka, którego przyłapano na niedbalstwie.

– Którymi drzwiami wyszedł?

– Od tyłu. Poszedł torem łączniczym i znikł w drzwiach klubu Dillardów.

– Był tam z wizytą?

– Tak to wyglądało, panie sierżancie. On ciągle siedzi u Dillardów.

– Hm! A o której wrócił do domu?

Guilfoyle poruszył się niespokojnie.

– Zdaje mi się, że nie wrócił, panie sierżancie.

– O, zdaje mu się! – przyciął sarkastycznie Heath. – Myślałem, że może skręciwszy kark przyszedł do ciebie na pogawędkę?

– Ja tylko chciałem powiedzieć, panie sierżancie...

– Chciałeś powiedzieć, że Drukker – ptaszek, na którego miałeś mieć oko – poszedł z wizytą do Dillardów o ósmej wieczorem, a ty pewnie klapnąłeś sobie w altance i uciałeś, bracie, drzemkę... O której się obudziłeś?

– Wypraszam sobie takie drwiny! – zjeżył się Guilfoyle: – Nie drzemałem. Pełniłem służbę całą noc. To, że przypadkiem nie zobaczyłem, jak ten facet wracał, nie znaczy wcale, że spałem na służbie.

– Więc w takim razie dlaczegoś mi nie dał znać, że wyjechał na weekend czy coś takiego?

– Myślałem, że wszedł od frontu.

– Znowu myślałeś? Czy ci się aby co w mózgu nie pomieszało od tego myślenia?!

– Niech pan sierżant będzie sprawiedliwy. Nie miałem rozkazu tropić Drukкера, tylko uważać na dom i patrzeć, kto

wchodzi, a kto wychodzi, i gdyby się co działo, lecieć na ratunek. Najlepiej powiem wszystko od początku. Drukker poszedł do Dillardów o ósmej. Ja tymczasem nie spuszczałem oka z okien jego domu. Około dziewiątej kucharka poszła na górę i zapaliła światło w swoim pokoju. W pół godziny później światło zgasło. Powiedziałem sobie: „Poszła baba spać!” Potem około dziesiątej zaświeciło się w pokoju Drukera...

— Jak to?

— Tak, jak mówię. Około dziesiątej zaświeciło się w pokoju Drukera. Widziałem z dołu na szybach poruszający się cień człowieka. No co? Czy sam pan sierżant nie pomyślałby, że garbus wrócił frontowymi drzwiami?

Heath stęknął.

— Może być — przyznał. — Jesteś pewny, że to była dziesiąta?

— Nie patrzyłem na zegarek, ale powiadam, że musiało być około dziesiątej.

— A o której zgasło światło w pokoju Drukera?

— Wcale nie zgasło. Świeciło się przez całą noc. Ten Drukker był dziwny człowiek. Nigdy nie trzymał się godzin i już dwa razy przedtem świeciło się u niego prawie do rana.

— To zupełnie zrozumiałe — zabrzmiał leniwy głos Vance’a. — Pracował ostatnio nad bardzo trudnym zagadnieniem. Ale powiedz nam, Guilfoyle, czy u pani Drukker też się świeciło?

— Jak zwykle. U niej zawsze świeci się przez całą noc.

— Czy był kto tej nocy na posterunku przed frontem domu Drukkerów? — zapytał Heatha Markham.

— Tylko do szóstej wieczorem, panie prokuratorze. Tropił Drukera przez cały dzień, ale o szóstej zeszedł ze służby i o tej godzinie Guilfoyle stanął na tyłach domu.

Nastąpiło chwilowe milczenie, po czym Vance zwrócił się do Guilfoyle’a:

— Jak daleko staliście od furki między kamienicami?

Detektyw namyślał się chwilę.

— Może czterdzieści stóp, może pięćdziesiąt.

— A między tym miejscem, gdzie staliście, i furką jest żelazny płot i kilka drzew ze zwieszającymi się gałęziami?

— Tak, proszę pana. Idzie panu o to, że nie ma dobrej



widoczności? Ano, nie ma!

— Czy to możliwe, żeby ktoś tą furką wyszedł z domu Dillardów i wrócił, a wyście go nie zauważyli?

— Możliwe. Dlaczego nie? — odparł detektyw. — Ale naturalnie musiałby się czaić, żebym go nie zobaczył. Była mgła i ciemno, a na bulwarze zawsze wielki ruch, i hałas zagłuszyłby jego kroki, gdyby się starał stąpać ostrożnie.

Kiedy sierżant odesłał Guilfoyle'a do biura z rozkazem czekania na dalsze instrukcje, Vance wydawał się być zakłopotany.

— Piekielnie skomplikowana sytuacja. Drukker poszedł do Dillardów o ósmej, a o dziesiątej strącono go z muru w parku. Jak zauważyliście, list przyniesiony przez Quinana ma na pieczęcie godzinę jedenastą, to znaczy, że według wszelkiego prawdopodobieństwa został napisany przed zbrodnią. Z tego wynika, że nasz Biskup uplanował swoją komedię z góry i z góry przygotował list dla prasy. Zdumiewająca śmiałość zbrodniarza, ale możemy stąd wywnioskować, że był to ktoś, kto wiedział, gdzie znajdował się Drukker i dokąd zamierzał iść między ósmą i dziesiątą.

— Przypuszczasz — wtrącił Markham — że morderca wyszedł i powrócił uliczką między kamienicami?

— O, nie, nie nie przypuszczam. Spytałem Guilfoyle'a o tę uliczkę na wypadek, gdyby się okazało, że nie widziano nikogo idącego do parku, z wyjątkiem Drukкера. W takim razie moglibyśmy przyjąć kuszącą hipotezę, że morderca przez nikogo nie zauważony przemknął się tą właśnie uliczką i przeszedł do parku.

— Jeżeli morderca zamierzał dokonać zbrodni na tej uliczce — zauważył pośepnie prokurator — to fakt, czy Drukker sam wyszedł, czy z kimś, nie ma większego znaczenia.

— Właśnie. Człowiek, który wyreżyserował tę śmiertelną farsę, mógł wejść śmiało do parku na oczach czujnego posterunkowego albo też przemknąć się ukradkiem przez uliczkę.

Markham skinął smętnie głową.

— Co mnie wszakże najbardziej zbija z tropu — ciągnął

Vance — to całonocne światło w pokoju Drukкера. Zapalono je mniej więcej w chwili, gdy nieborak zwał się z muru w otchłań wieczności. Guilfoyle mówi, że widział na oświetlonych szybach cień poruszającej się postaci.

Urwał nagle i przez kilka sekund myślał intensywnie.

— Sierżancie, pan pewnie nie wie, czy przy ciele Drukкера znaleziono klucz od drzwi frontowych?

— Nie wiem, proszę pana, ale mogę się zaraz dowiedzieć. Zawartość jego kieszeni doręczy się sądowi dopiero po autopsji.

Heath podszedł do telefonu i po chwili rozmawiał z komisarzem z 68 Street. Trwało to kilka minut. Wreszcie chrząknął i rzucił słuchawkę.

— Nie było żadnego klucza.

— A! — Vance zaciągnął się głęboko i wypuścił wolno dym. — Zaczynam przypuszczać, że Biskup ukradł klucz Drukkerowi i zaszedł do jego pokoju już po dokonaniu morderstwa. Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale przecież cała ta fantastyczna sprawa wydaje się w najwyższym stopniu niewiarygodna.

— Ależ, na Boga, w jakim celu chodziłby do pokoju Drukкера? — zaoponował z niedowierzaniem Markham.

— Tego jeszcze nie wiemy. Ale mam wrażenie, że gdy wyjdzie na jaw pobudka tych zdumiewających mordów, zrozumiemy również cel tej wizyty.

Markham poszedł po kapelusz do szafki. Twarz miał surową.

— W drogę, panowie! Musimy obejrzeć miejsce zbrodni.

Ale Vance nie ruszył się z miejsca. Stał koło biurka, owiany chmurą dymu.

— Wiesz, Markham — rzekł — moim zdaniem powinniśmy wpierw zobaczyć się z panią Drukker. W tym domu rozegrała się w nocy tragedia, stało się tam coś dziwnego, co trzeba wyjaśnić. Może ona teraz powie nam swoją tajemnicę. Prócz tego nie powiadomiono jej o śmierci syna, a przy tym poruszeniu w sąsiedztwie z pewnością coś do niej szybko dojdzie. Chciałbym jej oszczędzić wstrząsu. Byłbym spokojniejszy, gdybyśmy zabrali z sobą Barsteada. Czy pozwoliś, żebym do niego zatelefonował?

Markham zgodził się i Vance wyjaśnił krótko doktorowi, co się stało. Wstąpiliśmy po doktora i pojechaliśmy prosto do Drukkerów. Otworzyła Menzlowa, z której twarzy wyczytaliśmy, że już wie. Vance, spojrzawszy na nią, zaprowadził ją do salonu, z dala od klatki schodowej, i zapytał cicho:

— Czy pani wie?

— Nie jeszcze — odrzekła przerażonym, drżącym szeptem. — Panienska była tu przed godziną, ale powiedziałam, że pani wyszła. Bałam się puszczać ją na górę. Coś się stało...

Zaczęła dygotać jak w ataku febry.

— Co się stało, Frau Menzel? — Vance położył łagodnie rękę na jej ramieniu.

— Nie wiem, ale przez całe rano pani nie dała znaku życia. Nie zeszła na śniadanie... A ja boję się do niej iść.

— Kiedyście się dowiedzieli o nieszczęściu?

— Wcześniej, zaraz po ósmej. Powiedział mi roznosiciel gazet i widziałam moc ludzi na Riverside Drive.

— Nie bójcie się — rzekł uspokajająco Vance — mamy z sobą doktora i zajmiemy się wszystkim.

Wrócił do hallu. Udaliśmy się na górę. Vance zapukał cicho do pani Drukker. Nie otrzymawszy odpowiedzi, wszedł. Pokój był pusty. Na stole paliła się jeszcze nocna lampka. Zauważyłem, że łóżko nie było posłane.

Vance cofnął się bez słowa do hallu. Prowadziło stąd jeszcze dwoje drzwi, jedno z nich do gabinetu Drukкера. Otworzył je bez wahania, nie pukając. Półprzezryste białe story były zaciągnięte i szare światło dnia mieszało się z upiornie żółtym blaskiem staroświeckiego świecznika. A więc świeciło się tu do tej chwili.

Vance zatrzymał się w progu. Markham, który szedł przede mną, drgnął.

— Matko Boska! — jęknął sierżant i przeżegnał się.

W nogach wąskiego łóżka leżała ubrana pani Drukker.

Twarz jej była szara jak popiół, oczy ohydnie wytrzeszczone, a ręce zaciśnięte kurczowo na piersiach.

Barstead dopadł do niej, nachylił się, dotknął rąk i twarzy.

Wyprostował się potrząsając wolno głową.

— Nie żyje, i to prawdopodobnie od kilku godzin.

— Pochylił się ponownie nad ciałem i zaczął badać.

— Cierpiała od szeregu lat na chroniczne zapalenie nerek, arteriosklerozę i hipertrofię serca... Jakiś gwałtowny wstrząs spowodował silne rozszerzenie... Tak, umarła, powiedziałbym, o tej samej godzinie co syn... około dziesiątej.

— Naturalną śmiercią? — zapytał Vance.

— O! niewątpliwie! Zastrzyk adrenaliny w serce byłby ją może uratował, gdybym tu był.

— Żadnych śladów mordu?

— Żadnych. Jak już panom wyjaśniłem, umarła na atak serca, spowodowany wstrząsem. Typowy wypadek. Pod każdym względem.

## ROZDZIAŁ XVIII MUR W PARKU

(Sobota, 16 kwietnia, godz. 11 przed południem)

Doktor ułożył ciało zmarłej na łóżku i nakrył prześcieradłem, po czym zesłiśmy na dół. Barstead pożegnał się od razu, obiecawszy przysłać sierżantowi świadectwo zgonu w ciągu godziny.

— Powiedział, że umarła naturalną śmiercią wskutek wstrząsu. Z naukowego punktu widzenia: w porządku — rzekł Vance, gdyśmy zostali sami. — Ale my teraz stoimy przed zadaniem wykrycia, co wywołało ten nagły wstrząs. Jasna rzecz, że miał on związek ze śmiercią Drukera. Otóż zastanawiam się...

Zawrócił impulsywnie i wszedł do salonu. Menzlowa siedziała w pozie trwożnego oczekiwania tak, jakieśmy ją zostawili. Vance podszedł do niej i rzekł łagodnie:

— Wasza pani umarła w nocy na serce. Ale to lepiej, że nie przeżyła syna...

— Gott geb' ihr die ewige Ruh'! — zamruczała pobożnie kobieta. — Pewnie że lepiej...

— Zgon nastąpił wieczorem, koło dziesiątej. Czyście wtedy spali, Menzlowa?

— Całą noc nie zmrużyłam oka — szepnęła trwożnie.

Vance przyglądał się jej spod przymkniętych powiek.

— Powiedzcie nam, coście słyszeli.

— Ktoś był w nocy w domu.

— Tak. Około dziesiątej ktoś wszedł od frontu. Czy słyszeliście, jak wchodził?

— Nie, ale jak już byłam w łóżku, usłyszałam głosy w pokoju pana.

— Czy to było coś nadzwyczajnego, głosy w jego pokoju o dziesiątej wieczorem?

— Kiedy to nie był pan! Pan miał głos wysoki, a ten głos był niski i mrukliwy. — Podniosła na nas przerażone oczy. — A

drugi głos był pani... a... pani nigdy wieczorem nie chodziła do pokoju syna.

— Jakaście mogli słyszeć tak wyraźnie, przy zamkniętych drzwiach?

— Mój pokój jest akurat nad sypialnią pana. A zresztą byłam niespokojna, bo tu wciąż coś się działo, jakieś okropności, więc wstałam i wyszłam na schody posłuchać.

— Nie mam wam tego za złe — rzekł Vance. — Coście usłyszeli?

— Na początku wydało mi się, że pani jęczała, ale zaraz potem zaczęła się śmiać, a ten gość zagadał coś ze złością. Ale za chwilę i on się roześmiał. Później wydało mi się, że biedna pani modliła się — słyszałam, jak mówiła: „Och, Boże — och! Boże!” Potem on znów mówił — bardzo spokojnie i cicho... A potem jeszcze moja pani przepowiadała jakieś wierszyki... Tak mi się wydawało...

— Czybyście poznali te wierszyki, gdybyście znów usłyszeli?... Czy to nie było coś takiego:

Siedział na murku Garbusek mały,  
Zleciał i biedak rozbił się cały...

— Bei Gott, das ist's! Tak, całkiem podobnie! — W oczach kobiety odbił się wzmożony przestрах. — No i pan zleciał z murku wczoraj wieczorem!

— Czy słyszeliście coś więcej, Frau Menzel?

Urzędowy głos detektywa przerwał jej refleksje na temat współrzędności śmierci Drukkera i wierszyka.

Potrząsnęła wolno głową.

— Nie, potem już było cicho.

— A słyszeliście, czy ktoś wychodził z pokoju pana?

Skinęła głową przerażona.

— W kilka minut później ktoś otworzył i zamknął drzwi bardzo cicho i ostrożnie. Słyszałam kroki w ciemnym hallu. Potem skrzypnęły schody i za chwilę trzasnęły drzwi od frontu.

— Coście potem zrobili?

— Nasłuchiwałam jeszcze trochę i wróciłam do łóżka, ale nie

mogłam spać...

— Już jest po wszystkim, moja Menzłowa — pocieszał ją Vance. — Nie macie się teraz czego obawiać. Idźcie do swego pokoju i czekajcie, dopóki was nie wezwiemy...

Odeszła z ociąganiem na górę.

— Sądzę — rzekł Vance — że możemy sobie teraz dość łatwo odtworzyć, co się tu działo ubiegłego wieczora. Morderca zabrał klucz Drukkerowi i wszedł przez drzwi od frontu. Wiedział, że pokoje pani Drukker mieściły się od podwórza. Niewątpliwie liczył na to, że uda mu się załatwić interes w sypialni Drukкера i odejść tak, jak przyszedł. Ale go usłyszała. Możliwe, że utożsamiła go z „małym człowieczkiem”, który zostawił na jej kłance czarnego gońca-biskupa, i złąkała się o syna. W każdym razie poszła zaraz do jego pokoju. Drzwi mogły być uchylone. Przypuszczam, że zobaczyła intruza i że go poznała. Wstrząśnięta i przestraszona, weszła i zapytała go, po co przyszedł. Mógł odpowiedzieć, że przyszedł ją zawiadomić o śmierci syna, co tłumaczyłoby jej jęki i histeryczny śmiech. Ale to był z jego strony tylko wstęp — chciał zyskać na czasie. Tymczasem zastanawiał się, jak wybrnąć z sytuacji, to jest, w jaki sposób ją zabić. O, co do tego nie może być najmniejszej wątpliwości. Nie mógł wypuścić jej z pokoju żywej. Możliwe, że wprost jej to powiedział, wszak „zagadał coś ze złością”. A później wybuchnął śmiechem. Znęcał się nad nią, może nawet w przystępie opętańczego egoizmu powiedział jej całą prawdę. A ona mogła tylko powiedzieć: „Och, Boże! Och! Boże!” Opowiedział jej, jak zwał Drukкера z muru. Nasuwa się pytanie, czy wspomniał o „małym Garbusku”. Sądzę, że tak, bo jakież audytorium zdołałoby lepiej ocenić jego potworny żart niż matka ofiary? Ostatnia rewelacja okazała się dla niej nie do przeżycia. Powtórzyła dziecinny wierszyk jak zahipnotyzowana, i serce nie wytrzymało. Upadła w poprzek łóżka oszczędzając mordercy kłopotu zamknięcia jej ust własnymi rękami. Widząc, co się stało, wyszedł sobie spokojnie.

Markham przeszedł się po salonie.

— Nie rozumiem tylko, w jakim celu morderca przyszedł do pokoju Drukera po zbrodni.

Vance palił w zadumie papierosa.

— Zapytamy Arnessona. Może on będzie coś wiedział.

— Ano, może — powtórzył sierżant. Chwilę obracał cygaro w ustach, wreszcie dorzucił kwaśno: — O! tu jest niejedna taka osoba, co by nam mogła dużo powiedzieć!

Prokurator przystanął przed zaszępionym policjantem.

— Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, co pańscy ludzie wiedzą o tym, co robili tutejsi mieszkańcy w ciągu ostatniej nocy. Sprowadź ich pan, to ich przesłucham. Ilu ich było i w jakich miejscach stali?

Heath wstał, służbisty i energiczny.

— Oprócz Guilfoyle'a, panie prokuratorze, było ich trzech. Emery miał tropić Pardee'ego. Snitkin stał na rogu Riverside Drive i 75 Street na straży domu Dillardów, a Hennessey w głębi 75 Street blisko West End Avenue. Czekają teraz wszyscy na miejscu, gdzie znaleziono Drukera. Sprowadzę ich tu pronto.

Zniknął frontowym wyjściem i w niecałe pięć minut wrócił w towarzystwie trzech detektywów. Markham przesłuchał najprzód Snitkina, gdyż było prawdopodobne, że on mógł widzieć najwięcej. Wynik jego zeznań był następujący:

O 6.30 Pardee wyszedł ze swego domu i udał się prosto do Dillardów.

O 8.30 wyszła Bella Dillard w sukni wieczorowej, wsiadła do taksówki i pojechała na West End Avenue. (Arnesson wyszedł z nią na ulicę, pomógł wsiąść do auta, po czym cofnął się z powrotem do domu.)

O 9.15 profesor Dillard i Druker wyszli z domu Dillardów i podążyli wolnym krokiem w kierunku Riverside Drive, przeszli na drugą stronę na wprost 74 Street i skręcili w alejkę do konnej jazdy.

O 9.30 Pardee opuścił dom Dillardów i poszedł Riverside Drive do miasta.

Wkrótce po 10 profesor Dillard powrócił do domu sam, przeszedł przez Riverside Drive w tym samym miejscu co

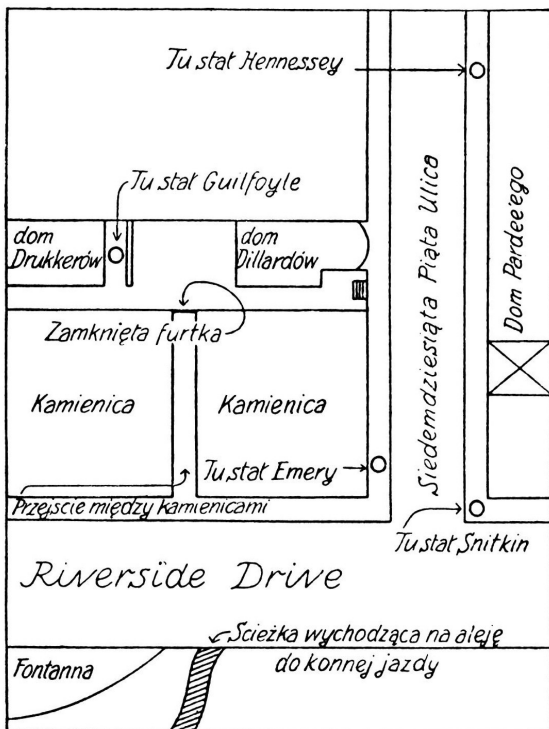


poprzednio.

O 10.20 Pardee powrócił do domu tą samą drogą, którą odszedł.

O 12.30 Bella Dillard zajęła przed dom limuzyną, pełną młodzieży.

Drugi z kolei zeznawał Hennessey. Nie miał jednakże nic nowego do dodania, potwierdził tylko zeznania Snitkina. Nikt nie zbliżył się do domu Dillardów od strony West End Avenue i w ogóle nie zauważono nic podejrzanego.



Teraz Markham zwrócił się do Emery'ego, który złożył raport, że zluzował o szóstej Santosa i od niego dowiedział się, że Pardee spędził część popołudnia w Klubie Szachistów i że wrócił do domu koło czwartej.

— Potem, jak zeznali Snitkin i Hennessey — ciągnął dalej Emery — poszedł do Dillardów o wpół do siódmej i zabawiał tam do wpół do dziewiątej. Kiedy wyszedł stamtąd, ruszyłem

za nim, trop w trop, utrzymując odległość pół bloku. Poszedł Riverside Drive do 79 Street, gdzie skręcił na lewo do parku, obszedł okrągły zielony stadion, minął skały i podążył w kierunku jachtklubu...

— Czy poszedł ścieżką, na której zabito Sprigga? — zapytał Vance.

— Musiał tamtędy iść. Nie ma tam innej drogi, chyba że się idzie Riverside Drive.

— Daleko poszedł?

— Niedaleko. Zatrzymał się w miejscu, gdzie zginął Sprigg, zawrócił tą samą drogą i skręcił do tego małego dziecięcego parku koło 79 Street. Szedł wolno ścieżką pod drzewami wzdłuż alei do konnej jazdy. Mijając fontannę, natknął się na starego i garbusa. Stali oparci o mur i rozmawiali.

— Co? Spotkał profesora Dillarda i Drukera w tym miejscu, gdzie Druker zleciał z muru? — Prokurator pochylił się w przód.

— Tak, panie prokuratorze. Pardee zatrzymał się, a ja naturalnie poszedłem dalej. Mijając ich, słyszałem, jak garbaty mówił: „Dlaczego pan nie gra dziś w szachy?” Tak to brzmiało, jakby był zły, że się Pardee do nich przyczepił, i chciał mu dać do zrozumienia, że go nie potrzebują. Ja tymczasem wędrowałem wzdłuż muru i dotarwszy do 74 Street schowałem się między drzewami...

— Czy mogliście widzieć z tej kryjówki Pardee’ego i Drukera? — przerwał Markham.

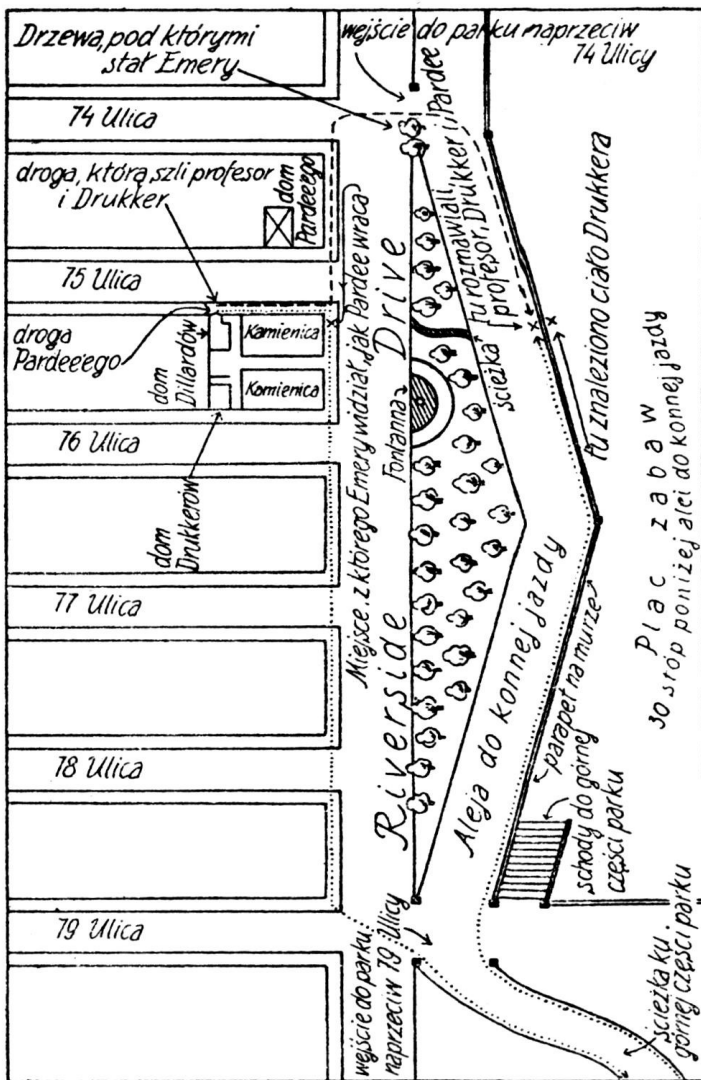
— Prawdę mówiąc, panie prokuratorze, wcale ich stamtąd nie widziałem. Mgła gęstniała, a w tym miejscu, gdzie oni gadali, nie ma żadnej latarni. Ale myślałem, że Pardee wprędce nadejdzie, więc czekałem.

— Musiała wtedy dochodzić dziesiąta?

— Była za kwadrans dziesiąta.

— Czy spotkaliście jakich przechodniów?

— Nikogo, panie prokuratorze. Mgła zagnała ludzi pod dach i zresztą było chłodno. I właśnie wtedy, ponieważ się nikt nie kręcił, poszedłem tak daleko. Pardee nie jest głupi. Obejrzał się na mnie parę razy, jakby podejrzewał, że go śledzę.



– Jak długo czekaliście na niego?

Emery przestąpił z nogi na nogę.

– Nie popisałem się – przyznał się z wymuszonym uśmiechem. – Pardee musiał zawrócić i przejechać przez

Riverside Drive na wprost 79 Street, bo jakieś pół godziny później zobaczyłem go w świetle latarni koło kamienicy na rogu 75 Street... wracającego do domu.

— Ależ — wtrącił Vance — jeżeli czatowaliście na wprost 74 Street do kwadrans na jedenastą, to musieliście również widzieć profesora Dillarda, który wrócił do domu około dziesiątej tą samą drogą.

— Pewnie że go widziałem. Czekałem już na Parde'ego może dwadzieścia minut, kiedy ukazał się profesor. Był sam. Przeszedł przez Riverside Drive i skierował się do domu. Naturalnie pomyślałem, że Pardee i garbus jeszcze gadają i dlatego nie poszedłem sprawdzić.

— A w kwadrans potem, jak profesor was minął, nadszedł Pardee z przeciwnego kierunku. Czy tak?

— Tak jest, panie prokuratorze! I naturalnie wróciłem zaraz na mój posterunek na rogu 75 Street.

— Czy zdajecie sobie sprawę, Emery — zapytał poważnie Markham — że właśnie gdyście wyczekiwali na wprost 74 Street, Drukker spadł z muru?

— Ma się rozumieć, panie prokuratorze, ale chyba mnie pan nie wini? Nielatwa to rzecz śledzić człowieka w mglistą noc, na pustej ścieżce. Trzeba bardzo uważać, jeżeli się nie chce wpaść mu w oko.

— Rozumiem, że byliście w trudnym położeniu

— rzekł Markham — i nie mam do was pretensji.

Sierżant odprawił gniewnie trzech detektywów. Najwidoczniej nie był zadowolony z ich raportów.

— Im dalej się posuwamy — poskarżył się — tym się robi ciemniej.

— Sursum corda, sierżancie — napomniał go Vance.

— Nie poddawać się czarnej rozpacz! Niech tylko Pardee i profesor powiedzą nam, co się działo przez ten czas, kiedy Emery czatował wśród drzew na 74 Street, to może co wykryjemy.

W głębi hallu ukazała się Bella Dillard. Weszła drzwiami od tyłu. Zobaczywszy nas, wpadła do salonu.

— Gdzie jest lady Mae? — zapytała z niepokojem.

— Byłam tu przed godziną i Greta powiedziała mi, że wyszła. Ale dotąd jej nie ma.

Vance wstał i podał jej swoje krzesło.

— Pani Drukker umarła w nocy na serce. Menzłowa bała się puścić panią na górę.

Dziewczyna milczała dłuższą chwilę. Nagle oczy jej napełniły się łzami.

— Pewnie dowiedziała się o strasznym wypadku Adolfa?

— Możliwe, ale nie wiadomo na pewno, co zaszło w tym domu wczoraj wieczorem. Doktor Barstead jest zdania, że pani Drukker umarła koło dziesiątej.

— Prawie jednocześnie z synem — szepnęła. — Och! jakie to okropne!... Pynn powiedział mi, co się stało, gdy zesłam na śniadanie — cała dzielnica nie mówiła o niczym innym. Zaraz poszłam do lady Mae, ale Greta oznajmiła, że wyszła. Nie wiedziałam, co myśleć. Śmierć Adolfa wydaje mi się bardzo dziwna...

— Co pani przez to rozumie, panno Bello? — Vance stojąc koło okna obserwował ją ukradkiem.

— Sama nie wiem — odparła złamanym głosem. — Ale jeszcze wczoraj po południu lady Mae rozmawiała ze mną o synu i o murze...

— Doprawdy? — Vance mówił od niechcienia, ale wiedziałem, że cały drży z nerwowego napięcia.

— Idąc na tenisa — ciągnęła zniżonym głosem dziewczyna — przeszłam się z lady Mae alejką do konnej jazdy nad placem zabaw. Często tam chodziła przyglądać się, jak Adolf bawi się z dziećmi. Stałyśmy długo, oparte o kamienną balustradę. Adolfa otaczała gromadka dzieci. Miał z sobą malutki samolocik i pokazywał im, jak go puszczać w powietrze. Dzieci traktowały go jak równego sobie, nie jak dorosłego człowieka. Lady Mae była z tego bardzo dumna i bardzo szczęśliwa. Patrzyła na niego błyszczącymi oczyma, a potem zwróciła się do mnie i rzekła: „Wiesz, Bello, nie boją się go, bo jest garbaty. Nazywają go małym Garbuskiem — wydaje im się, że to ich stary znajomy z książki z bajkami. Mój biedny mały Garbusek! To wszystko z mojej winy. Upuściłam go, gdy był

maleńki...”

Głos jej się załamał. Przyłożyła chusteczkę do oczu.

— Więc powiedziała pani, że dzieci nazywały Drukкера małym Garbuskiem?...

Vance sięgnął powoli do kieszeni po papierośnicę.

Skinęła głową. Po chwili podniosła powieki z takim wyrazem, jakby chciała odważnie spojrzeć prawdzie w oczy.

— Tak! I to było właśnie takie dziwne. Gdy to powiedziała, zadrżała i odsunęła się od muru. Zapytałam, co jej jest, a ona z przestrawieniem w głosie: „Wyobraź sobie, Bello

wyobraź sobie, gdyby tak Adolf spadł z tego muru jak tamten mały Garbusek!” I ja się przeraziłam, ale zmusiłam się do uśmiechu i powiedziałam jej, że jest dziecinna. Ale nic to nie pomogło. Potrząsnęła głową i spojrzała na mnie takim wzrokiem, że przeszedł mnie dreszcz. „Nie jestem dziecinna — rzekła. — Czyż Gil nie zginął od strzały z łuku, a Janek Sprigg od kulki z ołowiu — tutaj, w samym środku Nowego Jorku?” — Bella zwróciła na nas trwożne spojrzenie. — I stało się... stało się... tak jak przewidziała.

— Tak. Stało się — potwierdził Vance. — Ale nie trzeba doszukiwać się w tym jakichś przyczyn nadnaturalnych. Pani Drukker miała chorą wyobraźnię i zamęczała się najdziwniejszymi przewidywaniami. Mając tak żywo w pamięci tamte dwa zabójstwa, siłą rzeczy obróciła przydomek, nadany synowi przez dzieci, w narzędzie nowej udręki. To, że zginął właśnie w taki sposób, jak się obawiała, jest prostym zbiegiem okoliczności. — Urwał i zaciągnął się dymem. — Panno Bello — zapytał niedbale — czy pani przypadkiem nie opowiadała komuś wczoraj swojej rozmowy z panią Drukker?

Popatrzyła na niego z pewnym zdziwieniem.

— Owszem, mówiłam o tym przy obiedzie. Byłam tak zdenerwowana, że musiałam się podzielić swoją obawą z innymi.

— Czy były jakieś komentarze?

— Stryj powiedział mi, że nie powinnam tak dużo przestawać z lady Mae, bo jest chorobliwie przeczulona. Dodał jeszcze, że sytuacja jej jest wprost krytyczna, ale że nie ma

potrzeby, żebym ja razem z nią cierpiała. Pan Pardee był tego zdania co stryj. Mówił ze współczuciem o lady Mae i pytał, czy nie można by jej leczyć.

— A pan Arnesson?

— O, Sigurd nigdy nie bierze niczego poważnie. Czasami wprost nie znoszę tej jego manieri. Roześmiał się, jakby chodziło o żart, i powiedział tylko, że szkoda by było, gdyby Adolf skrzył kark, zanim zdąży wypracować nową teorię kwantów.

— Å propos, czy pan Arnesson jest teraz w domu? — zapytał Vance. — Musimy się z nim porozumieć w sprawie pogrzebu.

— Poszedł wcześniej rano na uniwersytet, ale wróci przed lunchem. Jestem pewna, że się wszystkim zajmie. Przecież my byliśmy prawie jedynymi przyjaciółmi tych biedaków. Ja tymczasem przypilnuję, żeby Greta doprowadziła dom do porządku.

W parę minut później szliśmy do domu Dillardów na pogawędkę z profesorem.

## ROZDZIAŁ XIX CZERWONY NOTES

(Sobota, 16 kwietnia, popołudnie)

Profesor przyjął nas z wyraźnym niezadowoleniem. Siedział w fotelu, obrócony plecami do okna, mając przed sobą na stole szklankę ulubionego portwajnu.

— Oczekiwałem panów, prokuratorze — rzekł, nim zdążyliśmy się odezwać. — Nie ma co się łudzić. Śmierć Drukera nie jest z pewnością skutkiem nieszczęśliwego wypadku. Przyznam się, że o ile dotąd byłem skłonny dyskutować wariackie wnioski wynikające ze śmierci Gila i Sprigga, o tyle teraz, kiedy Pynn opowiedział mi, jak to było z tym upadkiem Drukera, zrozumiałem, że za tym wszystkim kryje się określony zamiar. Prawdopodobieństwo przypadkowości jest wykluczone. Wiecie o tym tak samo dobrze jak ja. Inaczej byście tu nie przyszli.

— Prawda. — Markham zajął miejsce na wprost profesora. — Stoimy w obliczu straszliwej zagadki. Co więcej, pani Druker zmarła wczoraj wieczorem wskutek wstrząsu, prawie w tej samej chwili co syn.

— To przynajmniej — zauważył Dillard po chwili — możemy uznać za błogosławieństwo losu. Lepiej, że go nie przeżyła, byłaby z pewnością wpadła w obłąd. — Podniósł oczy. — Czym mógłbym panom służyć?

— Pan profesor był prawdopodobnie ostatnim człowiekiem, który widział Drukera przy życiu. Naturalnie z wyjątkiem mordercy. Otóż chcielibyśmy, żeby nam pan opowiedział wszystko, co jest panu wiadome w związku z wydarzeniami wczorajszego wieczora.

Profesor skinął głową.

— Dobrze. Po obiedzie, o ósmej, przyszedł Druker. Pardee był u nas na obiedzie. Druker, zastawszy go, okazał niezadowolenie, powiedziałbym nawet: otwartą, wrogą niechęć. Arnesson wymawiał mu dobrodusznie jego



opryskliwość, co wprawilo go w jeszcze gorszy humor. Poniewaz Drukker chcial ze mną pomowic na temat swojej ksiazki, zaproponowalem mu przechadzke do parku...

— Ale pan profesor wrócił dość prędko — zauwazyl Markham.

— Tak. Zdarzyl sie przykry epizod. Poszliśmy aleją do konnej jazdy i zatrzymaliśmy się koło muru prawie w tym samym miejscu, gdzie, jak mówią, znaleziono biedaka. Rozmawialiśmy może pół godziny, oparci o kamienną balustradę, kiedy nadszedł Pardee. Chwilę z nami rozmawiał, ale Drukker tak mu docinal, że zawrócił i odszedł tą samą drogą, którą przyszedł. Drukker był ogromnie wzburzony, wobec czego zaproponowalem odloženie dyskusji na pózniej. Zresztą spadła gęsta mgła i zaczęło mi strzykać w nodze. Drukker zasepil się po swojemu. Powiedzial, że nie chce mu się jeszcze isc do domu. Zostawilem go więc samego i wróciłem.

— Czy pan mówil o tym Arnessonowi?

— Po powrocie do domu nie widzialem się z Sigurdem. Pewnie już spal.

Pózniej, gdyśmy się zabierali do odejścia, Vance zapytal zdawkowo:

— Czy móglby nam pan profesor powiedziec, gdzie tu trzymaja klucz od furtki w murze?

— Nie mam pojęcia, mój panie — odparł z irytacją profesor, po czym dodal troche grzeczniej: — Chociaz przypominam sobie, zwykle wisial na gwoździu koło drzwi w suterenie.

Od Dillarda udaliśmy się niezwłocznie do Pardee'ego. Przyjal nas w swoim gabinecie. Był sztywny i obojętny, i nawet gdyśmy zajęli krzesla, pozostal koło okna, mierzac nas nieprzychylnym wzrokiem.

— Czy pan wie, panie Pardee — zapytal Markham — że wczoraj wieczorem o dziesiątej, wkrótce po spotkaniu z panem, Drukker spadł z muru w parku i zabil się?

— Dowiedzialem się o wypadku dziś rano. — Pardee, i tak blady, zbladł jeszcze bardziej. Bawil się nerwowo dewizką od zegarka. — Co za nieszczęście! — Spojrzal bezmyślnie na Markhama. — Czy pan pytal o to profesora Dillarda? Był z

Drukkerem...

— Tak. Właśnie od niego idziemy — przerwał Vance. — Mówił, że pan i Drukker posprzeczaliście się wczoraj wieczorem.

Pardee podszedł wolno do biurka i usiadł sztywno.

— Drukker był z jakiegoś powodu niezadowolony, zastawszy mnie u Dillardów. Przyszedł po obiedzie. Był na tyle nietaktowny, że to okazał, wskutek czego powstała kłopotliwa sytuacja. Ale znając go, tak jak ja go znałem, starałem się to zatuszować. Wkrótce jednak profesor zabrał go z sobą na spacer.

— Pan długo nie zabawił? — rzucił obojętnie Vance.

— Po ich odejściu? Nie. Najwyżej kwadrans. Arnesson był zmęczony i chciał się położyć, wobec czego sam poszedłem na spacer. Wracalem nie bulwarem, lecz alejką do konnej jazdy. Koło muru natknąłem się na profesora i Drukкера. Nie chcąc się okazać niegrzecznym, przystanąłem na chwilę, ale Drukker był w szkaradnym humorze i dociął mi kilka razy. Zawróciłem do 79 Street, przeszedłem przez bulwar i wróciłem do domu.

— Czy pan nie zatrzymywał się po drodze?

— Owszem. Usiadłem na wprost 79 Street i wypaliłem papierosa.

Prawie półgodzinna konferencja z Pardee'em nie ujawniła niczego konkretnego. Gdyśmy wyszli na ulicę, z ganku domu Dillardów zawołał na nas Arnesson. Zeszedł się przywitać.

— Dowiedziałem się tylko co smutnej nowiny. Właśnie wróciłem z uniwersytetu. Profesor powiedział mi, że poszliście nękać Pardee'ego. Czy dowiedzieliście się czegoś? — Nie czekając odpowiedzi, ciągnął dalej: — Straszliwy bigos! Więc rodzina Drukkerów została starta z powierzchni ziemi! No, no!... I w dodatku znowu te reminiscencje z dziecinnych bajek... Macie jakieś poszlaki?

— Ariadna, jak dotąd, niełaskawa dla nas — odparł Vance. — Czy jesteś pan ambasadorem z Krety?

— Kto wie? Proszę pytać!

Vance skierował się w stronę furtki w murze. Przeszliśmy na tor łuczniczy.

— Najprzód udamy się do domu Drukkerów — rzekł.

— Mnóstwo formalności do załatwienia! Sądzę, że pan zajmie się wszystkimi sprawami i pogrzebem.

Arnesson skrzywił się.

— Mnie to przypało w udziale? Ale na pogrzeb nie pójdę. Ohydne widowisko — pogrzeb! Dobrze, Bella i ja zajmujemy się wszystkim. Lady Mae zostawiła prawdopodobnie testament. Będziemy go musieli znaleźć. Gdzie też kobiety chowają testament?...

Vance zatrzymał się przed drzwiami sutereny i wszedł do klubu. Rzuciwszy okiem na odrzwia, powrócił do nas na tor.

— Klucza nie ma. Panie Arnesson, nie wie pan o tym kluczu?

— Do drewnianej furtki w murze?... Nie mam pojęcia, gdzie on może być. Nigdy nie chodzę tamtą uliczką — o wiele prościej iść frontowymi drzwiami. Zresztą, o ile wiem, nikt tamtędy nie chodzi. Bella zamknęła ją na klucz kilka lat temu z obawy, żeby kto nie wszedł z tamtej strony i nie dostał strzałą w oko. Powiedziałem jej, że miałby za swoje. Niech nie będzie ciekawy!

Weszliśmy do domu żałoby od tyłu. Bella i Menzłowa były zajęte w kuchni.

— Halo, dziecinko! — zawołał Arnesson bez zwykłego cynizmu. — Ciężkie przejście dla takiej młodej osóбки jak ty! Idź teraz do domu. Ja tu obejmę komendę.

I ująwszy dziewczynę pod rękę, gestem żartobliwie ojcowskim poprowadził ją ku drzwiom.

Zawahała się i obejrzała na Vance'a.

— Pan Arnesson ma rację — potwierdził detektyw.

— Na razie my się tu rozgościmy. Ale jeszcze jedno pytanie, zanim pani odejdzie. Czy klucz od furtki w murze zawsze wisi w pokoju klubowym?

— Tak, zawsze. A dlaczego pan pyta? Czy go tam nie ma?

Odpowiedział Arnesson, krotocwilnie i zarazem ironicznie:

— Znikł! Przepadł! Tragedia! Najwidoczniej zakradł się jakiś ekscentryczny zbieracz kluczy i świsnął... — Kiedy Bella wyszła, zerknął na Vance'a. — Czemuż to, u wszystkich diabłów, zachciało się panu tego zardzewiałego klucza? Co on

ma do rzeczy?

— Może nic — odparł niedbale Vance. — Chodźmy do salonu. Tam będzie wygodniej. — Wyszedł do hallu.

— Może nam pan powie, co pan wie o wydarzeniach wczorajszego wieczora.

Arnesson zajął fotel koło okna i wydobyl fajkę.

— O wydarzeniach wczorajszego wieczora?... Dobrze... Więc Pardee był na obiedzie, jak zwykle w piątek. Po obiedzie zjawił się zaaferowany Drukker, aby pompować profesora w kwestii teorii kwantów. Widok Pardee'ego popsul mu humor. Okazał to. Nigdy nie umiał nad sobą panować. Profesor rozładował nieporozumienie zabrawszy go na spacer. Pardee marudził jeszcze z piętnaście minut, podczas gdy ja walczyłem z sennością, wreszcie raczył się wynieść. Przejrzałem kilka zadań i... położyłem się. — Zapalił fajkę. — Czy moja recytacja wyjaśniła panom przyczynę śmierci biednego Drukкера?

— Nie — odparł Vance. — Ale coś nam powiedziała. Czy słyszał pan, jak profesor wrócił do domu?

— Czy słyszałem? — zaśmiał się Arnesson. — Przy podagrze trudno się zachowywać cicho. Potyka się, stuka laską, trzęsie balustradą. Zawsze wiadomo, że to on. A już tej nocy po prostu rozbijał się po domu.

— Proszę, niech mi pan powie bez ogródek, co pan sądzi o tym nowym akcie tragedii? — zapytał po chwili ciszy Vance.

— Nie znam dobrze szczegółów. Profesor niewiele się rozwodzi. Krótko poinformował, że Drukker spadł z muru jak „Garbusek mały”, około dziesiątej wieczorem, i znaleziono go dziś rano. Jasne. Ale w jakich okolicznościach przeniosła się do wieczności lady Mae? Doznała wstrząsu? Ale co ją tak przeraziło? A może kto? I jak to się stało?

— Morderca zabrał klucz Drukkerowi i zaraz po zbrodni przyszedł tutaj. Pani Drukker przyłapała go w pokoju syna. Rozegrała się scena, w czasie której nieszczęśliwa kobieta dostała ataku serca i umarła. Kucharka podsłuchiwała na schodach.

— Z tego wynika, że lady Mae oszczędziła gościowi fatygi zabicia jej...

— To się wydaje oczywiste — zgodził się Vance. — Ale powód tej morderczej wizyty nie jest jasny. Jak by pan to wytłumaczył?

Arnesson pykał zamyślony z fajki.

— Niezrozumiałe — mruknął w końcu. — Drukker nie posiadał ani żadnych kompromitujących dokumentów, ani przedmiotów wartościowych. To był porządny człowiek. Nie maczał rąk w brudnych sprawach... Nie wyobrażam sobie powodu tej ukradkowej nocnej wizyty.

Vance rozparł się wygodnie w fotelu.

— Co to była za teoria kwantów, nad którą pracował Drukker?

— To była wielka rzecz! — ożywił się uczony. — Nasz nieszczęśliwiec był na drodze do pogodzenia teorii promieniowania Einsteina-Bohra z faktem interferencji światła i usunięcia sprzeczności zawartych w hipotezie Einsteina. Posunął się już tak daleko, że zastąpił dowolną czasowo - przestrzenną koordynację fenomenów atomicznych przez opis statystyczny<sup>6</sup>... Byłby zrewolucjonizował fizykę i stał się sławny. Co za szkoda, że go odwołano, zanim zdążył opracować przygotowany materiał.

— Czy pan nie wie, gdzie on trzymał notatki do obliczeń?

— W notesie — w luźnych arkusikach — ponumerowanych i zaopatrzonych w wykaz. Zawsze był bardzo systematyczny i porządny. Nawet pismo miał równe jak napisy na starych sztychach.

— Czy pan wie, jak ten notes wyglądał?

— No chyba! Często mi go pokazywał. Czerwona okładka z miękkiej skórki — cienkie żółte kartki — spinacze na kartkach z dołożonymi notatkami, nazwisko na okładce, tłoczone złotem, dużymi czcionkami... Biedne czło- wieczysko! Sic transit...

— Gdzie ten notes może być?

---

6 Ważnym krokiem w kierunku rozwiązania tych skomplikowanych zagadnień była rozwinięta w kilka lat później teoria de Broglie-Schrödinger, którą de Broglie wyłożył w *Mechanice falowej*, a Schrödinger w *Abhandlungen zur Wellenmechanik*.

— W jednym z dwóch miejsc — albo w szufladzie dużego biurka w gabinecie, albo w biureczku w sypialni. Naturalnie w dzień przesiadywał w gabinecie, ale ogarnięty gorączką pracy nie przepuszczał nawet nocy. Miał drugie biurko w sypialni, na wszelki wypadek, gdy mu przyszło natchnienie w nocy. Z rana przechodził do gabinetu. Pracował jak maszyna.

Vance wyglądał leniwie oknem, jakby nie słuchał. Nagle odwrócił się i utkwił w Arnessonie senne spojrzenie.

— Czyby pan był łaskaw pójść na górę i przynieść nam ten notes? — zapytał przeciągle. — Niech pan zajrzy i do sypialni, i do gabinetu.

Wydało mi się, że uczoney zawahał się lekko. Wstał jednak i rzekł:

— Dobra myśl! Zbyt cenne papiery, aby je tak zostawić.

Z tymi słowy opuścił salon.

Markham zaczął się przechadzać po pokoju, a Heath dał wyraz swemu zdenerwowaniu zaciągając się energicznie cygarem. Czekaliśmy na powrót Arnessona w napiętym milczeniu. Każdy z nas czegoś się spodziewał i czegoś lękał, choć nie potrafilibyśmy powiedzieć czego.

Upłynęło około dziesięciu minut. Arnesson ukazał się w progu. Wzruszył ramionami i pokazał nam puste ręce.

— Nie ma! — oznajmił. — Przeszukałem wszystkie możliwe kąty... Jak kamień w wodę. — Rzucił się na fotel i zapalił fajkę.

— Nie rozumiem... Może gdzieś schował?

— Może — mruknął Vance.

## ROZDZIAŁ XX NEMEZYS

(Sobota, 16 kwietnia, godz. 1 po południu)

Było już po pierwszej, wobec czego we trzech, z Markhamem i Vance'em, pojechaliśmy do klubu, pozostawiając na miejscu Heatha. Sierżant miał załatwić różne formalności, napisać raport i rozprawić się z reporterami, których najścia należało się spodziewać lada chwila.

Markham miał mieć o trzeciej konferencję z komisarzem policji. Po lunchu poszedłem z Vance'em oglądać kwiatowe dekoracje Georgii O'Keeffe'ego, wystawione w Intimate Gallery Stieglitza. Później wpadliśmy do Aeolian Hall i wysłuchali kwartetu G-minor Debussy'ego. Byliśmy również na wystawie akwarel Cezanne'a. Gdyśmy się znaleźli w zatłoczonej Fifth Avenue, zapadł już zmierzch i Vance kazał szoferowi jechać do Klubu Stuyvesant, gdzie wypiliśmy z Markhamem herbatę.

— Czuję się tak młodzieńczo naiwny — lamentował żalobnie Vance. — Dzieją się rzeczy tak zagadkowe, że nie mogę ich rozgryźć. Ach, jakież to denerwujące! Jakie rozstrajające! Do licha! Do licha! Do licha! — wzdychał ciężko, popijając herbatę.

— Nie współczuję ci — odparł cierpko Markham. — Pewnie spędziłeś popołudnie w Muzeum Stołecznym, na oglądaniu rusznic i muszkietów. Gdybyś przeszedł, co ja przeszedłem...

— No, nie gniewaj się — powiedział Vance, starając się go udobruchać. — Ludzie mają tę wadę, że się zanadto emocjonują. Nie rozwiążesz tej zagadki złościąc się. Cała nasza nadzieja w logicznym myśleniu. Bądźmy spokojni i myślm. — Spowaźniał. — Wiesz, Markham, zdaje się, że doczekaliśmy się prawie idealnej zbrodni. To coś jak wielkie kombinacje szachowe Morphy'ego, w których przewidziano dwadzieścia posunięć z góry. Nie ma żadnych poszlak, a nawet gdyby były, to pewno by się okazały fałszywe. A jednak... a jednak coś usiłuje przebić skorupkę i wyłonić się na światło

dzienne. Czuję to: prosta intuicja — to jest: nerwy. Słyszę jakiś głos, który chce przemówić, a nie może. Już kilkanaście razy odczuwałem obecność jakiejś przemożnej siły, coś jakby niewidzialny duch usiłował nawiązać kontakt, nie objawiając swej tożsamości.

Markham westchnął z desperacją.

— To dużo. Czy może radziłbyś wezwać medium?

— Musieliśmy coś przeoczyć — ciągnął Vance ignorując sarkastyczny docinek przyjaciela. — Ta sprawa to po prostu szyfr, do którego klucz mamy na oczach, a nie wiemy, że to klucz. Do licha, można oszaleć... Bądźmy systematyczni. To powinno być naszym hasłem. Pierwsze: Gil zabity. Drugie: Sprigg zastrzelony. Trzecie: Groźny gość nocny u pani Drukker. Czwarte: Drukker zepchnięty z muru. Cztery oddzielne epizody morderczej bufonady. Trzy z nich zostały obmyślane bardzo starannie. Jeden — pozostawienie figury szachowej na kłamce pokoju pani Drukker — był zaimprovizowany. Morderca znalazł się w trudnym położeniu i musiał działać natychmiast...

— Tego nie rozumiem...

— Och, mój drogi! Osobnik, który przyniósł czarnego gońca-biskupa, działał najwidoczniej w samoobronie. Znalazł się w niebezpieczeństwie i uciekł się do takiego chwytu. Na chwilę przed śmiercią Gila Drukker opuścił pokój klubowy i usiadł w altance na podwórku, skąd naturalnie mógł widzieć, że Gil z kimś rozmawia. Powrócił do domu i w tej chwili ciało Gila zostało wyrzucone na tor łuczniczy. Świadkiem tego incydentu była pani Drukker, która prawdopodobnie zobaczyła w tej samej chwili wracającego syna. Krzyknęła — rzecz zrozumiała, prawda? Drukker usłyszał ten krzyk i powiedział nam to później, kiedy już powiadomiliśmy go o morderstwie, w celu zabezpieczenia sobie alibi. Tym sposobem morderca dowiedział się, że pani Drukker coś widziała — ale co? Nie wiedział. Naturalnie nie mógł zlekceważyć niebezpieczeństwa i udał się do niej o północy, aby ją uciszyć raz na zawsze i pozostawić przy jej ciele czarnego gońca-biskupa, swoistego rodzaju podpis. Znalazłszy drzwi zamknięte na klucz, zostawił



go na kłamce. Miało to oznaczać nakaz milczenia pod karą śmierci. Nie domyślał się, że biedna kobieta podejrzewała własnego syna.

— Ale dlaczego Drukker nie powiedział nam, kogo widział w suterenie z Gilem?

— Pewnie dlatego, że nie sądził, aby ten człowiek mógł być winien zbrodni. Jestem pewny, że powiedział o tym temu człowiekowi i w ten sposób wydał wyrok na siebie.

— Przypuśćmy, że twoja teoria jest zgodna z prawdą, to cóż stąd za wnioski?

— Ten, że jeden akt dramatu nie został przygotowany starannie z góry, lecz zaimprovizowany. Jeżeli zaś ukradkowy czyn nie jest dziełem ostrożnego namysłu, to można być prawie pewnym, że znajdują się jakieś niedociągnięcia. Proszę zauważyć, że w czasie trzech morderstw mógł być ktoś przypadkowy na miejscu zbrodni. Żadna z osób dramatu nie miała alibi. Było to przygotowane z mądrą przezornością; morderca wybrał godzinę, w której wszyscy aktorzy byli, że się tak wyrażę, za kulisami. Ale ta nocna wizyta! A! tu jest szkopa! Nie było czasu na wypracowanie doskonałego zbiegu okoliczności — groźba wisiała w powietrzu. Co z tego wynikło? Jak się zdaje, jedynymi „podręcznymi” osobami o północy byli: Drukker i profesor Dillard. Arnesson i Bella byli na kolacji poza domem i powrócili dopiero o wpół do pierwszej. Pardee śleczął nad szachownicą z Rubinsteinem od jedenastej do pierwszej. Drukker już nie wchodzi w grę. Więc?... Dokończcie sami!

— Zapominasz — rzekł z irytacją Markham — że alibi pozostałych osób nie zostało sprawdzone z całą dokładnością.

— Tak?!!!

Vance rozłożył się niedbale w fotelu i zaczął wydmuchiwać pod sufit równe kółka dymu. Nagle usiadł prosto, sięgnął do popielniczki i zgasił ostrożnie papierosa. Spojrzawszy na zegarek, wstał.

— Allons, mon vieux — rzekł z humorem do Markhama. — Nie ma jeszcze szóstej. Teraz przyda nam się Arnesson.

— Co znowu? — zaprotestował prokurator.

— Wprowadzam w czyn twoją radę — odparł Vance, biorąc go pod rękę i prowadząc ku drzwiom. — Pójdziemy sprawdzić alibi Pardee’ego.

W pół godziny później siedzieliśmy w bibliotece z profesorem i z Arnessonem.

— Przybyliśmy w trochę niezwykłej sprawie — zaczął Vance — ale możliwe, że dla przewodu sądowego będzie ona miała zasadnicze znaczenie. — Wyjął portfel, a z niego arkusz papieru. — Panie Arnesson, chciałbym, żeby pan przestudiował ten dokument. To jest urzędowy odpis diagramu partii rozegranej między Pardee’em i Rubinsteinem. Bardzo interesujące. Trochę się nad tym zastanawiałem, ale chciałbym, żeby pan przeprowadził fachową analizę. Pierwsza część jest właściwie banalna, ale druga, rozegrana po przerwie, wydaje mi się godna uwagi.

Arnesson przejrzał papier z cynicznym uśmiechem.

— A! niesławne świadectwo przegranej naszego szachisty! Jego Waterloo, co?

— Co to ma znaczyć, prokuratorze? — zapytał pogardliwie profesor Dillard. — Czy spodziewacie się, panowie, zdemaskować mordercę ślęcząc nad szachami?

— Vance ma nadzieję, że się czegoś dokopie.

— Rzeczywiście!

Profesor nalał sobie nową szklanekę portwajnu i otworzywszy książkę, zagłębił się bez ceremonii w lekturze.

Arnesson zastanawiał się nad diagramem.

— Coś tu dziwnego — mruknął. — Nie rozumiem. Taka różnica czasów! Zastanówmy się... Do chwili zawieszenia gry, biały — to jest Pardee — grał godzinę i czterdzieści pięć minut, a czarny, to jest Rubinstein, godzinę i pięćdziesiąt osiem minut. Dobrze. Trzydzieści ruchów. W porządku. Ale w końcowej fazie gry, kiedy Pardee dał za wygraną, wypadło dwie godziny i pół dla białego i trzy godziny i trzydzieści dwie minuty dla czarnego, to znaczy, że podczas końcowej rozgrywki biały grał tylko czterdzieści pięć minut, a czarny godzinę i trzydzieści cztery minuty.

Vance skinął głową.

— Właśnie. Gra została wznowiona o jedenastej wieczorem i skończyła się o pierwszej minut dziewiętnaście. Trwała dwie godziny i dziewiętnaście minut. I w tym czasie Rubinstein grał dłużej od Pardee'ego o czterdzieści dziewięć minut. Czy pan pojmuje, co się stało?

Arnesson zaciął usta i spojrzął na notatki.

— Nie pojmuję. Muszę się zastanowić.

— Proponowałbym — rzekł Vance — rozegranie partii od tej chwili, kiedy została zawieszona. Bardzo mi zależy na pańskim zdaniu w tej kwestii.

Uczony zerwał się i podszedł do stolika z szachownicą.

— Dobra myśl. — Wyjął bierki z pudełka. — Rozpatrzmy się... Oho! Brakuje czarnego gońca. A propos, kiedy mi go zwrócicie? — spojrzął na Vance'a z żalną pretensją. — No, mniejsza z tym. Obejdziemy się bez niego. Jeden czarny goniec i tak był sprzątnięty.

Ustawiwszy bierki podług stanu gry w chwili zawieszenia partii, usiadł i przyjrzał się szachownicy.

— Pardee nie był jednak w szczególnie niekorzystnej sytuacji — zauważył Vance.

— Jestem tego samego zdania. Nie rozumiem, dlaczego przegrał. Hm! Ciekawe! — Zajrzał do arkusza. — Przegramy partię i zobaczymy, gdzie tu jest sęk. — Zrobił ze sześć posunięć i po kilku minutach namysłu chrząknął.

— Ha! Ależ ten Rubinstein ma głowę! Od tego miejsca zaczął zdumiewającą kombinację. Przebiegły, jak Boga kocham! O ile znam Rubinsteina, musiało mu to zająć masę czasu. On nie idzie do celu, ale wlecze się.

— A więc — podsunął Vance — możemy przypuścić, że wypracowanie tej kombinacji zajęło Rubinsteinowi tyle czasu, że stąd wynika taka różnica między czarnym i białym?

— O! niewątpliwie! Rubinstein musiał być w dobrej formie, bo inaczej różnica byłaby jeszcze większa. Albo jestem osioł, albo obmyślenie tej kombinacji zajęło mu czterdzieści pięć minut.

— O której godzinie — zapytał niedbale detektyw — mogła się skończyć ta czterdziestopięciominutowa przerwa?

— Zaraz zobaczymy. Gra rozpoczęła się o jedenastej. Kombinacja zaczęła się po sześciu ruchach... Powiedziałbym, gdzieś między wpół do dwunastej i wpół do pierwszej... Tak, tak! Przed zawieszeniem gry — trzydzieści posunięć, o jedenastej — sześć, to znaczy, razem trzydzieści sześć. W czterdziestym czwartym ruchu Rubinstein posunął piona na pole c2 z szachem i Pardee zrezygnował. Tak, obmyślenie kombinacji wypadło między wpół do dwunastej i wpół do pierwszej.

Vance popatrzył na bierki na szachownicy, ustawione tak, jak w chwili rezygnacji Pardee'ego<sup>7</sup>.

— Z ciekawości przegrałem tę partię wczoraj wieczorem — zauważył spokojnie. — Do mata włącznie. Może pan zrobi to samo. Chciałbym usłyszeć pański komentarz.

Arnesson studiował uważnie pozycję przez kilka minut, wreszcie odwrócił głowę i spojrzał na Vance'a. Twarz jego zmarszczyła się w sarkastycznym uśmiechu.

— Rozumiem. Boże mój, co to za sytuacja? Czarnym pozostawało do zupełnego zwycięstwa pięć ruchów. Po prostu niesłychany finał! Nie przypominam sobie podobnego wypadku. Ostatnim posunięciem byłoby: goniec-biskup na b2 i mat. Innymi słowy, Pardee został pobity przez czarnego gońca-biskupa. Niewiarygodne!<sup>8</sup>

Profesor Dillard odłożył książkę.

— Co takiego? — wykrzyknął podchodząc do stolika z szachownicą. — Pardee został pobity przez gońca-biskupa? — rzucił Vance'owi pełne podziwu przenikliwe spojrzenie. — Najwidoczniej miał pan powód, żeby przestudiować tę grę. Proszę, nie miej pan za złe staremu człowiekowi złych manier.

Stał, patrząc na szachownicę z wyrazem smutnego zdziwienia.

---

<sup>7</sup> Dla użytku biegłych szachistów, których ta partia zainteresuje, podaję dokładną pozycję w chwili rezygnacji Pardee'ego... Białe: Kbl, Wcl, piony a2 i d2. Czarne: Kd4, Sb4, Ga3, piony b2 i c2.

<sup>8</sup> Końcowe nie wykonane ruchy czarnych do osiągnięcia mata, jak później dowiedziałem się od Vance'a, były: 45. Wcl:c2, Sb4:c2. 46. Kb2:c2, b2 — blH. 47. Kc2:bl, Kd4 — d3. 48. Kbl — al. Kd3 c2. 49. D2 — d3, Ga3 — b2 mat.

Markham marszczył czoło zakłopotany.

— Więc pan uważa, że to niesłychane, aby goniec-biskup dał mata? — zapytał Arnesson.

— Nigdy się to nie zdarza, sytuacja jedyna w swoim rodzaju. I że to się właśnie zdarzyło Pardee'emu! Nie do wiary! — Roześmiał się krótko, ironicznie. — I nie wierz tu, człowieku, w nemezys! Wiecie, że przez dwadzieścia lat goniec był béte noire Pardee'ego. Zrujnował mu życie. Biedny chłop! Czarny goniec jest symbolem jego przegranej życiowej! Jak Boga kocham, przeznaczenie! To właśnie goniec-biskup rozbił gambit Pardee'ego. Goniec-biskup zagrażający skoczkowi stale unicestwiał jego kombinacje — zdyskwalifikował jego ulubioną teorię i wydał dzieło jego życia na pośmiewisko. I teraz, kiedy się zdarzyła okazja pobicia wielkiego Rubinsteina, zjawia się na scenie goniec-biskup i spycha ponownie naszą sławę w mroki zapomnienia.

W kilka minut później pożegnaliśmy się i poszliśmy na West End Avenue, gdzie wsiedliśmy do taksówki.

— Nic dziwnego, Vance zauważył w drodze Markham — że Pardee taki się zrobił błąd, kiedyś mu wspomniał, że czarny biskup znów działa. Pewnie mu się wydało, że go rozmyślnie znieważasz, rzucając w twarz przegraną jego życia.

— Może... — Vance patrzył w zadumie na zapadający zmierzch. — Dziwne to, że biskup był jego zmorą przez tyle lat! Takie powtarzające się przegrane rozstrajają czasami najodporniejsze umysły. Rodzi się wtedy pragnienie zemsty nad całym światem, przy czym przyczyna niepowodzeń przeobraża się w pewnego rodzaju symbol astreański.

— Trudno sobie wyobrazić Pardee'ego w takiej roli. On nie jest mściwy! — zaproponował Markham i po chwili dodał: — Dlaczego tak cię zainteresowała różnica w czasie między Pardee'em i Rubinsteinem? Przypuśćmy, że Rubinstein zużył czterdzieści pięć minut na obmyślenie swojej kombinacji, to gra skończyła się przecież dopiero po pierwszej. Nie widzę, żeby twoja szachowa konferencja z Arnessonem posunęła nas choć o krok naprzód.

— Bo nie znasz zwyczajów szachistów. W trakcie zegarowej

gry tego rodzaju żaden gracz nie siedzi przy szachownicy przez cały czas, kiedy przeciwnik obmyśla posunięcia. Przeciwnie. Przechadza się po salach rozprostowując członki, wychodzi na świeże powietrze, robi oko do dam, orzeźwia się zimnymi napojami, nawet je. W zeszłym roku w czasie mistrzowskiego turnieju szachowego w naszym klubie grano przy czterech szachownicach i zdarzało się często, że trzy krzesła jednocześnie bywały nie zajęte. Pardee jest nerwowy i nie usiedziałyby z pewnością na miejscu tak długo, jak Rubinstein obmyślał swoją kombinację.

Vance zapalił powoli papierosa.

— Słuchaj, Markham, analiza gry, przeprowadzona przez Arnessona, wykazuje, że Pardee miał około północy trzy kwadranse wolnego czasu. Rozumiesz?

## ROZDZIAŁ XXI MATEMATYKA I MORDERSTWO

(Sobota, 16 kwietnia, godz. 8.30 wieczorem)

Podczas obiadu nie było mowy o śledztwie, ale gdy przenieśliśmy się w zaciszny kąt salonu klubowego, Markham powrócił znów do dręczącego nas tematu.

— Nie widzę — rzekł — żeby odkrycie luki w alibi Pardee’ego mogło się nam na co przydać. Po prostu sytuacja stała się jeszcze bardziej skomplikowana, i na tym koniec.

— Tak — westchnął Vance. — Podle jest na tym świecie. Im dalej się posuwamy, tym ciemniej. A co jest najbardziej zdumiewające, to nie to, że prawda patrzy nam w twarz, tylko że my nie możemy jej zobaczyć.

— Nie ma dowodów przeciwko nikomu. Nie ma ani jednej takiej osoby, przeciwko której można by skierować podejrzenie, bo wszystkie dramatis personae stoją na zbyt wysokim poziomie etycznym.

— Tego bym nie powiedział. Jest to zbrodnia matematyczna, a scena roi się od matematyków. W trakcie całego śledztwa nie pokazano palcem na nikogo jako na możliwego mordercę. Pomimo to zdawaliśmy sobie sprawę, że krył się on wśród ludzi, z którymi przestawaliśmy prawie dzień w dzień. Świadomość ta była tak okropna, że wzdragaliśmy się instynktownie przed wypowiedzeniem jej głośno. Od samego początku przyodziewaliśmy nasze prawdziwe myśli i obawy w szaty ogólników.

— Zbrodnia matematyczna? — powtórzył Markham. — Na mnie ta sprawa robi wrażenie serii bezsensownych czynów, popełnianych przez szaleńca, który wpadł w morderczy szal.

Vance potrząsnął głową.

— Nasz zbrodniarz jest genialny, przyjacielu, i jego czyny nie są bezsensowne, przeciwnie, są obrzydliwie logiczne i przemyślane. Prawda, że narodziły się ze strasznego, ponurego zmysłu humoru i bezgranicznego cynizmu, ale same w sobie są

rzeczowe i racjonalne. Markham spojrział uważnie na Vance'a.

— Jakże ty pogodzisz te mordy, wzorowane na dziecinnych bajkach, z umysłem matematyka? — zapytał. — Pod jakim względem można je uważać za logiczne? Dla mnie to są szaleńcze halucynacje, nie mające nic wspólnego ze zdrowym rozumem. Vance usadowił się wygodnie w fotelu i otoczył obłokiem dymu. Przez kilka minut milczał, po czym przeprowadził na głos analizę sprawy, która to analiza nie tylko zbiła pozorne niedorzeczności, jakieśmy przypisywali tym mordom, ale nadała wypadkom i osobom jednolitą perspektywę. Nie upłynęło wiele dni, a prawdziwość tej analizy narzuciła się nam z przemożną i tragiczną siłą.

— Aby zrozumieć te zbrodnie — zaczął — musimy się zastanowić nad zakresem wiedzy matematyka, gdyż wszystkie jego spekulacje i obliczenia deprecjonują, siłą rzeczy, naszą planetę i uwydatniają nicość ludzkiego bytowania. Rozpatrzmy tylko, jakie przepastne perspektywy roztaczają się przed jego okiem. Z jednej strony usiłuje on zmierzyć nieskończoną przestrzeń w jednostkach parseków, a z drugiej elektron, tak nieskończenie mały, że aby go zmierzyć, Rutherford musiał stworzyć jednostkę miary — milionową część milimikrona. Wizja jego obejmuje transcendentalne bezmiary, wobec których Ziemia i jej mieszkańcy rozpływają się nieomal w nicość. Niektóre gwiazdy — jak na przykład Arktur, Kanopus i Betelgeza — wydające się na niebie punktami świetlnymi, są o wiele masywniejsze niż cały nasz system słoneczny. Shapleigh obliczył średnicę Drogi Mlecznej na trzysta tysięcy lat świetlnych, a przecież, żeby otrzymać średnicę wszechświata, musimy wziąć dziesięć tysięcy Dróg Mlecznych, co daje nam pojemność kubiczną tysiąc miliardów razy większą niż zasięg obserwacji astronomicznych. Albo, wyrażając to w terminach masy — waga Słońca jest trzysta dwadzieścia cztery tysiące razy większa od wagi Ziemi, a waga wszechświata obliczona jest na trylion<sup>9</sup> słońc — miliard milionów... Czy wobec tego można się

---

<sup>9</sup> Vance używa trylionu angielskiego, który jest trzecią potęgą miliona. W amerykańskim i francuskim systemie numeracji trylion to po prostu milion milionów.



dziwić, że człowiek mający stale do czynienia z tak kolosalnymi wielkościami może stracić poczucie ziemskich proporcji?

Vance wykonał lekki ruch.

— Ale to są cyfry elementarne, którymi operują matematycy niższego rzędu. Wyższa matematyka idzie znacznie dalej, posługując się zawiłymi i pozornie sprzecznymi koncepcjami, których przeciętny umysł nawet pojąć nie może. Matematyka żyje w królestwie, gdzie czas taki, jaki my znamy, jest bez znaczenia i ma sens tylko jako wymysł umysłu, stając się czwartą współrzędną trójwymiarowej przestrzeni. Gdzie również odległość jest bez znaczenia, o ile nie chodzi o sąsiednie punkty. Wobec tego, że między jakimikolwiek dwoma danymi punktami istnieje nieskończona liczba najprostszych dróg; gdzie pojęcia przyczyny i skutku zamieniają się po prostu w wygodną stenografię wyjaśniającą; gdzie linie proste nie istnieją i nie podlegają określeniu; gdzie masa, osiągnąwszy szybkość światła, staje się nieskończenie wielka; gdzie krzywe charakteryzują przestrzeń; gdzie rozróżnia się wyższe i niższe stopnie nieskończoności; gdzie prawo grawitacji jest zdetronizowane i zastąpione przez właściwość przestrzeni — koncepcję, która orzeka, że jabłko spada nie dlatego, że jest przyciągane przez ziemię, ale dlatego, że idzie za linią geodezyjną, czyli „linią świata”...

W tym królestwie współczesnego matematyka krzywizny istnieją bez stycznych. Ani Newton, ani Leibnitz, ani Bernoulli nie marzyli o krzywiznie ciągłej bez stycznej, to jest o funkcji ciągłej bez współczynnika dyferencyjnego. W samej rzeczy nikt nie potrafi przedstawić sobie takiej sprzeczności — leży ona poza granicami wyobraźni. A jednak dla matematyki współczesnej krzywizny bez stycznych są rzeczą powszednią. Co więcej,  $\pi^{10}$  — nasz stary przyjaciel ze szkolnej ławy, uważany przez nas za wielkość niezmienną — nie jest już stałą. Stosunek między średnicą i obwodem zmienia się teraz zależnie od tego, czy mierzy się koło będące w spoczynku, czy w ruchu obrotowym... Ale może ja was nudzę?

— Niewątpliwie — odparł Markham — ale proszę, mów dalej, byłeś tylko leciał w kierunku Ziemi.

Vance westchnął i potrząsnął beznadziejnie głową, ale znów spowaźniał.

— Koncepcje matematyki współczesnej wyrzucają człowieka za nawias realnego świata, w bezmiar czystej fikcji myślowej, i prowadzą do tego, co Einstein nazywa najbardziej zdegenerowaną formą wyobraźni mianowicie do indywidualizmu patologicznego. Silberstein na przykład dowodzi możliwości istnienia pięcio- lub sześciowymiarowej przestrzeni i zastanawia się, czy człowiek może widzieć wypadek, który ma się dopiero zdarzyć. Wnioski wypływające z koncepcji flammarijonowskiego Lumena<sup>11</sup> — fikcyjnej osoby, która podróżuje szybciej niż światło i przez to może przeżywać czas wstecz — wystarczą same przez się, aby spacyć naturalny, normalny punkt widzenia. Ale jest jeszcze inny koncepcyjny homunculus, z punktu racjonalnego myślenia dziwniejszy od Lumena. Ten hipotetyczny twór może przebywać z nieskończoną chyżością wszystkie światy naraz, tak że wystarczy mu jedno spojrzenie, aby objąć całe dzieje ludzkości. Z Alpha Centauri może widzieć Ziemię taką, jaką była przed czterema laty, z Drogi Mlecznej taką, jaką była przed czterema tysiącami lat. Może również wybrać sobie taki punkt w przestrzeni, z którego będzie jednocześnie świadkiem i epoki lodowcowej, i dnia dzisiejszego!...

Vance zasiadł głębiej w fotelu.

— Sama myśl o nieskończoności może wytrącić z równowagi umysłowej przeciętnego człowieka. A cóż dopiero mówić o dobrze znanym twierdzeniu fizyki nowoczesnej, że nie możemy

---

<sup>11</sup> Lumena wymyślił francuski astronom, żeby wykazać możliwości odwrócenia czasu. Lumen podróżuje w przestrzeni z szybkością 250 000 mil na sekundę. Wyrusza w podróż, gdy się kończy bitwa pod Waterloo, i dogania promienie światła, które opuściły pole bitwy. Zwiększając stopniowo szybkość, po dwóch dniach widzi nie koniec, lecz początek bitwy w odwrotnym kierunku wydarzeń. Pociski uciekają od przedmiotów, które przebiły, i wracają do luf armatnich. Polegli zmartwychwstają i ustawiają się w szyku bojowym. Druga hipotetyczna przygoda Lumena to skok na Księżyc, natychmiastowy zwrot i skok na Ziemię tyłem.

wyruszyć w przestrzeń prosto przed siebie, żeby nie wrócić do punktu wyjścia! To znaczy, że możemy frunąć prosto na Syriusza i milion razy dalej nie zmieniając kierunku, a nie uda nam się wydostać poza granice wszechświata, bo w końcu powrócimy do punktu wyjścia z przeciwnej strony. Jak sądzisz, Markham, czy ta koncepcja jest zgodna z tym, co nazywamy dziwacznie normalnym myśleniem? Ale jakkolwiek paradoksalne i niezrozumiałe może się wydać to twierdzenie, to w porównaniu z innymi twierdzeniami fizyki matematycznej jest ono prawie elementarnym początkiem. Zastanówmy się na przykład nad tak zwanym problemem bliźniąt. Jedno z dwojga bliźniąt wyrusza w chwili urodzenia na Arkturze ruchem przyśpieszonym, w polu grawitacyjnym — i powróciwszy, przekonuje się, że jest o wiele młodsze od brata. Jeżeli zaś przypuścimy, że ruch bliźniąt jest galileuszowski, to jest, że podróżują w stosunku do siebie ruchem jednostajnym, wtedy każde z bliźniąt przekona się, że jego brat jest odeń młodszy...

Nie są to paradoksy logiki, Markham, lecz paradoksy uczuciowe. Matematyka wyjaśnia je logicznie i naukowo.<sup>12</sup> Celem moich wywodów jest wykazać, że rzeczy dla mentalności matematycznej zwyczajne, umysłowi laika przedstawiają się jako stek sprzeczności, a nawet absurdów. Taki matematyko-fizyk jak Einstein oznajmia światu, że średnica przestrzeni — zwróćcie uwagę — p r z e s t r z e n i — wynosi sto tysięcy lat świetlnych, czyli siedemdziesiąt trylionów mil, i uważa ten rachunek za elementarny. Jeżeli zapytamy, co się znajduje poza tą średnicą, otrzymamy odpowiedź: „Nie ma żadnego «poza», te granice obejmują wszystko!” Innymi słowy: nieskończoność jest skończona! Albo, jak by to określił człowiek nauki: przestrzeń jest bezgraniczna, ale skończona. Zrób próbę, Markham, i pomedytuj nad tym pół godziny, a będzie ci się zdawało, że jesteś bliski obłądu.

---

<sup>12</sup> Na prośbę Vance'a wspomnę tutaj o naukowym traktacie A. d'Abro pt. *The Evolution of Scientific Thought*, w którym czytelnik znajdzie doskonale omówienie paradoksów wynikających z koncepcji czasowo-przestrzennej.

Urwał na chwilę i zapalił papierosa.

— Przestrzeń i materia — oto spekulacyjna domena matematyka. Eddington pojmuję materię jako właściwość przestrzeni — guz w nicości, podczas gdy Weyl pojmuję przestrzeń jako właściwość materii — dla niego pusta przestrzeń jest pojęciem bez znaczenia. W ten sposób kantowski noumen i fenomen stają się zamienne i nawet filozofia traci wszelki sens. A kiedy weźmiemy jeszcze pod rozwagę matematyczne koncepcje skończoności przestrzeni, wszelkie racjonalne prawa myślenia upadają. De Sitter przypisuje przestrzeni formę kulistą lub sferyczną. Einsteińska przestrzeń jest cylindryczna i na jej peryferiach materia zbliża się do zera. Przestrzeń Weyla, oparta na mechanice Macha, ma kształt siodła... A teraz pomyślcie, co się dzieje z naturą, ze światem, w którym żyjemy, wreszcie z egzystencją ludzką, jeżeli je przeciwstawimy takim koncepcjom? Eddington chciałby dowieść, że żadne naturalne prawa nie istnieją — to jest, że natura nie daje się sprowadzić do dostatecznej racji. Biada ci, Schopenhauerze!<sup>13</sup> Warto również zaznaczyć, że Bertrand Russell streszcza nieuniknione rezultaty fizyki nowoczesnej w hipotetycznym twierdzeniu, że materię trzeba interpretować po prostu jako łańcuch wydarzeń i że materia jako materia może sobie nie istnieć... Czy rozumiecie, do czego to wszystko prowadzi? Jeżeli świat nie rządzi się prawem przyczynowości i faktycznie nie istnieje, to czymże jest wobec tego istnienie ludzkie lub istnienie narodu, a nawet w ogóle samo istnienie?...

Vance spojrział na nas, a Markham pokiwał głową z powątpiewaniem.

— Dotychczas cię rozumiem — rzekł. — Ale nie bardzo się orientuję, do czego zmierzasz. Powiedziałbym, że twoje wywody mają charakter ezoteryczny.

— Czy można się dziwić — ciągnął Vance — że człowiek operujący tak kolosalnymi, tak niewspółmiernymi pojęciami,

---

<sup>13</sup> W swej dyplomowej rozprawie Vance zajmował się traktatem Schopenhauera pt. *Poczwórne źródło twierdzenia o podstawie dostatecznej*.

wobec których indywidualności ludzkiego społeczeństwa stają się wielkościami nieskończone mały, może stracić z czasem wszelkie poczucie wartości ziemskich i zacząć lekceważyć życie ludzkie jako rzecz bez sensu? Stosunkowo nieważne sprawy tego świata stają się wtedy po prostu drobiazgowymi naleciałościami na makrokosmosie jego świadomości. Nieuniknionym skutkiem takiego stosunku do życia jest cynizm. Taki człowiek wydrwiwa w duszy wszelkie ludzkie wartości i szydzi z otaczających go zjawisk, gdyż w skali jego światopoglądu są one niczym. W parze z cynizmem może iść sadyzm, bo ostatecznie cynizm jest formą sadyzmu...

— Ale zaplanowane morderstwo z premedytacją...! — zaoponował Markham.

— Zastanów się nad psychologiczną stroną sprawy. U człowieka normalnego, który dzień w dzień zażywa wytchnienia i rozrywki, nie dochodzi do zachwiania równowagi między działaniem świadomym i podświadomym. Stale rozpraszane emocje nie mogą się akumulować. Ale u człowieka anormalnego, który spędza czas li tylko na intensywnej, skoncentrowanej pracy umysłowej i który tłumi w sobie wszelkie uczucia, te uczucia spychane za próg świadomości mogą się wyładować wybuchowo. Długotrwały przymus i bezustanny wysiłek mózgowy bez rozrywki, bez wyładowania, powodują eksplozję, która często przybiera potworną formę. Żadna istota ludzka, choćby o najwyższym rozwoju intelektualnym, nie może uniknąć skutków pogwałcenia praw natury. Matematyk nie uznający praw natury podlega im tak samo jak inni. Co więcej, jego głębokie zatopienie się w hiperfizycznych problemach powiększa tylko napór emocji, jakie w sobie dławi. Znieważona natura, dążąc do utrzymania równowagi, powoduje najdziwaczniejsze reakcje, objawiające się w formie straszliwego humoru i perwersyjnej wesołości, co stanowi odwrotność poważnych zawiloci teorii matematycznych. Fakt, że sir William Crookes i sir Oliver Lodge — obaj wielcy matematyko-fizycy — stali się zagorzałymi spirytystami, stanowi analogiczny fenomen psychologiczny.

Vance zaciągnął się głęboko dymem i mówił dalej:

— Markham, wniosek jest nieunikniony: te fantastyczne i pozornie niewiarygodne morderstwa obmyślił matematyk, który znalazł takie wyładowanie przymusowe, uważasz, dla długo gwałtem tłumionego życia uczuciowego. Jego bestialskie czyny odpowiadają wszystkim wskazanym warunkom: są systematyczne, precyzyjne, starannie opracowane i każdy szczegół jest na swoim miejscu. Żadnych usterek, żadnych niedociągnięć, pozornie żadnych motywów. I pomijając już ich pomysłowość, wszystkie symptomy wskazują nieomylnie na wysoce abstrakcyjną umysłowość, która zerwała wędzidła — na fanatyka czystej nauki, któremu przysłała chętką wyszumieć się.

— Ale skąd ten okropny humor? — zapytał prokurator. — Jak pogodzić twoją teorię z krwawymi fantazjami na temat dziecinnych bajek?

— Tłumione impulsy — wyjaśnił Vance — zawsze wywołują nastawienia humorystyczne. Dugas określa humor jako detente — zwolnienie od napięcia. Bain, idąc za Spencerem, nazywa humor ulgą po przymusie. Najbardziej żyzne pole dla objawienia się humoru leży w nagromadzonej energii potencjalnej (Freud nazywa to Besetzungsenergie), która musi się w końcu wyładować. W tych zbrodniach, wzorowanych na bajkach, mamy przykład niesłuchanie fantastycznej reakcji matematyka, u którego spekulacje myślowe osiągnęły niebezpieczne nasilenie. Po prostu jakby się słyszało cyniczne słowa tego człowieka: „Patrzcie! Oto jest świat, który bierzecie tak bardzo na serio dlatego, że nie znacie nieskończenie większego świata abstrakcji. Życie na Ziemi jest dziecinną igraszką — prawie niewartą żartu”... Tego rodzaju stanowisko byłoby całkowicie zgodne z psychologią, gdyż po dłuższym napięciu umysłowym reakcja przybiera formę odwrotną, to znaczy najpoważniejsi i pełni godności ludzie będą szukać przeciwwagi w najbardziej dziecinnych zabawach. A nasz żartowniś jest przy tym sadystą.

Co więcej, wszyscy sadyści mają kompleks dzieciństwa, a dziecko jest z gruntu amoralne. Toteż człowiek, który podlega tym dziecinny odruchom psychologicznym, nie rozróżnia

złego i dobrego. Wielu matematyków współczesnych nie waha się twierdzić, że wszelkie przyjęte ograniczenia, jak: obowiązek, moralność, dobro itepe, nie istniałyby, gdyby nie fikcja wolnej woli. Dla nich etyka jest domeną zmyślonych pojęć. Posuwają się nawet tak daleko w swoich wątpliwościach, że wątpią, czy sama prawda nie jest li tylko ułudą wyobraźni. Dodajcie do tego wypaczenie ziemskich pojęć i pogardę dla ludzkiego życia, które mogą się łatwo narodzić ze studiów nad wyższą matematyką, a otrzymacie idealne podłoże dla tego typu zbrodni, z jakimi mamy do czynienia.

Gdy Vance skończył mówić, Markham siedział przez długą chwilę pogrążony w głębokim milczeniu. W końcu poruszył się niespokojnie.

— Rozumiem — rzekł — że te zbrodnie mogły być popełnione prawie przez wszystkie osoby wplątane w sprawę. Ale opierając się na swoim założeniu, jak wytłumaczysz listy do prasy?

— Humor musi się objawiać na zewnątrz. Wartość żartu kryje się w uszach tego, który słucha. W tym wypadku wchodzi również w grę ekshibicjonizm.

— A Biskup?

— To jest punkt najistotniejszy. Raison d'être tej strasznej orgii humoru leży w tym kryptonimowym podpisie.

Markham odwrócił powoli głowę.

— Czy szachista lub astronom odpowiada wymaganym przez twoją teorię warunkom tak samo jak matema-tyko-fizyk?

— Tak — potwierdził Vance. — Od czasów Philidora, Stauntona i Kieseritzky'ego, kiedy to szachy zaliczały się niejako do sztuk pięknych, przerodziły się one nieomal w naukę ścisłą. W okresie regime'u Capablanki stały się w wysokim stopniu przedmiotem abstrakcyjnych spekulacji matematycznych. Przecież Maroczy, doktor Lasker i Vidmar wszyscy są znanymi matematykami... Astronom zaś, który bada wszechświat oczami, może jeszcze silniej odczuwać nicość ziemskiej egzystencji niż matematyko-fizyk. Teleskop działa rozstrajająco na wyobraźnię. Sama możliwość istnienia życia na odległych planetach usuwa życie ziemskie niejako na

drugi plan. Wystarczy popatrzeć na Marsa i pomyśleć, że być może domniemani mieszkańcy tej planety przewyższają ludzkość ilościowo i jakościowo, aby potem przez długie godziny nie móc przyjść do siebie i czuć się nieswojo w warunkach nędznej ziemskiej egzystencji. Nawet przeczytanie romantycznej książki Percivala Lowella rozstraja człowieka o bujnej wyobraźni tak dalece, że życie na planetach wydaje mu się nieważne.

Nastąpiło długie milczenie, wreszcie Markham rzekł:

— W jakim celu Pardee zabierałby czarnego gońca-biskupa Arnessona wtedy wieczorem, kiedy mógł go zabrać z klubu, gdzie by nie zauważono braku?

— Trudno powiedzieć nie znając motywów. Mógł mieć jakiś określony cel. Ale jakież ty masz dowody przeciwko niemu? Same tylko podejrzenia nie wystarczyłyby, żeby go postawić w stan oskarżenia. Nawet gdybyśmy wiedzieli z wszelką pewnością, kto jest mordercą, byłibyśmy bezradni... Powiadam ci, Markham, że mamy do czynienia z przebiegłą umysłowością, która przewiduje wszelkie możliwości i obmyśla starannie każdy ruch. Jeżeli nam się nie uda wykryć słabego punktu w kombinacjach mordercy, przez co uzyskalibyśmy dowód rzeczowy, to niczego nie dokażemy. Ta możliwość to cała nasza nadzieja.

— Zaraz z rana — oświadczył stanowczo Markham — każę Heathowi ustalić alibi Pardee'ego z owej nocy. Pośle się dwudziestu ludzi, którzy przesłuchają wszystkich obecnych wtedy w klubie widzów i pójdą po domach od Klubu Szachistów do Drukkerów. Jeżeli uda nam się znaleźć kogoś, kto widział Pardee'ego w sąsiedztwie tegoż domu około północy, wtedy uzyskamy przeciwko niemu wiele mówiący dowód okolicznościowy.

— Tak — zgodził się Vance. — To by nam dało określony punkt wyjścia. Pardee nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego w trakcie gry z Rubinsteinem znalazł się o sześć bloków od klubu w godzinie, kiedy za drzwiami pani Drukker zjawił się tajemniczy gość z czarnym gońcem-biskupem... Dobrze. Zajmij się tą sprawą. Może się czegoś dowiemy.



Ale sierżantowi nie było danym wywiązać się z tego zadania. Na drugi dzień rano, jeszcze przed dziewiątą, Markham zjawił się u Vance'a z wiadomością, że Pardee popełnił samobójstwo.

## ROZDZIAŁ XXII DOMEK Z KART

(Niedziela, 17 kwietnia, godz. 9 rano)

Zdumiewająca nowina dziwnie poraziła Vance'a. Przez chwilę patrzył z niedowierzaniem na przyjaciela, a potem zadzwonił z pośpiechem na służącego, aby mu przygotował ubranie i podał kawę. Ubierał się szybko, nerwowo.

— Słowo daję, Markham! — wykrzyknął. — To coś niesłychanego!... Jakiś się o tym dowiedział?

— Profesor Dillard zatelefonował do mnie niecałe pół godziny temu. Pardee zabił się w suterenie u Dillardów. Z rana znalazł go Pynn i dał znać swemu panu. Przekazałem wiadomość Heathowi i przybiegłem tutaj. Uważałem, że powinniśmy się zaraz udać na miejsce. — Prokurator urwał, aby zapalić cygaro. Zdaje się, że to będzie koniec makabry... Niezupełnie zadowolające zakończenie, ale może najlepsze dla wszystkich zainteresowanych.

Vance nie odpowiedział od razu. Wypił z roztargnieniem kawę, wstał i sięgnął po kapelusz i laskę.

— Samobójstwo... — mruknął, gdyśmy schodzili na dół. — Tak, to by było logiczne, chociaż, jak powiedziałeś, niezadowolające — piekielnie niezadowolające...

U Dillardów otworzył nam Pynn. Profesor zjawił się w salonie na chwilę przed Heathem, który wpadł jak bomba.

— Rzec się wyjaśniła, panie prokuratorze — wybuchnęła, witając się przepisowo ze wszystkimi. — Te spokojne ptaszki... z nimi nigdy nie wiadomo. Ale jednak, kto by pomyślał...

— Lepiej nie myśleć, sierżancie. To wyczerpuje

—przerwał flegmatycznie Vance. — Wskazany jest umysł pusty, jałowy jak pustynia.

Profesor zaprowadził nas do suterenu. Story były zasunięte i elektryczność jeszcze się paliła. Zauważyłem, że okna były zamknięte.

— Zostawiłem wszystko tak, jak było — objaśnił.

Markham podszedł do dużego wyplatanego stołu na środku pokoju. Ciało Pardee'ego spoczywało w fotelu na wprost drzwi, wychodzących na tor łuczniczy. Głowa i ramiona leżały na stole, prawa ręka zwisała u boku z pistoletem w zaciśniętych palcach. W prawej skroni widniała straszna rana, a na stole pod głową czerwieniła się kałuża zakrzepłej krwi.

Patrzyliśmy na niego tylko chwilę, gdyż uwagę naszą zwróciło coś niesłychanego. Czasopisma, zwykle zalegające stół, były odsunięte na bok i na wolnej przestrzeni przed głową denata wznosił się wysoki, pięknie zbudowany domek z kart. Granice ogrodu znaczyły cztery strzały, ułożone jedna za drugą zapalki tworzyły ścieżki. Była to zabawka, która zachwyciłaby każde dziecko. Przypomniałem sobie to, co mówił ubiegłego wieczora Vance o naukowcach, szukających odprężenia w dzieciennych zabawach. Te dwie rzeczy w tym zestawieniu, dziecienna budowla z kart i obraz gwałtownej śmierci, robiły wstrząsające wrażenie.

Vance przyglądał się niesamowitemu obrazowi smutnym, zmęczonym wzrokiem.

— Hic iacet Jan Pardee — rzekł z głęboką powagą. — Oto domek, który sobie wybudował Jacek... domek z kart...

Podszedł bliżej, jakby chcąc się lepiej przyjrzeć, ale potracił stół i kruchy domek runął.

Markham zwrócił się do Heatha:

— Czy dał pan znać lekarzowi policyjnemu?

— Tak jest. — Sierżant nie mógł oderwać oczu od stołu. — Burkę też tu będzie, na wszelki wypadek.

Podszedł do okna i rozsunął story. Jasne światło dnia zalało suterенę. Powróciwszy do stołu zaczął się przyglądać uważnie samobójcy. Nagle ukląkł i nachylił się nad jego ręką.

— To zdaje się ten Colt kaliber trzydzieści osiem, który tu chowali w szufladzie — zauważył.

— Niewątpliwie — potwierdził Vance, wyjmując papierosnicę.

Heath wstał i otworzywszy znaną już nam szufladę komody, zbadał jej zawartość.

— Ano, tak! Dobrze zgadłem. Ale będziemy musieli prosić

pannę Dillard, żeby sprawdziła, czy to na pewno ten sam. Po odejściu lekarza.

W tejże chwili wpadł do sutereny Arnesson w jaskrawym żółto-czerwonym szlafroku.

— Do stu tysięcy diabłów! — wykrzyknął. — Pynn powiedział mi właśnie nowinę. — Podszedł do stołu i popatrzył na ciało. — Samobójstwo, co?... Dlaczegoż więc nie zainscenizował tego przedstawienia w swoim własnym domu? Co za niedelikatność tak postąpić u kogoś. Ale czego się można spodziewać po szachiście? — Spojrzał na Markhama. — Mam nadzieję, że to nam nie przysporzy kłopotów. Już i tak dosyć jesteśmy głośni. Ciągły harmider! Nie można zebrać myśli. Kiedy go stąd zabierzecie? Nie chciałbym, żeby to Bella zobaczyła.

— Ciało będzie zabrane zaraz po oględzinach — ofuknął go lodowato prokurator. — I nie będzie potrzeby trudzić panny Dillard.

— Dobrze. — Arnesson patrzył na zmarłego z wyrazem cynicznej zadumy. — Biedny chłop! Nie wytrzymał życia. Przewrażliwiony — ani cienia odporności psychicznej. Brał rzeczy za poważnie. Od czasu jak jego gambit diabli wzięli, melancholizował nad swoim losem. Nie umiał znaleźć sobie innego zajęcia. Czarny goniec-biskup prześladował nieboraka. Do licha! Nie dziwiłbym się, gdyby to właśnie popchnęło go do samobójstwa. Mógł sobie wyobrazić, że on jest szachowym gońcem-biskupem, powracającym na świat w postaci swojej nemezys.

— Mądre spostrzeżenie — odparł Vance. — Ale, ale, gdyśmy tu weszli, na stole stał domek z kart.

— Ha! Zastanawiałem się, co te karty tu robią. Myślałem, że może w ostatnich chwilach życia szukał pociechy w pasjansie... Domek z kart?... Cóż to, u licha, może znaczyć?

— Trudno powiedzieć. Może to ten domek, który Jacek zbudował?

— Rozumiem — rzekł uroczyście uczony. — Dziecinada do końca! Wydrwił samego siebie. Dziwna koncepcja.

— Ziewnął szeroko. — Ale muszę coś na siebie narzucić. Poszedł na górę.

Profesor Dillard odprowadził go wzrokiem pełnym ojcowskiej troski, po czym zwrócił się z gestem zniecierpliwienia do Markhama:

— Sigurd broni się zawsze przeciwko uczuciom. Wstydzi się ich. Proszę, nie bierzcie, panowie, jego pozy zbyt poważnie.

Nim prokurator zdążył odpowiedzieć, Pynn wprowadził detektywa Burke'a. Vance skorzystał z okazji, aby wypytać lokaja, w jakich okolicznościach znalazł ciało.

— Po coście chodzili do klubu? — zapytał.

— W kredensowym było trochę duszno, proszę pana — odpowiedział stary — więc otworzyłem drzwi na dole schodów, żeby wpuścić świeże powietrze, i wtedy zobaczyłem, że story są zasunięte...

— Więc się ich na noc nie zasuwa?

— W tym pokoju — nie.

— A okna?

— Zostawiam zawsze na noc uchylone od góry.

— Czy wczoraj wieczorem też były uchylone?

— Tak, proszę pana.

— Dobrze. A dziś rano, gdy otworzyliście drzwi...?

— Chciałem zgasić światło. Myślałem, że panienka zapomniała wczoraj przekręcić wyłącznik. A tu patrzę, przy stole biedny pan, nieżywy. Zaraz dałem znać naszemu panu.

— Czy wasza córka wie, co się stało?

— Powiedziałem jej, jak tylko panowie przyjechali.

— O której godzinie wy i córka położyliście się wczoraj spać?

— O dziesiątej, proszę pana.

Po odejściu lokaja Markham zwrócił się do profesora:

— Zanim przyjdzie doktor Doremus, może by pan profesor był łaskaw powiedzieć nam, co pan wie o tym dramacie. Może pójdziemy na górę?

Udaliśmy się do biblioteki. W klubie pozostał Burke.

— Obawiam się, że wiele się ode mnie nie dowiecie

— zaczął profesor, usadowiwszy się w fotelu z fajką w ręku. Traktował nas wyraźnie z rezerwą czy niechęcią.

— Pardee przyszedł wczoraj wieczorem po obiedzie, niby to na pogawędkę z Arnessonem, ale naprawdę, jak mi się zdaje,

żeby popatrzeć na Bellę. Bella jednak chwilę tylko z nami siedziała i poszła się położyć z silnym bólem głowy. Pardee zabawił do wpół do dwunastej. Później go już nie widziałem. Dopiero z rana Pynn przyniósł mi straszną nowinę...

— Ale — przerwał Vance — jeżeli Pardee przyszedł tylko po to, żeby zobaczyć pańską bratanicę, to po cóż tak długo został po jej odejściu? Jak pan to sobie tłumaczy?

— Nie wiem, co o tym myśleć — odparł z zakłopotaniem profesor. — Miałem wrażenie, że był czegoś rozstrojony i nie chciał być sam. Nawet musiałem mu dać wyraźnie do zrozumienia, że jestem zmęczony, i dopiero wtedy pożegnał się i odszedł.

— A pan Arnesson co robił wieczorem?

— Po odejściu Belli siedział z nami z godzinę, a potem też poszedł spać. Przez całe popołudnie załatwiał sprawy Drukkerów i był wyczerpany.

— O której poszedł się położyć?

— Mniej więcej o wpół do jedenastej.

— Więc pan profesor mówi — ciągnął Vance — że Pardee wydał się panu silnie rozstrojony?

— Może nie tyle rozstrojony — profesor zmarszczył brwi i pyknął z fajki — ile przybity, po prostu załamany.

— Czy nie wydawało się panu, że się czegoś obawiał?

— O, nie. Robił wrażenie człowieka nieszczęśliwego, niezdolnego do walki z losem.

— Czy pan go wyprowadził do hallu, to jest chciałem powiedzieć, czy pan zauważył, dokąd poszedł?

— Nie. Myśmy go tu traktowali zawsze bezceremonialnie, po domowemu. Powiedział dobranoc i opuścił pokój. Naturalnie byłem przekonany, że wyszedł jak zwykle drzwiami od frontu.

— Czy pan profesor poszedł zaraz do swojej sypialni?

— Nie od razu. Zostałem jeszcze z dziesięć minut w bibliotece, żeby uporządkować notatki.

Vance umilkł i zamyślił się. Coś go najwidoczniej intrygowało.

— Przypuszczam — zabrał głos Markham — że nie ma nawet co pytać pana profesora, czy pan słyszał w nocy jakiś odgłos

podobny do strzału?

— W domu panowała głęboka cisza — odparł Dillard. — Zresztą na tym piętrze absolutnie by się nie usłyszało strzału w suterenie. To spora odległość. Dwie kondygnacje schodów, cała długość dolnego hallu, korytarz i troje ciężkich drzwi! W dodatku dom jest stary i ma bardzo grube mury.

— I nikt — uzupełnił Vance — nie mógł usłyszeć strzału z ulicy, bo okna sutereny były starannie zamknięte.

Profesor kiwnął głową i spojrział na niego badawczo.

— Tak jest. Widzę, że i pan zaobserwował tę szczególną rzecz. Nie rozumiem, dlaczego Pardee pozamykał okna.

— Idiosynkrazje samobójców nie zostały dotychczas zadowolająco wyjaśnione — odparł zdawkowo Vance i po chwili zapytał: — O czym pan rozmawiał z Pardee'em w ciągu ostatniej godziny przed jego odejściem?

— Rozmawialiśmy bardzo niewiele. Byłem pochłonięty nowym artykułem Millikana w „Physics Review o alkaliach i próbowałem go nim zainteresować, ale jak już mówiłem, wydawał się roztargniony i większą część tej godziny spędził nad szachownicą.

— O, doprawdy? To ciekawe.

Vance spojrział na szachownicę, na której stały jeszcze pionki. Wstał szybko i poszedł do stolika. Po chwili wrócił i usiadł znowu.

— Ciekawe — powtórzył zapalając starannie papierosa. — Najwidoczniej przed samym odejściem rozmyślał o końcowej rozgrywce z Rubinsteinem. Figury stoją dokładnie tak jak wtedy, kiedy zrezygnował z gry—oczywiście z czarnym gońcem-biskupem, tylko o pięć ruchów od mata.

Zamyślane oczy profesora przeniosły się również na szachownicę.

— Czarny goniec-biskup — rzekł cichym głosem. — Czyżby to go tak absorbowало ostatniego wieczoru? Nie do wiary, żeby taka drobnostka podziałała na niego tak strasznie!

— Niech pan nie zapomina, profesorze — zauważył Vance — że czarny goniec-biskup był symbolem jego klęski życiowej, jego zawiedzionych nadziei. Większe głupstwa doprowadzały

ludzi do samobójstwa.

W parę minut później Burkę zameldował, że przybył lekarz policyjny. Pożegnawszy profesora, zeszedliśmy do sutereny, gdzie doktor Doremus badał zwłoki samobójcy.

Na nasz widok podniósł oczy i machnął niedbale ręką na znak powitania. Jego zwykle wesoła twarz była zasepiona.

— Kiedyż będzie koniec tego? — mruknął. — Nie podoba mi się atmosfera tego domu i sąsiedztwa. Mordy, śmierć od wstrząsu, samobójstwo. Dreszcz człowieka przechodzi. Postaram się o spokojną, nie denerwującą pracę w rzeźni.

— Przypuszczamy — zauważył Markham — że to już koniec. Doremus zamrugął.

— Ach, tak? Więc Biskup napędziwszy trwogi miastu popełnia samobójstwo? Prawdopodobne. Mam nadzieję, że się to okaże prawdą.

Pochylił się znów nad ciałem i, odgiąwszy sztywne palce, rzucił rewolwer na stół.

— Do pańskiej zbrojowni, sierżancie!

Heath wsunął broń do kieszeni.

— Od jak dawna nie żyje, doktorze?

— O, mniej więcej od północy. Trudno określić z całą dokładnością. Jakże tam jeszcze głupie pytania?

Heath uśmiechnął się.

— Czy to było na pewno samobójstwo?

Doremus błysnął gniewnie oczami.

— A cóż to mogło być? Zamach bombowy? — Spowaźniał i mówił dalej zawodowym tonem: — Broń miał w ręku. Skroń osmalona. Dziura od postrzału odpowiedniej wielkości i w odpowiednim miejscu. Pozycja ciała naturalna. Nie widzę nic podejrzanego. A dlaczego pan pyta? Czy są jakieś wątpliwości?

Odpowiedział Markham:

— Przeciwnie, doktorze. Z naszego kryminalnego punktu widzenia wszystko wskazuje na samobójstwo.

— Bo to jest samobójstwo. W każdym razie jeszcze sprawdzimy. Sierżancie, niech mi pan pomoże.

Wspólnymi siłami przenieśli ciało na otomanę, po czym doktor przystąpił do szczegółowszych oględzin. My tymczasem



wróciliśmy do salonu, gdzie niebawem przyłączył się do nas Arnesson.

— Jakież orzeczenie? — zapytał osuwając się na najbliższe krzesło. — Przypuszczam, że nie ma wątpliwości co do tego, że sam się zabił?

— Skąd taki domysł, panie Arnesson? — odparował Vance.

— Znikąd. Jałowy komentarz. Dzieją się tu przecież dziwne rzeczy.

— O, oczywiście! — Vance wydmuchnął w sufit kółko dymu.

— Ale nie. Lekarz uważa, że to mogło być tylko samobójstwo. Å propos, czy Pardee zrobił wczoraj na panu wrażenie człowieka myślącego o samobójstwie?

Arnesson zastanowił się.

— Trudno powiedzieć — zakonkludował. — On nie był z natury wesoły, ale samobójstwo?... Nie wiem. Ponieważ jednak pan twierdzi, że ta rzecz nie podlega kwestii, więc nie ma o czym mówić.

— Naturalnie. Niech mi pan powie, jak ta nowa sytuacja godzi się z pańską formułą?

— Rozbija całe równanie, ma się rozumieć. Nad czym się teraz głowić? — Ale wbrew temu zapewnieniu nie wydawał się przekonany. — Nie rozumiem tylko, dlaczego zrobił to w suterenie? Miał dość miejsca w swoim domu na samobójstwo.

— W suterenie miał rewolwer podsunął Vance. — Ale byłbym zapomniał. Sierżant Heath chciał prosić pannę Dillard o rozpoznanie rewolweru. Rozumie pan, konieczna formalność.

— Nic łatwiejszego. Gdzie on jest?

Heath podał rewolwer i Arnesson opuścił pokój.

— Zapytaj pan także — zawołał za nim Vance — czy w suterenie były karty!

Arnesson powrócił z informacją, że rewolwer jest ten sam, który przechowywano w komodzie, że karty do gry były zawsze w szufladzie stołu w suterenie i że Pardee o nich wiedział.

W ślad za nim ukazał się doktor Doremus i raz jeszcze stwierdził, że Pardee zginął śmiercią samobójczą.

— Takie będzie moje orzeczenie — rzekł. — Nie widzę, co by można powiedzieć innego. Prawda, że zdarzają się symulowane samobójstwa, ale to już wasza domena. Ja nie zauważyłem absolutnie nic podejrzanego.

Markham kiwnął głową z nie ukrywanym zadowoleniem.

— Nie mamy powodu kwestionować pańskiego orzeczenia, doktorze. Faktycznie samobójstwo zgadza się z tym, co wiemy, i stanowi logiczne zakończenie całej tej „biskupiej” orgii. — Wstał z krzesła ruchem człowieka, z którego zdjęto wielki ciężar. — Sierzancie, pan się zajmie zabraniem ciała do autopsji. Później proszę się zgłosić do mnie, do klubu. Dzięki Bogu, że to dzisiaj niedziela. Mamy więcej czasu.

Tego wieczoru zeszliśmy się w klubie, Markham, Vance i ja. Byliśmy sami, Heath już odszedł. Dla pism przygotowano starannie zredagowaną informację o samobójstwie Pardee’ego, z zaznaczeniem, że z jego śmiercią sprawa zostaje zakończona. Vance przez cały ten dzień prawie się nie odzywał. Nie chciał nawet pomóc przy redagowaniu oficjalnego oświadczenia i nie miał ochoty omawiać tej nowej fazy śledztwa. Dopiero gdyśmy się znaleźli sami, dał wyraz absorbującym go wątpliwościom.

— Za łatwe zakończenie, Markham — stanowczo za łatwe. Zbyt pozorne. Widzisz, bardzo logiczne, ale nie zadowalające. Nie mogę sobie jakoś wyobrazić, żeby nasz Biskup miał zakończyć swoją humorystyczną orgię tak banalnie. Strzelić sobie w łeb, na to nie trzeba inteligencji. Kompromitujący brak pomysłowości, niegodny reżysera baśniowych mordów.

Markham zaszepił się.

— Sam dowodziłeś, że Pardee ze swoją mentalnością był psychologicznie zdolny do tych morderstw. Mnie się wydaje nader uzasadnione, że po tylu zbrodniczych popisach, gdy widział, że wpadł, ratował się samobójstwem.

— Prawdopodobnie masz słuszność — westchnął Vance.

— Nie mam na odparcie tego twierdzenia żadnych mocnych argumentów, ale jestem zawiedziony. Nie lubię przesileń, zwłaszcza kiedy nie odpowiadają memu wyobrażeniu o

talencie dramatycznym artysty. Śmierć Pardee'ego w tym momencie jest zbyt logiczna, zbyt jasno wszystko wyjaśnia. Za dużo w niej rozsądku, a za mało wyobraźni.

Markham mógł sobie pozwolić na pobłażliwość.

— Może zabrakło mu wyobraźni po tych morderstwach. Samobójstwo możemy uważać za spuszczenie kurtyny, gdy dramat dobiegł końca. W każdym razie nie ma w tym nic nie wiarogodnego. Porażka, zawód, rozczarowanie, zawiedziona ambicja popychały ludzi do samobójstwa od niepamiętnych czasów.

— Słusznie. Mamy racjonalny motyw czy wytłumaczenie samobójstwa, ale nie morderstw.

— Pardee kochał się w Belli Dillard — argumentował prokurator — i pewnie wiedział, że Robin starał się o jej rękę. A o Drukкера był bardzo zazdrosny.

— A zamordowanie Sprigga?

— Co do tego nie mamy żadnych danych.

Vance potrząsnął głową.

— Nie możemy rozdzielać tych mordów według motywów. Wszystkie one wypłynęły z jednego impulsu, z jednej przemożnej namiętności.

Markham westchnął niecierpliwie.

— Nawet jeżeli samobójstwo Pardee'ego nie ma nic wspólnego z morderstwami, to my jesteśmy w ślepej uliczce, w przenośni i faktycznie.

— Tak. W ślepej uliczce. Przykre, ale dla policji to ulga. Ma spokój na razie. Ale nie zrozum mnie źle. Śmierć Pardee'ego ma niewątpliwie związek z morderstwami, i to, powiedziałbym, bardzo ścisły związek.

Markham wyjął z ust cygaro i wlepił w przyjaciela badawcze spojrzenie.

— Wątpisz w to, że Pardee popełnił samobójstwo? — zapytał.

Vance zawahał się chwilę.

— Chciałbym wiedzieć — wycedził — dlaczego ten domek z kart rozsypał się tak łatwo, kiedy się umyślnie oparłem o stół...

— No?

— ...dlaczego się nie rozsypał wtedy, gdy głowa i ramiona

Pardee'ego osunęły się na tenże stół — po strzale...

— Cóż z tego? — rzekł Markham. — Pierwsze wstrząśnięcie mogło obluzować wątłą strukturę... — Nagle oczy mu się zwęziły w dwie szparki. — Czy chcesz przez to powiedzieć, że ten domek z kart zbudowano po jego śmierci?

— Och, mój drogi, nie nie chcę powiedzieć. Tylko, widzisz, jestem dziecinnie ciekawy!

## ROZDZIAŁ XXIII PRZERAŻAJĄCE ODKRYCIE

(Poniedziałek, 25 kwietnia, godz. 8.30 wieczorem)

Upłynęło osiem dni. Pogrzeb Drukera odbył się tylko przy udziale Dillardów, Arnessona i kilku profesorów uniwersytetu. Ci ostatni przyszli oddać ostatnią przysługę człowiekowi, dla którego wiedzy żywili szczerą, głęboką podziw. Vance i ja byliśmy również obecni.

Rano w dzień pogrzebu przyszła mała dziewczynka z wiązanką wiosennych kwiatów, które sama zebrała, i poprosiła Arnessona, aby je dał Drukerowi. Spodziewałem się nieomal cynicznej uwagi, toteż zdziwiłem się, gdy uczonego wziął z powagą kwiaty i rzekł prawie serdecznie:

— Żaraz mu je dam, Madziu. Mały Garbusek dziękuje ci, żeś o nim pamiętała.

Kiedy dziewczynka odeszła z boną, zwrócił się do nas:

— Ulubienica Drukera... Dziwny to był człowiek. Nie uznawał teatru, nienawidził podróży. Jedyne jego rozrywką były zabawy z dziećmi.

Wspominam o tym epizodzie dlatego, że chociaż pozornie nieważny, okazał się przecież jednym z głównych ogniw w łańcuchu dowodów rzeczowych, które wyświectliły w końcu krwawą tajemnicę.

Śmierć Pardee'ego stworzyła sytuację wprost jedyną w rocznikach kryminologii współczesnej. Urzędowy komunikat urzędu śledczego nie stwierdził samobójstwa. Zaznaczał tylko, że było niewykluczone. Jakiegokolwiek było osobiste zdanie Markhama, to był on zbyt uczciwy i zbyt sprawiedliwy, żeby rzucać podejrzenie na kogoś bez przytłaczających dowodów. Ale psychoza trwogi, spowodowana tymi dziwnymi mordami, była tak wielka, że ze względu na dobro publiczne musiał ogłosić, że uważa sprawę za zamkniętą. Tak więc, chociaż pamięci samobójcy nie obciążono otwarciem tymi zbrodniami, miasto przestało się lękać dalszego ich ciągu i westchnienie ulgi

wydarło się z tysięcy piersi.

W Klubie Szachistów pewnie mniej rozprawiano na temat tej sprawy niż gdziekolwiek indziej w Nowym Jorku. Może członkowie klubu mieli wrażenie, że honor ich instytucji poniekąd ucierpiał. A może poczuli się do lojalności wobec pamięci człowieka, który tak wiele uczynił w propagowaniu szachów. Ale jakakolwiek była przyczyna małomówności szachistów w tym względzie, faktem jest, że stawili się na pogrzeb prawie gremialnie. Zaimponował mi ten hołd oddany pamięci kolegi, bo przecież niezależnie od swej wartości osobistej, był on jednym z wielkich mecenasów tej starożytnej gry, tak pasjonującej ich wszystkich.

Pierwszym urzędowym aktem Markhama na drugi dzień po śmierci Pardee'ego było zwolnienie Sperlinga. Tego samego dnia przeniesiono akta dotyczące tych mordów z wydziału zabójstw do wydziału spraw zakończonych i ściągnięto posterunki policyjne sprzed domu Dillardów. Vance zaprotestował lekko przeciwko temu ostatniemu zarządzeniu, ale Markham nie mógł właściwie nic zrobić, gdyż orzeczenie lekarskie post mortem potwierdziło w całej rozciągłości teorię samobójstwa. Zresztą był święcie przekonany, że to samobójstwo zakończyło istotnie sprawę, i szydził z wątpliwości Vance'a.

W ciągu następnego tygodnia mój przyjaciel i chlebodawca był rozstrojony i niezwykle roztargniony. Próbował zająć się to tym, to owym, ale bez skutku. Irytował się z byle powodu. Właściwa mu cudowna równowaga opuściła go prawie całkowicie. Miałem wrażenie, że czeka na coś, a może nie tyle czeka, ile czatuje w trwożnym napięciu.

Na drugi dzień po pogrzebie Drukкера odwiedził Arnessona i w piątek wieczorem wybrali się obaj na Ibsenowskie „Upiory”, którego to dramatu, jak wiedziałem, nie lubił. Uczony powiedział mu, że Bella Dillard wyjechała na miesiąc do kuzynów do Albany. Wydarzenia ostatnich dni rozstroiły ją okropnie. Musiała zmienić miejsce pobytu. Arnesson był z tego powodu nieszczęśliwy. Zwierzył się Vance'owi, że zamierzają się pobrać w czerwcu. Vance dowiedział się również od niego,

że pani Drukker zapisała cały swój majątek Belli i profesorowi — naturalnie, gdyby syn jej nie przeżył. Ta wiadomość zainteresowała Vance’a niebywale. Gdybym wiedział, a nawet przeczuwał, jak potworna groza zawisła nad nami w nadchodzących dniach, wątpię, czybym to wytrzymał. Gdyż mordercza orgia bynajmniej nie dobiegła kresu. Najgorsze było jeszcze przed nami. Ale nawet ta groza, chociaż tak straszliwa, była tylko cieniem tego, co by się mogło stać, gdyby nie inteligencja Vance’a. Genialny detektyw wyłowił ze sprawy dwie konkluzje, z których tylko jedną rozstrzygnęła śmierć Pardee’ego. Druga możliwość, jak się później dowiedziałem, zatrzymała go w Nowym Jorku na czatach.

Początek końca rozegrał się w poniedziałek 25 kwietnia. Mieliliśmy zjeść obiad razem z Markhamem w Klubie Bankierów, a potem jechać na operę „Śpiewaków Norymberskich”, ale nie było nam sądzone tego wieczora być świadkami triumfów Walthera. Już przy powitaniu wydało mi się, że Markham jest nie w sosie. Ledwie zasiedliśmy w jadalni klubowej, zakomunikował nam, że profesor Dillard telefonował do niego po południu.

— Prosił mnie, żebym był u niego dziś wieczorem — rzekł. — Próbowałem się wymówić, ale nie chciał słuchać. Zaznaczył, że Arnessona nie będzie przez cały wieczór w domu i że podobna okazja może się nie zdarzyć, aż będzie za późno. Zapytałem go, co przez to rozumie, ale odmówił wyjaśnień, prosząc tylko, żebym koniecznie przyszedł. Odpowiedziałem, że dam mu znać, czy będę mógł.

Vance słuchał z ogromnym przejęciem.

— Musimy tam iść, Markham. Wiesz, oczekiwałem tego rodzaju wezwania. Możliwe, że uda nam się wreszcie znaleźć klucz do prawdy.

— Jakiej prawdy?

— Winy Pardee’ego.

Markham nie odezwał się więcej i spożyliśmy obiad w milczeniu.

O wpół do dziewiątej dzwoniliśmy do domu Dillarda. Pynn zaprowadził nas natychmiast do biblioteki.

Profesor powitał nas z nerwową rezerwą.

— Bardzo to uprzejmie, że pan przyszedł — rzekł do Markhama nie wstając. — Proszę siadać. Proszę, cygaro! Chciałbym z panem pomówić, ale muszę się wpierv zastanowić. Bardzo trudna sprawa...

Urwał i zaczął nabijać fajkę.

Zajęliśmy fotele. Ogarnął mnie nastrój oczekiwania. Musiała mi się udzielić nerwowość profesora.

— Sam nie wiem, jak zacząć — rzekł — zważywszy na to, że tu wchodzą w grę nie fakty, lecz nie skonkretyzowane podejrzenia. Od tygodnia dręczą mnie niejasne domysły, które narzucają mi się wbrew woli. Nie wiem, jak się z nich otrząsnąć. Może najlepiej będzie, gdy pomówię z panami...

Zawahał się.

— Woląłem podyskutować z panami w nieobecności Sigurda, a ponieważ wybrał się dziś na Ibsenowskich „Prezydentów do tronu” (to jego ulubiona sztuka, nawiasem mówiąc), skorzystałem z okazji, żeby panów zaprosić.

— Do czego się odnoszą pańskie domysły? — zapytał Markham.

— Do niczego w szczególności. Jak już zaznaczyłem, są one mgliste, ale pomimo to dręczące... Tak dręczące — dodał — że uznałem za stosowne wysłać chwilowo Bellę z domu. Prawda, że te wszystkie tragedie rozstroiły ją okropnie, ale ja, wysyłając ją na północ, co innego miałem na myśli. Nieuchwytnie wątpliwości nie dają mi spokoju...

— Wątpliwości? — Markham pochylił się w przód. — Jakie wątpliwości?

Profesor nie odpowiedział od razu.

— Pan pozwoli, że odpowiem panu pytaniem na pytanie — rzekł po chwili. — Czy pan jest przekonany, że o samobójstwie Pardee’ego nie da się nic więcej powiedzieć nad to, co się powiedziało?

— O co panu idzie? Czy o to, czy on naprawdę popełnił samobójstwo?

— Tak, i o to, czy on był poszukiwanym mordercą.

Markham cofnął się w głąb fotela.



— A pan profesor nie jest przekonany?

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie — uciął Dillard. — Nie ma pan prawa pytać mnie o to. Chciałem się tylko upewnić, czy władze, które mają w rękę wszystkie dane, uważają tę okropną sprawę za zamkniętą, czy też nie. — Na twarzy jego odmalowała się troska. — Gdybym miał tę pewność, pomogłoby mi to odeprzeć te mętne, złe przeczucia, które mnie prześladują w dzień i w nocy.

— A gdybym powiedział, że nie jestem przekonany?

W oczach starego profesora odbił się wyraz udręki.

Głowa opadła mu, jakby pod ciężarem jakiegoś nagłego ciosu. Po chwili wyprostował się i odetchnął z głębi piersi.

— Najtrudniejszą rzeczą na tym świecie — rzekł — jest zdecydować, gdzie leży nasz obowiązek, gdyż obowiązek jest funkcją umysłu, podczas gdy odruchy serca wypaczają najsprawiedliwsze postanowienie. Może źle zrobiłem zapraszając pana, bo ostatecznie mój niepokój ogranicza się do mglistych podejrzeń i mętnych domysłów. Chociaż moje zdenerwowanie mogło mieć jakąś przyczynę, z której nie zdawałem sobie sprawy... Czy pan mnie rozumie?

Jakkolwiek sens słów profesora był mało uchwytny, nietrudno było pojąć, że jakieś podejrzenie czai się w zakamarkach jego umysłu.

Markham kiwnął ze zrozumieniem głową.

— Nie ma żadnego powodu kwestionować orzeczenia lekarza policyjnego — odpowiedział z naciskiem. — Rozumiem, że tak szybko po sobie następujące mordy mogły stworzyć atmosferę grozy i obaw. Ale uważam, że teraz już może pan profesor być spokojny.

— Wierzę panu najzupełniej — mruknął profesor najwidoczniej wcale nie uspokojony. — Przypuśćmy, prokuratorze — zaczął i nie dokończył. — Tak, wierzę panu najzupełniej — powtórzył.

Vance, który przez cały czas tej jałowej rozprawy palił flegmatycznie papierosa, chociaż przysłuchiwał się z nadzwyczajną uwagą, w tym miejscu zabrał głos:

— Panie profesorze, czy nie zaszło coś niejasnego, co może

zapoczątkowało pańskie obawy?

— Nic podobnego — odparł lekko podenerwowany Dillard.

— Zastanawiałem się po prostu nad możliwościami. Nie chciałem nic w siebie wmawiać bezpodstawnie. Czysta logika dobra jest, jeżeli chodzi o teoretyczne zasady. Ale tam, gdzie wchodzi w grę osobiste bezpieczeństwo, niedoskonały umysł ludzki domaga się dowodów naocznych.

— Tak. — Vance podniósł oczy, a mnie się wydało, że pochwyliłem między tymi dwoma tak niepodobnymi do siebie ludźmi błysk porozumienia.

Markham wstał, chcąc się pożegnać, lecz profesor nalegał, żeby jeszcze chwilę został.

— Sigurda tylko patrzeć. Będzie rad, gdy panów tu zastanie. Jak mówiłem, jest w teatrze na „Pretendentach do tronu”, ale jestem pewny, że wróci prosto do domu... A propos, panie Vance — ciągnął, odwracając się od Markhama. — Sigurd mówił mi, że byliście razem na „Upiorach”. Czy pan podziela jego entuzjizm dla Ibsena?

Pytanie to najwidoczniej zdziwiło Vance’a. Podniósł lekko brwi. Ale odpowiedział spokojnie:

— Czytałem dużo Ibsena i nie mam wątpliwości, że to geniusz wysokiej klasy, chociaż nie znalazłem w nim ani pięknej formy, ani filozoficznej głębi na poziomie na przykład „Fausta” Goethego.

— Widzę, że pan z Sigurdem nigdy się nie zgodzicie na punkcie Ibsena.

Markham nie chciał zostać dłużej i w kilka minut później zliśmy ulicą muskani powiewem chłodnego kwietniowego wiatorku.

— Zakonotuj sobie, mój drogi — powiedział żartobliwie Vance do Markhama, gdyśmy skręcili w kierunku parku — że nie tylko twój skromny współpracownik ma wątpliwości co do samobójstwa Pardee’ego. I muszę zaznaczyć, że twoje zapewnienia bynajmniej nie uspokoiły profesora.

— Jego podejrzliwość jest najzupełniej zrozumiała — ustąpił Markham. — Orgia mordów rozegrała się w jego domu i w sąsiedztwie.

— To nie jest wytłumaczenie. Stary jest w strachu. On wie coś, czego nam nie chce powiedzieć.

— Nie powiem, żebym miał takie wrażenie.

— Och, Markham, Markham! Czemuś to nie słuchał uważniej jego niechętnych, urywanych wyznań? Wyglądało to tak, jakby chciał nam dać coś do zrozumienia, nie wyrażając tego słowami. Chciał, żebyśmy sami odgadli. Tak! Dlatego właśnie nalegał, żebyś go odwiedził w czasie nieobecności Arnessona. Był pewny, że Arnesson nie zjawi się przed końcem przedstawienia.

Vance nagle umilkł i stanął jak wryty. W oczach jego odbił się przestрах.

— Och, dobry Boże! To on dlatego zapytał mnie o Ibsena!... Słowo daję! Jakież ja tępy, jaki głupi! — Popatrzył na przyjaciela i mięśnie jego szczęk nabrały kanciastych konturów. — Nareszcie prawda! — szepnął z przejęciem. — I zagadki nie rozwiązałeś ani ty, ani policja, ani ja, tylko dramaturg norweski, który umarł przed dwudziestu laty. Klucz do tajemnicy leży w Ibsenie.

Markham spojrział na niego takim wzrokiem, jakby go posądzał o nagły obłęd, ale nim zdążył coś powiedzieć, Vance zawołał taksówkę.

— W domu ci to wyjaśnię — rzekł w drodze. — Niewiarogodne, ale prawdziwe. Powinienem był się dawno tego domyślić, ale ten podpis Biskup na listach do prasy mógł być wieloznaczny.

— Gdyby to nie była wiosna, a lato — fuknął gniewnie Markham — powiedziałbym, że dostałeś porażenia słonecznego.

— Wiedziałem od samego początku, że byli trzej możliwi sprawcy — ciągnął Vance. — Każdy z nich był psychologicznie zdolny do tych morderstw w chwili zachwiania równowagi umysłowej pod wpływem afektu. Nie pozostało zatem nic innego, jak czekać na skrytalizowanie się podejrzeń we właściwym kierunku. Jednym z tych trzech podejrzanych był Drukker, ale go zamordowano i pozostało dwóch. Następnie zginął Pardee, pozornie samobójczą śmiercią. Muszę przyznać,

że śmierć jego mogła być uzasadnieniem moich względem niego podejrzeń. Ale jeszcze wątpiłem. Śmierć ta nie dowodziła niczego i w dodatku domek z kart dawał mi do myślenia. Dostaliśmy jednym słowem mata, więc znów czekałem. Pozostawała mi jeszcze trzecia możliwość. Teraz już wiem, że Pardee był niewinny i że sam się nie zastrzelił. Zamordowano go tak, jak Gila, Sprigga i Drukкера. Jego śmierć była jeszcze jednym ponurym żartem. Rzucono go na ofiarę policji w przystępie szatańskiego humoru. I morderca śmieje się w kułak z naszej łatwowierności.

— Jakim sposobem przyszedłeś do tak fantastycznego wniosku?

— To już nie kwestia argumentacji. Znalazłem wreszcie pobudkę tych wszystkich mordów i wiem, co znaczy podpis Biskup. Pokażę wam za chwilę dowód rzeczowy, zdumiewający i nieodparty.

W kilka minut później byliśmy w jego mieszkaniu. Zaprowadził nas do biblioteki.

— Przez cały ten czas dowód był pod ręką.

Podszedł do szafy z książkami i z półki, gdzie trzymał dramaty, wyjął drugi tom zbiorowego wydania dzieł Ibsena. Książka zawierała „Wikingów w Helgolandzie” i „Pretendentów do tronu”. Poszukawszy stronicy z wykazem dramatis personae tej drugiej sztuki, położył ją na stole przed Markhamem.

— Przeczytaj spis osób ulubionego dramatu Arnessona! Markham, milczący i zdumiony, przysunął książkę do siebie. Zajrzałem mu przez ramię i oto, cośmy przeczytali:

Hakon Hakonsson, król wybrany przez Birkenbajczyków

Inga z Wartejg, jego matka

Jarl Skule

Lady Ragnhild, jego żona

Sygyrd, jego siostra

Małgorzata, jego córka

Guthorm Ingesson

Sigurd Ribbung

Dagfin, chłop, koniuszy Hakona

Ivar Boddie, jego kapelan  
Wegard Wärädal, jeden z jego dworzan  
GregoriuszJonsson, lennik  
Paweł Flida, lennik  
Ingeborga, żona Andresa Skjaldarbanda  
Piotr, jej syn, młody ksiądz  
Sira Wiljam, kapelan biskupa  
Mistrz Sigadr z Brabantu, lekarz  
Jatgejs, skald, Islandczyk  
Bard Bratte, wódz z okręgu Trondheim.

Wątpię, czy który z nas doszedłby do:

— Mikołaj Arnesson, biskup Oslo.

Oczy moje przywarły do tego nazwiska ze zdumieniem i trwożą. I nagle przypomniałem sobie... Biskup Arnesson, jeden z najpodlejszych łotrów w literaturze światowej — cyniczny, szydarczy potwór, który wypaczał wszystkie zdrowe wartości życia w bezecne błażeństwa.

## ROZDZIAŁ XXIV OSTATNI AKT

(Wtorek, 26 kwietnia, godz. 9 rano)

Z tą zdumiewającą rewelacją sprawa Biskupa weszła w końcową, najokropniejszą fazę. O odkryciu Vance'a powiadomiono Heatha. Na drugi dzień rano mieliśmy się spotkać w urzędzie śledczym i odbyć naradę.

Markham, gdyśmy sobie mówili dobranoc, był zgnębiony i rozstrojony bardziej niż kiedykolwiek.

— Nie wiem, czy się da co zrobić — rzekł ze zniechęceniem.  
— Nie mamy przeciwko temu człowiekowi żadnego dowodu. Ale może uda się wymyślić coś takiego, żeby go zdemaskować... Nigdy nie miałem przekonania do tortur, ale teraz prawie żałuję, że nie możemy się uciec do kozła czy śruby.

Następnego dnia rano parę minut po dziewiątej byliśmy w urzędzie śledczym. Przywitał nas Swacker i kazał poczekać w sali recepcyjnej. Zaledwie zdążyliśmy zająć miejsca, gdy zjawił się Heath, zły, skwaszony, zaczepny.

— Muszę panu przekazać ten interes, panie Vance — oznajmił. — Ma pan węch, ale nie wiem, czy nam co z tego przyjdzie. Nie możemy aresztować gościa dlatego tylko, że jego nazwisko wydrukowali w książce.

— Może nam się uda wywlec prawdę na światło dzienne — odparł detektyw. — W każdym razie wiemy teraz, czego się trzymać.

W dziesięć minut później Swacker otworzył drzwi do gabinetu Markhama.

— Przepraszam, że kazałem wam czekać — rzekł prokurator.  
— Ale miałem niespodziewanego interesanta. W głosie jego zadźwięczała nuta rozpacz. — Jeszcze jedna bieda. Ciekawe, bo w związku z tą częścią Riverside Park, gdzie zginął Drukker. Chociaż ja nic tu nie poradzę. — Przyciągnął do siebie plik papierów. — No więc, do rzeczy...

— Co się znowu stało w Riverside Park? — zapytał od niechcienia Vance.

Markham zmarszczył brwi.

— Nie pora się teraz tym zajmować. Zdaje się, że chciano porwać dziecko. Jeżeliś ciekawy, możesz przeczytać w pismach porannych...

— Nie znoszę gazet — odparł Vance uprzejmie, ale z takim naciskiem, że mnie to uderzyło. — Co się stało?

Markham westchnął niecierpliwie.

— Wczoraj z placu zabaw znikło dziecko, które widziano przedtem, jak rozmawiało z nieznanym człowiekiem. Ojciec zwrócił się do mnie o pomoc. Ale to zadanie dla Biura Poszukiwań Osób Zaginionych. Tam go skierowałem. A teraz, kiedy zaspokoilem twoją ciekawość...

— Nie zaspokoileś — zaprotestował Vance. — Muszę się dowiedzieć szczegółów. Ta część parku ma dla mnie niesamowity urok.

Markham rzucił mu spod oka pytające spojrzenie.

— Dobrze — ustąpił. — Wczoraj wieczorem około wpół do szóstej bawiła się z dziećmi w parku pięcioletnia dziewczynka, Madzia Moffat. Wdrapała się na wysoki pagórek koło muru i w chwilę później, gdy ona poszła jej szukać, myśląc, że zeszła na drugą stronę, już jej nie było. Tyle tylko wiadomo, że bezpośrednio przed jej zniknięciem dwoje innych dzieci widziało ją rozmawiającą z jakimś człowiekiem, którego nie potrafiły opisać. Dano znać policji i szukają. Więcej nic nie wiadomo na razie.

— Madzia — zastanowił się Vance. — Słuchaj, Markham, czy ta mała znała Drukera?

— Owszem! — prokurator ożywił się. — Ojciec jej mówił, że często bywała u Drukera na przyjęciach dla dzieci.

— Widziałem ją. — Vance wstał, z rękami w kieszeniach, ze wzrokiem wbitym w ziemię. — Urocze stworzonko. Ze złotymi lokami. W dzień pogrzebu Drukera przyniosła dla niego wiązanek kwiatów... I teraz zginęła po rozmowie z nieznanym człowiekiem...

— Co masz na myśli? — zapytał ostro Markham. Vance udał,

że nie słyszy.

— Dlaczego jej ojciec zwrócił się do ciebie?

— Znam Moffata od szeregu lat, pracował kiedyś w administracji miejskiej. Wariuje z niepokojem, chwyta się każdej słomki, zwłaszcza że wypadek miał miejsce na terenie mordów Biskupa... Ale słuchaj, Vance, nie zebralimy się tutaj po to, żeby omawiać sprawę zniknięcia dziecka Moffata...

Vance podniósł głowę. Na twarzy jego malowało się przerażenie.

— Nie mów! Nie mów! — Zaczął biegać po gabinecie ścigany zdumionymi spojrzeniami Markhama i Heatha.

— Tak, tak — nic innego, tylko to — mrucał do siebie.

— Pora odpowiednia... Wszystko się zgadza...

Odwrócił się, podszedł do przyjaciela i chwycił go za ramię.

— Chodźmy! Prędko! Jedyna możliwość! Nie ma chwili do stracenia. — Zepchnął prokuratora z krzesła i pociągnął go w kierunku drzwi. — Przez cały tydzień byłem w strachu, że jeszcze coś nastąpi.

Markham wyszarpnął mu rękę.

— Nie ruszę się stąd, dopóki nie wytłumaczysz, o co ci chodzi.

— Och! rozgrywa się nowy akt tragedii — ostatni. Możesz mi wierzyć! — Nigdy jeszcze nie widziałem w oczach Vance'a takiego wyrazu, jak w tej chwili.

— Teraz przyszła kolej na „Małą Madzię Muffet”. Nazwisko nie jest identyczne, ale Biskupowi wystarczyło podobieństwo. Wyjaśni to w prasie. Prawdopodobnie zwabił dziewczynkę do piaskownicy i usiadł obok niej... i przepadła. Nastraszył ją...

Markham ruszył ku drzwiom oszołomiony. Za nim zerwał się Heath, któremu oczy wyłaziły z orbit. Zastanawiałem się nieraz, o czym oni myśleli przez tych kilkanaście sekund, kiedy Vance to wszystko mówił. Czy mu uwierzyli? Czy może zgodzili się na jego żądanie tylko ze strachu, że Biskup mógł ostatecznie dopuścić się jeszcze jednego staszliwego żartu. Ale niezależnie od wątpliwości, które ich nurtowały, ustąpili mu i w chwilę później bieглиśmy hallem do windy. Za radą Vance'a zabraliśmy ze sobą detektywa Trace'a z wydziału zabójstw.



— Sprawa jest poważna — wyjaśniał Vance. — Bóg wie, co się może zdarzyć.

W kilka minut później mknęliśmy samochodem Markhama z niedozwoloną szybkością, nie zwracając uwagi na sygnały. Nikt się prawie nie odzywał. Dopiero gdy auto znalazło się na krętych drózkach Central Parku, Vance rzekł:

— Może się myłę, ale musimy ryzykować. Gdybyśmy zaczekali na listy do prasy,, byłoby za późno. Nasza jedyna nadzieja w tym, że nas jeszcze nie zawiadomiono...

— Co spodziewasz się znaleźć? — zapytał ochryple zdenerwowany Markham.

Vance potrząsnął smutnie głową.

— Nie wiem, ale z pewnością coś strasznego!

Auto zajechało z rozpędem przed dom Dillardów. Vance wyskoczył i pierwszy wpadł na schody. Na natarł czywe dzwonicie otworzył Pynn.

— Gdzie pan Arnesson? — zapytał detektyw.

— Na uniwersytecie, proszę pana odpowiedział stary lokaj z przestachem w oczach. — Ale będzie na lunchu w domu.

— W takim razie prowadźcie nas do pana profesora.

— Przepraszam pana — rzekł Pynn — ale pana profesora też nie ma. Poszedł do biblioteki...

— Sami jesteście?

— Tak, proszę pana. Córka poszła na targ.

— Tym lepiej. — Vance ujął za ramię lokaja i obrócił go ku tylnym schodom. — Musimy zrobić rewizję w domu, Pynn. Wy nas oprowadzicie.

Teraz wystąpił Markham.

— Ależ, Vance, nie możemy tego zrobić.

Vance zwrócił się ku niemu.

— Mało mnie obchodzi, co ty możesz zrobić, a czego nie. Ja muszę przeszukać dom... Sierzancie, czy mi pan pomoże? zapytał z dziwnym wyrazem twarzy.

— Jakżeby nie? — odparł Heath (a mnie się wydało, że nigdy nie lubiłem go tak jak w tej chwili).

Zaczęliśmy od suterenu. Przeszukaliśmy wszystkie korytarzyki, schowki, szafy w ścianach, wszystkie zakątki. Pynn,

sterroryzowany przez rozsierdzonego Heatha, przyniósł klucze i otwierał przed nami po kolei wszystkie drzwi, a nawet wskazywał nam miejsca, które mogliśmy sami przeoczyć. Sierżant szukał zawzięcie, choć pewnie nie wiedział dobrze czego. Markham szedł za nami obojętnie, ale i jemu udzieliła się dynamiczna energia Vance'a. Musiał rozumieć, że przyjaciel nie poważąłby się na takie bezprawie bez jakiegoś nadzwyczajnego powodu.

Posuwaliśmy się stopniowo w górę. Zrewidowaliśmy starannie bibliotekę, pokój Arnessona, apartamenty Belli, stojące pustką pokoje na trzecim piętrze, pokoje służby na czwartym piętrze, jak również wszelkie możliwe zakamarki. Ale nie natrafiiliśmy na nic podejrzanego. Choć Vance starał się nad sobą panować, to przecież widziałem, że działał w okropnym nerwowym napięciu. Świadczył o tym gorączkowy pośpiech, z jakim nas popędzał.

W końcu znaleźliśmy się przed zamkniętymi na klucz drzwiami w głębi górnego hallu.

— Dokąd one prowadzą? — zapytał Vance.

— Do pokoiku na strychu, proszę pana — objaśnił lokaj — ale nikt tam nie chodzi...

— Otwórzcie!

Stary marudził chwilę, przeglądając klucze.

— Jakoś nie mogę znaleźć tego klucza, proszę pana. Zawsze wisiał na tym kółku...

— Kiedyście go mieli w użyciu ostatni raz?

— Trudno powiedzieć, proszę pana. O ile ja wiem, nikt tu nie zaglądał od paru lat.

Vance cofnął się kilka kroków i przygarbił się.

— Pynn, na bok!

Lokaj cofnął się. Vance rozpędził się i wyrzwał w drzwi ze straszliwą siłą. Usłyszano trzask, ale zamek nie ustąpił.

Markham doskoczył i przytrzymał go za ramiona.

— Czyś oszalał! — krzyknął. To przecież bezprawie!

— Bezprawie — odparł ze zjadliwą ironią detektyw. — Mamy do czynienia z potworem, który urąga wszelkiemu prawu. Ty możesz się z nim pieścić, jeżeli chcesz, ale ja

włamię się tutaj, choćbym miał za to pokutować w więzieniu do końca życia. Sierzancie, otwórz pan te drzwi!

I znów sierżant zyskał moją sympatię. Nie zawahał się ani chwili. Stanął na palcach i całą siłą potężnych ramion wparł się w deskę nad klamką. Rozległ się trzask, zamek prysł jak dziecinna zabawka i drzwi otworzyły się.

Vance wyrwał się z rąk Markhama i wbiegł chwiejnie po schodkach, a my za nim. Na strychu było ciemno. Przystanęliśmy u szczytu schodów, żeby spojrzeć w mrok. Vance zapalił zapalną i pociągnął z hałasem żaluzje. Fala światła słonecznego ukazała naszym oczom mały pokój, zavalony wszelkiego rodzaju rupieciami. Powietrze było ciężkie i duszące, a na wszystkich przedmiotach leżała gruba warstwa kurzu.

Vance rozejrzał się szybko naokoło z wyrazem zawodu w oczach.

— Ostatni możliwy zakamarek — powiedział ze spokojną rozpaczą.

Raz jeszcze rozejrzał się po pokoju. W kącie koło małego okna leżała na boku pod ścianą walizka. Zauważyłem, że była otwarta i że końce rzemieni spadały na podłogę. Vance podszedł, popatrzył i odrzucił wieko.

— Ach, Markham, znalazło się przynajmniej coś dla ciebie!

Otoczyliśmy go kołem. Na dnie walizki stała maszyna do pisania marki Corona, starego typu, z arkuszem, na którym widniały dwa wiersze, napisane małymi blade- niebieskimi czcionkami:

Mała Madzia Muffet  
Siedziała na piasku.

Widocznie piszącemu przeszkodzono w jego czynności i strofki nie dokończył. Może zresztą nie dopisał jej z innego powodu.

— Nowe pismo Biskupa do prasy — zauważył Vance i, sięgnąwszy do walizki, wydobyl paczkę czystego papieru i kopert. Na dnie, obok maszyny, leżał notes, oprawny w

czerwoną skórę, o cienkich żółtawych kartkach. Wręczył go Markhamowi.

— Obliczenia Drukera do teorii kwantów oznajmił lakonicznie.

Ale w oczach miał wyraz zawodu. Znów zaczął szukać. Zajrzał za starą toaletę, stojącą pod ścianą na wprost okna. Nagle podniósł głowę i wciągnął kilka razy powietrze nosem. Jednocześnie wzrok jego padł na jakiś przedmiot na podłodze. Odrzucił go kopnięciem na środek pokoju. Spojrzeliśmy zdziwieni. Była to maska gazowa, używana przez chemików.

— Cofnijcie się, chłopcy — rozkazał i, zasłoniwszy jedną ręką nos i usta, odsunął toaletę od ściany. Zobaczyliśmy małe drzwiczki w murze. Vance otworzył je jednym szarpnięciem, zajrzał do środka i szybko zatrzęsął.

Zdążyłem zobaczyć zawartość szafki. Miała dwie półki.

Na dolnej leżało kilka otwartych książek. Na górnej stała probówka Erlenmeyera, umocowana klamrą do żelaznej podpórki, lampka spirytusowa, kondensator, szklane naczynie z dziobkiem i dwie buteleczki.

Vance spojrzął na nas z rozpaczą w oczach.

— Możemy iść. Nic tu więcej nie znajdziemy. Powróciliśmy do salonu, pozostawiając Trace'a na straży u drzwi mansardy.

— Może jednak twoja samowolna rewizja była usprawiedliwiona — przyznał Markham, mierząc przyjaciela poważnym wzrokiem. — Chociaż nie lubię takich metod. Gdybyśmy nie znaleźli tej maszyny...

— O, maszyny! — Vance zaabsorbowany i niespokojny wyjrzał oknem na tor łuczniczy. — Nie szukałem ani maszyny, ani czerwonego notesu. Co one znaczą? Nie udało się. — Broda opadła mu na piersi, a oczy zamknęły się jak u człowieka, który czuje, że los go pokonał.

— Logika mnie zawiodła, spóźniliśmy się.

— Nie rozumiem twego bredzenia — rzekł Markham — ale bądź co bądź dostarczyłeś mi jakich takich dowodów rzeczowych. Jak tylko Arnesson wróci z uniwersytetu, każe go aresztować.

— Naturalnie, naturalnie, ale mnie nie chodziło o Ar-

nesssona ani o aresztowanie winowajcy, ani o triumf urzędu śledczego. Miałem nadzieję...

Urwał i zeszywniał.

— Nie, nie przyszliśmy za późno. Gdzież moja głowa!

— Ruszył szybkim krokiem w stronę hallu. — Musimy jeszcze przeszukać dom Drukera... Śpieszcie się!

Biegł przez hall. Heath za nim, a ja i Markham na końcu. Przez tylne schody i suterенę wypadł na tor.

Nie wiedzieliśmy i wątpię, czy któryś z nas w ogóle domyślał się, o co mu chodziło, ale udzielił nam się jego niepokój. Człowieka tak opanowanego jak on mogła wyprowadzić z równowagi tylko ważna rzecz, sprawa nie cierpiąca zwłoki.

Gdy znaleźliśmy się przed zamkniętym na siatkowe drzwi gankiem Drukerów, Vance sięgnął przez dziurę w siatce i odemknął zatrask. Ku memu zdziwieniu drzwi kuchenne nie były zamknięte na klucz. Vance spodziewał się tego, gdyż bez wahania ujął za klamkę.

— Poczekajcie! — rozkazał, zatrzymując się w tylnym korytarzyku. — Nie ma potrzeby przeszukiwać całego domu. Najprawdopodobniejsze miejsce... Tak! Chodźmy... na górze... gdzieś w środku domu niewykluczone, że w komórce, aby nikt nie usłyszał...

Poprowadził nas tylnymi schodami. Przebiegliśmy koło pokoju pani Druker i gabinetu i znaleźliśmy się na trzecim piętrze. Z górnego hallu prowadziło tylko dwoje drzwi, jedne większe w głębi, drugie małe w środku ściany po prawej stronie.

Vance skierował się ku tym ostatnim. Klucz tkwił w zamku. Przekręcił go i otworzył. Wewnątrz było prawie ciemno. Vance rzucił się na kolana, szukając rękami.

— Prędko, sierzancie! Latarka elektryczna!

Na kamienną posadzkę komórki padł świetlny krąg jasności. To, co ujrzałem, zmroziło mi krew w żyłach. Markham wydał stłumiony okrzyk. A Heath gwizdnął cicho, najwidoczniej przerażony. U naszych nóg leżała nieruchomo dziewczynka, ta sama, która przyniosła kwiaty swemu rozbitemu Garbuskowi w dzień jego pogrzebu. Złote loki tworzyły stargany kłęb,

twarzyczka była śmiertelnie blada, a na policzkach widniały strugi zaschłych daremnych łez.

Vance pochylił się i przyłożył ucho do jej serca, po czym wziął ją czule na ręce.

— Biedna, malutka Madzia Muffet — szepnął, idąc z nią ku drzwiom. Heath poprzedzał go, przyświecając latarką. W głównym hallu Vance przystanął.

— Odrygluj pan drzwi, sierżancie!

Heath posłuchał skwapliwie i Vance wyszedł na chodnik.

— Idźcie do domu Dillardów i czekajcie tam na mnie! — rzucił przez ramię. I przyciskając dziecko do piersi, ruszył ukośnie przez 76 Street w kierunku budynku, na którym widniała mosiężna tabliczka z nazwiskiem lekarza.

## ROZDZIAŁ XXV KURTYNA SPADA

(Wtorek, 26 kwietnia, godz. 11 przed południem)

W dwadzieścia minut później Vance przyłączył się do nas w salonie Dillardów.

— Nic jej nie będzie oznajmił, osuwając się na fotel i zapalając papierosa. — Zemdląła z przerażenia i wstrząsu. Przy tym z braku powietrza mogła się udusić. — Twarz mu pociemniała. — Ma posiniaczoną rączkę. Spodziewała się zobaczyć Garbuska w domu Drukkerów. Przerażona, że nie ma nikogo, chciała uciekać. Zapewne wyrywała się. Potwór wepchnął ją do k omórki i zamknął na klucz. Naturalnie nie zdążył jej zabić. Zresztą w wierszyku nie ma nic o zabiciu, tylko o ucieczce ze strachu. Chociaż umarłaby na pewno z braku powietrza. A on był bezpieczny. Nikt nie mógł usłyszeć, jak płakała...

Markham popatrzył serdecznie na przyjaciela.

— Przepraszam, że ci przeszkadzałem — rzekł z prostotą. Markham, chociaż pozornie tak surowy, potrafił być uczuciowy. — Miałaś rację, Vance... Innego wyjścia nie było, tylko przemoc. I pan także, sierżancie. Dużo zawdzięczamy pańskiej energii i lojalności.

Heath zmieszał się jak dziewczyna.

— O, panie prokuratorze, nie ma o czym mówić. Udzielił mi się niepokój pana Vance'a, a że lubię dzieci...

Markham spojrział badawczo na Vance'a.

— Spodziewałaś się znaleźć dziecko żywe?

— Tak, ale ogłuszone lub uspięne narkotykiem. Nie sądziłem, żeby już nie żyło, bo w wierszyku o tym nie wspomniano.

Heath rozmyślał ze ściągniętymi brwiami.

— Czego nie rozumiem — rzekł — to tego, dlaczego ten Biskup, który był zawsze tak piekielnie ostrożny, zostawił drzwi domu Drukкера nie zamknięte?

— Bo chciał, żeby małą znaleźć — odparł Vance — i po starał się nam to ułatwić. Prawda, że uprzejmy? Tylko że mieliśmy ją znaleźć dopiero jutro, po zawiadomieniu pism. List Biskupa do prasy miał nas naprowadzić na trop. Ale uprzedziliśmy łotra.

— Ale dlaczego on tych listów nie rozesłał wczoraj?

— Niewątpliwie miał początkowo ten zamiar. Ale potem zastanowił się, że lepiej będzie zwrócić wpierw uwagę publiczności na zniknięcie dziecka i na podobieństwo nazwisk: Moffat i Muffet. Dla podkreślenia figla.

— Tak! — warknął przez zaciśnięte zęby Heath. — A do jutra rana już by mała nie żyła, a on nie miałby powodu do obawy, że go pozna.

Markham spojrział na zegarek i zerwał się z krzesła.

— Nie ma co czekać na powrót Arnessona. Im prędzej go arestujemy, tym lepiej! — Chciał już wydać rozkaz Heathowi, kiedy Vance zainterweniował:

— Nie rób gwałtu, Markham. Nie masz przeciwko niemu żadnych wyraźnych dowodów. Zbyt delikatna sprawa, żebyśmy mogli sobie pozwolić na agresję. Musimy być ostrożni, bo inaczej przegramy.

— Rozumiem, że znalezienie maszyny do pisania i notesu nie jest dowodem rozstrzygającym — przyznał prokurator — ale przecież dziecko go pozna...

— O, mój drogi! Czymże by było w oczach sędziów przysięgłych świadectwo pięcioletniego wystraszonego maleństwa, nie poparte żadnym mocnym dowodem? Sprytny adwokat rozbiłby je w puch w ciągu pięciu minut. A nawet gdyby to świadectwo potraktowano poważnie, to co z tego? Nie byłby to dowód, że Arnesson był również sprawcą tamtych mordów! Można by go najwyżej pociągnąć do odpowiedzialności za usiłowanie porwania dziecka — pamiętajcie, że dziecku nic się nie stało! A gdyby wam się nawet udało jakimś cudem dowieść mu winy, dostałby najwyżej kilka lat więzienia. I cóż by to był za epilog? Nie, nie... Musisz się zdobyć na cierpliwość!

Markham, przekonany, usiadł niechętnie.



— Ale przecież nie możemy pozwolić, żeby się to tak dalej ciągnęło — rzekł z pasją. — Musimy tego potwora w jakiś sposób unieszkodliwić.

— W jakiś sposób... tak. — Vance krążył nerwowo po salonie. — Może uda nam się wyciągnąć z niego prawdę podstępem: nie wie jeszcze, że znaleźliśmy dziecko... Możliwe, że profesor Dillard będzie nam mógł pomóc. Tak! To nasza jedyna szansa. Powiedzmy Arnessonowi, co wiemy, w obecności profesora. Sytuacja jest tego rodzaju, że coś musi wyjść na jaw. Profesor uczyni wszystko, co tylko będzie w jego mocy, aby oddać zbrodniarza w ręce sprawiedliwości.

— Czy sądzisz, że on wie więcej, niż nam powiedział?

— Niewątpliwie. Od razu wam to mówiłem. Gdy się dowie o porwaniu dziewczynki, kto wie, może się wygada?

— Słaba szansa — zauważył pesymistycznie Markham. — Ale można spróbować. W każdym razie nie wyjdę stąd, nie aresztowawszy Arnessona. Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

W parę chwil później drzwi frontowe otworzyły się i do hallu wszedł profesor Dillard. Nie odpowiedział prawie na ukłon Markhama, tylko oczy jego przywarły do naszych twarzy z badawczą ciekawością. W końcu zapytał:

— Przemysleliście, panowie, to, co wam wczoraj powiedziałem?

— Nie tylko przemysleliśmy — odparł prokurator — ale mój przyjaciel znalazł powód pańskiego niepokoju. Po powrocie do domu pokazał mi egzemplarz „Pretendentów do tronu”.

— A! — okrzyk ten brzmiał jak westchnienie ulgi.

— Od wielu dni ten dramat zatruwał mi każdą chwilę...

— Podniósł trwożnie oczy. — Co to może znaczyć? Odpowiedział Vance:

— To, panie profesorze, że nam pan wskazał drogę do prawdy. Czekamy teraz na pana Arnessona. Ale chcielibyśmy przedtem pomówić z panem. Może pan będzie mógł nam pomóc!

Dillard zawahał się.

— Miałem nadzieję, że uniknę roli kata tego chłopca — rzekł

tragicznym ojcowskim głosem. Ale zaraz rysy jego stwardniały, w oczach zaświecił mściwy blask, a ręka zacisnęła się na gałce laski. — Ale nie pora teraz na osobiste uczucia. Chodźcie, panowie. Zrobię, co tylko będzie w mojej mocy.

Udaliśmy się za nim do biblioteki, gdzie zaraz wyjął z kredensu butelkę, nalał sobie kieliszek portwajnu i wypił duszkiem.

— Darujcie, panowie — zwrócił się do Markhama — ale nie jestem dzisiaj sobą. Odsunął od ściany stół

z szachownicą i postawił na nim kieliszki dla nas. — Proszę mnie usprawiedliwić. — Napełnił kieliszki i usiadł.

Przysunęliśmy się z krzesłami. Po świeżo przeżytych wstrząsających wydarzeniach mieliśmy ochotę napić się czegoś.

Profesor podniósł ciężkie powieki i spojrzał na Vance'a, który zajął miejsce na wprost niego.

— Proszę, niech mi pan wszystko opowie — rzekł

— nie oszczędzając moich uczuć.

Detektyw wydobyl papierośnicę.

— Pan profesor pozwoli, że go wpierw o coś zapytam. Gdzie był wczoraj pan Arnesson między piątą i szóstą po południu?

— Nie... wiem — padła niepewna odpowiedź. Wypił herbatę tu w bibliotece, ale wyszedł około wpół do piątej. Zobaczyłem go dopiero przy obiedzie.

Vance spojrzał ze współczuciem na starego człowieka.

— Znaleźliśmy maszynę, na której Biskup wystukiwał swoje listy — oznajmił. Była schowana na strychu w tym domu.

Profesor przyjął tę rewelację bez wrażenia.

— Czy pan jest pewny, że to ta maszyna?

— Absolutnie. Wczoraj z placu zabaw w parku zniknęła dziewczynka, Magdalena Moffat, a w maszynie tkwił arkusz papieru, na którym zaczęto pisać: „Mała Madzia Muffet siedziała na piasku...”

Profesor spuścił głowę na piersi.

— Jeszcze jedno szaleńcze okrucieństwo! Nie powinienem był czekać, lecz ostrzec panów od razu wczoraj wieczorem...

— Nie stało się to najgorsze — przerwał pośpiesznie Vance.

— Znaleźliśmy małą w porę. Już jest teraz bezpieczna!

— A!

— Była zamknięta na klucz w komórce na trzecim piętrze domu Drukera.

Przypuszczaliśmy, że była ukryta w tym domu, i dlatego zrobiliśmy rewizję na pańskim strychu.

Zapanowała chwila milczenia, po czym Dillard zapytał:

— Co pan ma więcej do powiedzenia?

— W noc śmierci Drukera skradziono z jego pokoju notes z jego ostatnimi obliczeniami dotyczącymi teorii kwantów. Otóż notes ten znalazł się również na strychu razem z maszyną.

— Więc on zniżył się nawet do tego?! — Okrzyk ten nie wyrażał pytania, lecz niedowierzenie. Czy pan jest pewny swoich wniosków? Może gdybym nie dał panu wczoraj do myślenia... Gdybym nie posiał w pańskim umyśle ziaren podejrzliwości...

— Rzecz nie ulega wątpliwości — rzekł łagodnie Vance. — Markham zamierza aresztować pana Arnessona, gdy tylko wróci z uniwersytetu. Chociaż szczerze mówiąc, nie mamy właściwie żadnego dowodu i prokurator nie jest pewny, czy uda mu się znaleźć prawny punkt zaczepienia, żeby postawić winowajcę w stan oskarżenia. Możemy co najwyżej skazać go za usiłowanie porwania dziecka, jeżeli go mała pozna.

— A, tak... dziecko by poznało — zauważył z goryczą profesor. — Ale przecież powinien być jakiś sposób pociągnięcia winowajcy do odpowiedzialności za tamte zbrodnie.

Vance palił papierosa ze wzrokiem utkwionym w dal. W końcu rzekł ze spokojną powagą:

— Jeżeliby pan Arnesson doszedł do przekonania, że nam nie ujdzie, mógłby się ratować samobójstwem. To by może było najbardziej humanitarne wyjście z sytuacji. Najbardziej zadowolające dla wszystkich.

Markham oburzył się i chciał zaprotestować, ale Vance nie dopuścił go do głosu.

— Samobójstwo — rzekł — nie jest per se aktem nie podlegającym kwestii. Biblia na przykład zawiera wiele opisów bohaterskiego samobójstwa. Trudno o piękniejszy akt

odwagi niż samobójstwo Rhazisa<sup>14</sup>, który rzucił się z wieży, żeby ująć niewoli u Demetriusza. Sługa Saula, który nosił za nim miecz, także zginął jako bohater. Abitrophel, który się powiesił, również. Nie da się też zaprzeczyć, że Samson i Judasz Iskariota wyszli z życia z honorem. Historia roi się od głośnych samobójstw — żeby wymienić Brutusa i Katona z Utyki, Hannibala, Lukrecję, Kleopatę, Senekę... Neron zabił się, żeby nie wpaść w ręce Ottona i pretorianów. W Grecji mamy słynne samobójstwo Demostenesa. Empedokles rzucił się do krateru Etny. Arystoteles był pierwszym wielkim myślicielem, który wystąpił z tezą, że samobójstwo jest aktem antyspołecznym, ale podług tradycji sam zażył truciznę po śmierci Aleksandra. A w czasach nowoczesnych nie zapominajmy o wzniosłym geście barona Nogi.

— Wszystkie te przykłady nie usprawiedliwiają bynajmniej samobójstwa — zaprotestował prokurator. — Prawo...

— Ach, tak — prawo! W chińskim prawie każdy przestępca skazany na śmierć ma prawo popełnić samobójstwo. Kodeks uchwalony przez Francuskie Zgromadzenie Narodowe pod koniec osiemnastego wieku skasował kary na samobójców, a Sachsenspiegel, na którym głównie oparło się prawo teutońskie, głosi niedwuznacznie, że samobójstwo nie podlega karze. Co więcej, wśród donatystów i patrycjuszów samobójstwo uchodziło za akt miły bogom. Nawet w *Utopii* More'a był specjalny synod udzielający jednostkom pozwolenia na samobójstwo. Prawo, mój drogi, ma na celu obronę społeczeństwa. Co powiesz o samobójstwie umożliwiającym tę obronę? Czy mamy się powoływać na formalistykę prawną, wtedy kiedy taka taktyka otworzy wrota dalszemu zagrożeniu? Czy nie ma prawa wyższego nad to, które kryje się w księgach ustaw?

Markham był silnie wzburzony. Wstał i przeszedł się po pokoju tam i z powrotem. Twarz mu się mieniła. W końcu usiadł i długo patrzył na Vance'a, bębniąc nerwowo palcami po

---

<sup>14</sup> Przyznam się, że to imię było mi nie znane. Później sprawdziłem, że epizod, o którym wspomniał Vance, nie znajduje się w Biblii Anglikańskiej, lecz w drugiej księdze Machabeuszów, w Apokryfach.

stole.

— Oczywiście, musimy brać pod uwagę niewinnych — powiedział tonem głębokiego zniechęcenia. — Jakkolwiek z moralnego punktu widzenia samobójstwo jest aktem zasługującym na potępienie, to jednak mogę się zgodzić z twoim zdaniem, że czasami może być teoretycznie usprawiedliwione. (Znając Markhama, tak jak ja go znałem, pojąłem, ile go to ustępstwo musiało kosztować. I pierwszy raz stało się dla mnie jasne, jak bardzo czuł się bezsilny w obliczu grozy, której zwalczanie należało do jego obowiązków.)

Stary profesor kiwał ze zrozumieniem głową.

— Tak, są tajemnice tak okropne, że lepiej, aby świat o nich nie wiedział. Sprawiedliwość może nieraz spełnić swoje zadanie bez udziału prawa.

Podczas gdy mówił, drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Arnesson.

— Co? Znowu konferencja? — Obrzucił nas drwiącym spojrzeniem i padł na fotel obok profesora. — Myślałem, że ze śmiercią Pardee'ego wasze kryminalne kłopoty się skończyły.

Vance spojrział mu w oczy.

— Znaleźliśmy małą Madzię Muffet, panie Arnesson!

Uczony podniósł brwi ubawiony.

— Czy to szarada? Co mam odpowiedzieć? Czy: „Jak się miewa paluszek małego Jacka Homera?” Czy też zapytać o zdrowie Jacka Sprata?

Vance nie spuszczał zeń oczu.

— Znaleźliśmy ją w domu Drukera, zamkniętą na klucz w komórce — uzupełnił cichym głosem.

Arnesson spoważniał i na czole jego ukazała się pionowa zmarszczka. Ale trwało to tylko chwilę, po czym znów powrócił do swej sarkastycznej pozy.

— Brawo, policja! No, no, żeby tak szybko znaleźć małą Madzię Muffet! Brawo! — Pokiwał głową z drwiącym uznaniem. — Chociaż należało się tego spodziewać, prędzej czy później. Czy mogę zapytać, jakie będzie następne posunięcie?

— Znaleźliśmy również maszynę do pisania ciągnął Vance,

ignorując pytanie. — I skradziony notes Drukкера.

Arnesson zaczął się mieć na baczności.

— Doprawdy? — rzucił Vance'owi przebiegłe spojrzenie. — I gdzie to znaleźliście te zdradzieckie obiekty?

— Na górze, na strychu.

— A! Zabawialiście się we włamywaczy?

— Coś w tym rodzaju.

— Z tym wszystkim nie widzę, żebyście mogli kogoś oskarżyć. Żelaznych dowodów nie macie przeciwko nikomu. Maszyna do pisania to nie ubranie, które nadaje się tylko na jedną osobę. I kto może powiedzieć, jakim sposobem notes Drukкера znalazł się na naszym strychu? Nie popisałeś się pan, panie Vance!

— Wchodzi w grę czynnik okoliczności sprzyjających. Biskup to człowiek, który mógł być na miejscu w chwili każdej zbrodni.

— Kruchy dowód uboczny odparł uczony. — Nie wystarczający do sformułowania oskarżenia.

— Moglibyśmy wykazać, dlaczego morderca przybrał przydomek Biskupa.

— A! to rzeczywiście mogłoby mieć znaczenie. — Twarz Arnessona zasępiła się i spoważniała. — I mnie to przyszło do głowy.

— Doprawdy? — Vance świdrował go oczami. — Jest jeszcze jeden dowód, o którym nie wspomniałem. Mała Madzia Muffet pozna niewątpliwie człowieka, który ją uwięził w domu Drukкера.

— Tak! Więc już zdrowa?

— Jak najzdrowsza! Widzi pan, znaleźliśmy ją całą dobę wcześniej, niż to leżało w zamiarach Biskupa.

Arnesson milczał, patrząc na swoje ręce, które, choć splecione, drgały nerwowo. W końcu rzekł:

— Ale gdybyście mimo wszystko byli w błędzie?

— Zapewniam pana, panie Arnesson — odparł spokojnie Vance — że wiem, kto jest winny!

— Pan mnie przeraża! — Uczony opanował się. W głosie jego zabrzmiała gryząca ironia. Gdybym przypadkiem ja był

Biskupem, przyznałbym się do przegranej... Chociaż nie ulega wątpliwości, że to Biskup zaniósł lady Mae bierkę szachową — o północy — ja zaś wróciłem do domu tego wieczoru z Bellą dopiero o wpół do pierwszej.

— Tak jej pan powiedział. Pamiętam, że pan spojrzął na swój zegarek i powiedział jej, która godzina. Proszę powiedzieć: która to była godzina?

— Właśnie wpół do pierwszej.

Vance westchnął i strząsnął popiół z papierosa.

— Panie Arnesson, czy pan jest dobrym chemikiem?

— No, chyba! — uśmiechnął się uczony. — Jedna z moich specjalności! O cóż chodzi?

— Przeszukując dziś strych odkryłem szafkę w ścianie, w której znajdowały się różne chemikalia. Ktoś destylował kwas cyjanowodorowy z żelazocyjanku potasu. Na podłodze leżała maska gazowa i wiele innych przyrządów, a w powietrzu unosił się jeszcze zapach gorzkich migdałów.

— Prawdziwa skarbnica niespodzianek ten strych. Coś jakby nora Loki.

— Właśnie — odparł poważnie Vance. — Spelunka złego ducha.

— Albo też laboratorium współczesnego doktora Fausta... Ale na co cyjanek? Cyjanek?... Jak pan sądzi?

— Ostrożność. W razie odkrycia Biskup usunąłby się ze sceny bez bólu. Wszystko w gotowości, rozumie pan?

Arnesson kiwnął głową.

— Mądrze z jego strony, a nawet honorowo! Po co sprawiać ludziom niepotrzebny kłopot, gdy człowieka przyprą do muru! Ot tak!

W czasie tego złowieszczego dialogu profesor Dillard siedział z ręką przyciśniętą do oczu, jakby pogrążony w wielkim bólu. Teraz zwrócił się smutnie do człowieka, któremu był tak długo ojcem:

— Wielu wielkich ludzi, Sigurdzie, usprawiedliwia samobójstwo... — zaczęła, lecz Arnesson przerwał mu cynicznym śmiechem.

— Fuj! Samobójstwo nie potrzebuje usprawiedliwienia.

Nietzsche obalił strach przed samobójstwem:

„Auf eine stolze Art sterben, wenn es nicht mehr möglich ist, auf eine stolze Art zu leben. Der Tod uriter den verächtlichsten Bedingungen, ein unfreier Tod, ein Tod zur unrechten Zeit ist ein Feiglings Tod. Wir haben es nicht in der Hand, zu verhindern, geboren zu werden: aber wir können diesen Fehler — denn bisweilen ist es ein Fehler — wieder gut machen. Wenn man sich abschafft, tut man die achtungswürdigste Saehe, die es giebt: man verdient beinahe damit, zu leben”.<sup>15</sup>

Nauczyłem się w młodości tego ustępu ze *Zmierzchu bogów* na pamięć. I nie zapomniałem. Zdrowa doktryna!

Nietzsche miał wielu sławnych poprzedników, którzy również gloryfikowali samobójstwo - uzupełnił Vance.

— Zeno, stoik, napisał namiętny dytyramb w obronie dobrowolnej śmierci. Tacyt, Epiktet, Marek Aureliusz, Kato, Kant, Fichte, Diderot, Wolter i Rousseau, wszyscy pisali apologie samobójstwa. Schopenhauer protestował z goryczą przeciwko faktowi, że w Anglii samobójstwo uważane było za zbrodnię. .. A jednak nie wiedziałbym, jak to sformułować. Mam uczucie, że to jest sprawa zbyt osobista, żeby miała podlegać dyskusji akademickiej.

Profesor powtórzył ze smutkiem:

Nikt nie wie, co się dzieje w sercu ludzkim w ostatniej czarnej godzinie.

W trakcie tej dyskusji Markham niecierpliwił się i denrowował coraz bardziej, a Heath, początkowo naburmuszony, zaczął się rozkrochmalać.

Nie widziałem, żeby Vance posunął się choć o krok naprzód.

---

<sup>15</sup> „Auf eine stolze Art...” — Umrzeć w dumny sposób, jeśli nie można już w dumny sposób żyć. Śmierć wśród najhanebniejszych warunków, niewolna śmierć, śmierć o niewłaściwym czasie — jest śmiercią tchórza. Nie jest w naszej mocy przeszkodzić naszemu urodzeniu; ale możemy ten błąd — gdyż niekiedy jest to błąd — naprawić. Człowiek unicestwiający samego siebie czyni rzecz najbardziej godną szacunku: przez to niemalże zasługuje na życie.



A nawet wydało mi się, że jego zamiar usidlenia Arnessona spalił na panewce. On jednak nie wydawał się ani trochę zakłopotany, raczej triumfował. Zauważyłem, że pomimo pozornego spokoju przeżył się jak kot przed skokiem. Zacząłem się zastanawiać, jak się też skończy ta straszna konferencja.

Koniec przyszedł szybko. Po słowach profesora nastąpiła chwila milczenia, po czym przemówił Arnesson: — Więc pan wie, kto to jest Biskup, panie Vance? W takim razie, po co ta gadanina?

— Nie ma się czego spieszyć odparł Vance prawie zdawkowo.  
— I zresztą miałem nadzieję połączenia kilku luźnych spraw sądy przysięgłych są do niczego, jak panu wiadomo. Nie kwapią się do wieszania... A w dodatku ten portwajn jest wyśmienity.

— Portwajn?... A prawda! — Arnesson spojrział na nasze kieliszki i zwrócił się z wyrzutem do profesora. — Od kiedy to jestem abstynentem, profesorze?

Dillard drgnął, zawahał się i wstał.

— Przepraszam cię, Sigurdzie! Nie przyszło mi do głowy... Nigdy nie pijesz przed południem.

Poszedł do kredensu, nalał wina do kieliszka i postawił go drżącą ręką przed Arnessonem. Po czym napełnił ponownie nasze.

Zaledwie zdążył usiąść, kiedy Vance wydał okrzyk zdziwienia. Wstał i opierając się rękami o krawędź stołu, spoglądał z zachwytem na kominek w głębi pokoju.

— Słowo daję! Nie zauważyłem tego przedtem... Nadzwyczajne!

Ten wyskok był tak niespodziewany, tak nagły, a atmosfera w pokoju tak napięta, że odwróciliśmy się wszyscy mimo woli w kierunku jego zachwyconego wzroku.

— Plakietka Celliniego!... — wykrzyknął. — Nimfa z Fontainebleau! Borenson mówił mi, że została zniszczona w XVII wieku. Widziałem pendant w Luwrze...

Markham zaczerwienił się z gniewu i oburzenia. Ja sam muszę przyznać, że pomimo oswojenia z dziwactwami Vance'a i jego zamiłowaniem do rzadkości antykwarycznych tym razem odczułem w przykry sposób jego dziwne zachowanie się.

Był to skandaliczny nietakt, o jaki bym go nigdy nie posądził. Nie chciało się wierzyć, że w tej tragicznej godzinie dał się ponieść zachwytowi dla objet d'art.

Profesor Dillard zmarszczył brwi.

— Dziwną pan wybrał chwilę dla swoich zachwytów artystycznych — zauważył z gryzącą ironią.

Vance zmieszał się i zawstydził. Opadł na fotel, unikając naszych oczu, i zaczął obracać w palcach kieliszek, — Ma pan profesor słuszość — mruknął. - Przepraszam pana.

— Nawiasem mówiąc — dodał profesor chcąc złagodzić wrażenie surowej nagany — ta plakietka to tylko kopia tamtej z Luwru.

Vance, jakby chcąc pokryć zmieszanie, podniósł wino do ust. Był to moment wysoce nieprzyjemny. Byliśmy zdenerwowani do ostateczności. Mimo woli, idąc odruchowo za jego przykładem, podnieśliśmy wszyscy kieliszki.

Vance rzucił szybkie spojrzenie przez stół, wstał i podszedł do frontowego okna, przy którym stanął. Jego zachowanie się było tak niezrozumiałe, że odwróciłem głowę, patrząc na niego ze zdumieniem. W tej samej prawie chwili stolik, pchnięty gwałtownie z przeciwnej strony, uderzył mnie kantem w bok. Jednocześnie dał się słyszeć brzęk tłuczonego szkła.

Zerwałem się na równe nogi. Profesor Dillard leżał bezwładnie w fotelu na wprost mnie z ręką przerzuconą przez stolik. Zapanowała krótka chwila straszliwego milczenia. Byliśmy oszołomieni i jakby rażeni paralizem. Markham stał jak posąg, ze wzrokiem utkwionym w stół. Heath, oniemiały, ogłupiały, czepiał się kurczowo poręczy krzesła.

— Miły Boże! Okrzyk Arnessona przełamał napięcie. Markham obszedł szybko stolik i pochylił się nad ciałem profesora Dillarda.

— Proszę wezwać doktora, panie Arnesson — rozkazał.

Vance odwrócił się z wysiłkiem od okna i padł na fotel.

— Nic mu już nie pomoże — rzekł z ciężkim westchnieniem.

— Destylując swój cyjanek, przygotował się na szybką, bezbolesną śmierć. Sprawa Biskupa dobiegła końca.

Markham patrzył na przyjaciela gorejącymi oczami nie

rozumiejąc.

— O! domyślałem się prawdy od śmierci Pardee'ego

— ciągnął Vance w odpowiedzi na nieme pytanie prokuratora. — Ale nie byłem pewny. Dopiero wczoraj wieczorem, gdy rzucił podejrzenie na pana Arnessona, rozwidniło mi się w głowie.

— Hę? Co takiego? — uczony odwrócił się od telefonu.

— Tak — powiedział detektyw. — Pan miał zapłacić za cudze winy. Był pan wybrany na ofiarę od samego początku. Dano nam wprost do zrozumienia, że pan jest podejrzany.

Arnesson nie zdziwił się tak, jak można się było spodziewać.

— Wiedziałem, że profesor mnie nienawidził — rzekł.

— Był okropnie zazdrosny o Bellę i w dodatku od kilku miesięcy nie mógł pracować tak jak dawniej. Jego ostatnią książkę ja opracowałem. Moje akademickie honory odczuwał jako osobistą obrazę. Podejrzewałem go trochę o te diabelskie morderstwa, ale nie byłem pewny. Jednak nie przyszło mi w ogóle do głowy, że zechce mnie posłać na fotel elektryczny.

Vance wstał i podszedłszy do Arnessona, wyciągnął do niego rękę.

— To panu nie groziło. Muszę pana przeprosić za to, jak pana traktowałem przez to ostatnie pół godziny. To była tylko taktyka. Widzi pan, nie mieliśmy żadnego realnego dowodu i spodziewałem się, że uda mi się go zdemaskować.

Uczony uśmiechnął się posępnie.

— Nie ma mnie pan co przepraszać, drogi panie. Wiedziałem, że pan sobie nie mnie upatrzył. Kiedy pan zaczął tak mnie traktować, zorientowałem się, że to był tylko manewr. Nie wiedziałem, do czego pan zmierzał, ale starałem się iść panu na rękę. Chyba nic nie sfuszerowa-  
łem?

— Nie. Przeciwnie. Przyśpieszył pan rozwiązanie.

— Ja? — Arnesson zmarszczył czoło. — Czego nie rozumiem, to tego, dlaczego on się otruł, kiedy przypuszczał, że ja jestem podejrzany, a nie on.

— A, tego się nigdy nie dowiemy — odparł Vance.

— Może bał się, że go dziecko pozna, a może przejrzał mój podstęp. Może też ogarnęło go nagle przerażenie przed

zwaleniem winy na pana... Jak sam powiedział, nie wiadomo, co się dzieje w sercu ludzkim w ostatniej czarnej godzinie.

Arnesson nie poruszył się. Patrzył Vance'owi w oczy takim wzrokiem, jakby go chciał przejrzeć na wylot.

— Niech i tak będzie — rzekł w końcu. — W każdym razie dziękuję!

## ROZDZIAŁ XXVI HEATH ZADAJE PYTANIE

(Wtorek, 26 kwietnia, godz. 4 po południu)

Opuszczając w godzinę później dom Dillardów w towarzystwie Markhama i Vance'a byłem pod wrażeniem, że to już koniec sprawy. I był to koniec, ale tylko dla szerokiej publiczności. Bo my mieliśmy się dowiedzieć czegoś więcej. Czegoś takiego, co zrobiło na nas większe wrażenie niż wszystkie wypadki dnia.

Po południu zebraliśmy się wszyscy w urzędzie śledczym. Były do omówienia pewne delikatne sprawy. Przyszedł również Heath, a potem Vance zrobił przegląd całej sprawy i wyjaśnił wiele ciemnych punktów.

— Arnesson podsunął nam już motyw tych szaleńczych zbrodni — zaczął. Profesor wiedział, że jego sława naukowa gaśnie wobec sławy młodszego uczonego. Umysł jego zaczynał tracić przenikliwość. Zdawał sobie sprawę, że bez pomocy Arnessona nie podołałby już sam swemu ostatniemu dziełu o budowie atomów, i w sercu jego narodziła się nienawiść do przybranego syna. Arnesson stał się w jego oczach potworem, którego sam stworzył, tak jak Frankenstein, i który teraz porywał się na niego. Nienawiść o podłożu naukowym spotęgowała się jeszcze wskutek prymitywnej, emocjonalnej zazdrości o Bellę. Była ona jedyną istotą, w której od dziesięciu lat zogniskował swe starokawalerskie uczucia, ogniwem sprzęgającym go z codziennym życiem, i lękał się, że Arnesson mu ją zabierze. Stąd jeszcze większa nienawiść i uraza.

— Motyw zrozumiały — rzekł Markham — ale morderstw nie wyjaśnia.

— Motyw podziałał na jego uczucia jak iskra na proch. Szukając sposobu pozbycia się Arnessona, zaimprovizował krwawą farsę, która jednocześnie odpowiadała jego psychicznej potrzebie wyładowania tłumionych uczuć. Zarazem

rozwiązywała ona trudność, jaką miał w związku z zamiarem likwidacji Arnessona i zatrzymania Belli przy sobie.

— Czy nie prościej było — zapytał Markham — zamordować Arnessona od razu?

— Przeoczasz psychologiczny aspekt sytuacji. Z powodów, jakie wam już kiedyś wyłożyłem, umysł profesora doszedł do stanu dezintegracji. Natura upominała się o swoje prawa. Namiętna nienawiść do Arnessona przyspieszyła wybuch. W ten sposób dwa impulsy splotły się w jeden. Mordując, nie tylko wyładował zdławione uczucia, ale jeszcze sycił swoją nienawiść do Arnessona, gdyż, proszę was, Arnesson miał za nie zapłacić. Taka sroga zemsta lepiej go mogła zadowolić niż zwykle zabójstwo. Był to najpotworniejszy figiel w szeregu morderczych zabaw...

Jednakże zbrodniarz przeliczył się o tyle, iż nie przewidział, że jego czyny podlegają analizie psychologicznej. Z miejsca się zorientowałem, że mordercą musiał być matematyk. Trudność leżała w tym, że prawie wszyscy możliwi podejrzani byli matematykami. Wiedziałem, że jedynie Arnesson był niewinny. Tylko on jeden utrzymał konsekwentnie równowagę psychiczną, to znaczy stale ujawniał emocje, będące skutkiem ciągłych, zawyłych rozważań. Sadystyczna i cyniczna postawa wobec życia, gadatliwie wypowiedana, i gwałtowny wybuch morderczych instynktów są psychologicznie równoznaczne. Kontynuowanie cynicznych wypowiedzi to po prostu normalna forma wyładowań psychicznych, pozwalająca utrzymać równowagę psychiczną. Szyderczy cynik jest zawsze bezpieczny, bo taki człowiek jest jak najdalszy od sporadycznych fizycznych wybuchów. Podczas gdy osobnik, który dławi w sobie sadyzm i w którym cynizm zbiera się jak ropa pod stoickimi pozorami, zawsze będzie skłonny do niebezpiecznych eksplozji. Dlatego wiedziałem, że Arnesson był niezdolny do tych fantastycznych mordów, i dlatego zaproponowałem, żeby go zaprosić do pomocy. Przyznał się, że podejrzewał profesora. Prosząc, żebyśmy go przyjęli na pomocnika, pragnął, jak mi się zdaje, być au courant śledztwa, żeby w porę ratować Bellę i siebie, w razie gdyby jego

podejrzenia okazały się słuszne.

— Jasne — zgodził się Markham. Ale skąd Dillard zaczerpnął pomysły do tych fantastycznych mordów?

— Prawdopodobnie poddał mu je mimo woli Arnesson zażartowawszy z Gila, żeby się strzegł łuku i strzały wróbla. Ten żart dał mu sposobność wyładowania nienawiści na człowieka, który mu go podsunął. I tylko czekał na odpowiednią chwilę. Niedługo czekał. Widząc Sperlinga odchodzącego rano w dzień pierwszej zbrodni, wynioskował, że Gil jest sam w suterenie. Zeszedł więc na dół i w trakcie rozmowy uderzył go w głowę i wbił mu strzałę w serce, a potem wyrzucił ciało na tor łuczniczy. Następnie wytarł krew, zniszczył zakrwawioną szmatę, wrzucił listy do skrzynki na rogu, a jeden do skrzynki na drzwiach domu, wrócił do biblioteki i zadzwonił do nas. Ale zaszła pewna okoliczność, której nie przewidział. Pynn był w pokoju Arnessona, kiedy profesor powiedział, że wyszedł na balkon. To jednak nie popsulo mu szyków, bo chociaż Pynn przyłapawszy swego pana na kłamstwie zrozumiał, że coś musiało być nie w porządku, to jednak nie przyszło mu z pewnością do głowy podejrzewać go o morderstwo. Zbrodnia udała się.

— Pomimo to jednak — wtrącił Heath — domyślił się pan, że Gil nie zginął od łuku i strzały.

— Tak. Nasada strzały była uszkodzona. Poznałem po tym, że została wbita w ciało ręką. Dalszy wniosek był taki, że nieboraka zabito w suterenie, wpierw ogłuszywszy go uderzeniem w głowę. Dlatego sądziłem, że łuk wyrzucono na tor łuczniczy przez okno. Nie wiedziałem wtedy, że mordercą był profesor. Naturalnie, łuk ani przez chwilę nie leżał na torze. Ale dane, na których oparłem moje dedukcje, nie świadczą wcale o omyłce czy niedopatrzeniu ze strony profesora. Jemu chodziło tylko o inscenizację krwawego wierszyka. O nic więcej.

— Jak sądzisz, czym on go ogłuszył? — zapytał Markham.

— Najprawdopodobniej laską. Może zwróciłeś uwagę na olbrzymią złotą gałkę jego laski, doskonałą jako narzędzie

śmierci!<sup>16</sup> Nawiasem mówiąc, mam wrażenie, że przesadził swoją podagrę, aby wzbudzić współczucie i ewentualnie odwrócić od siebie podejrzenie.

— A co mogło naprowadzić na pomysł zamordowania Sprigga?

— Nie jest wykluczone, że po pierwszym mordzie szukał w wierszykach materiału do następnych. Sprigg odwiedził go w czwartek wieczorem w tygodniu swojej śmierci. Przypuszczam, że pomysł nowego mordu powstał w czasie tej wizyty. W dzień mordu profesor wstał wcześniej, ubrał się i doczekawszy się pukania Pynna o wpół do ósmej, na które odpowiedział, udał się do parku, prawdopodobnie wyszedł przez suterенę. O rannych spacerach chłopca mógł się dowiedzieć przypadkiem od niego samego albo od Arnessona.

— A jak wytłumaczysz formułę tensora?

— Profesor pamiętał, że Sprigg rozmawiał o niej z Arnessonem, i sądzę, że umieścił ją pod ciałem, aby w ten sposób — przez asocjację — skierować podejrzenie na przybranego syna. Co więcej, formuła ta wyrażała subtelnie impuls psychologiczny, tkwiący w zbrodni. Tensor Riemanna-Christoffela stwierdza nieskończoność przestrzeni i jest niejako negacją efemerycznej egzystencji ludzkiej na ziemi. Niewątpliwie profesor widział w nim podświadomie odbicie swego perwersyjnego zmysłu humoru i swoistą zgodność ze swoją morderczą koncepcją. Toteż widok tego skrawka papieru utwierdził mnie jeszcze w złowrogim przekonaniu, że mordercą musiał być matematyk, dla którego ziemskie wartości straciły wszelki sens.

Vance urwał, żeby zapalić nowego papierosa, i po chwili namysłu mówił dalej:

— Omówimy z kolei nocną wizytę w domu Drukkerów. Był

---

<sup>16</sup> Później wyszło na jaw, że duża, ciężka rączka laski (miała prawie osiem cali długości) była nie dokręcona i dawała się łatwo zdjąć z kijka. Rączka ważyła bez mała dwa funty i, jak zaobserwował Vance, stanowiła coś w rodzaju pałki, nadzwyczaj skutecznej w uderzeniu. Czy była specjalnie obluźniona przed użyciem, nie wiadomo. To już wyłącznie kwestia domysłów.



to srogi entr'acte, do którego zmusiła mordercę wiadomość, że pani Drukker krzyczała. Złął się, czy go czasem nie widziała, gdy wyrzucał ciało Gila na tor luczniczy. Kiedy zaś spotkała go w godzinę śmierci Sprigga, w ogródku, wracającego z parku, złął się na serio, że doda dwa i dwa. Nic dziwnego, że odradzał nam badanie pani Drukker i skorzystał z pierwszej sposobności, aby ją uciszyć raz na zawsze. Zabrał klucz z torebki Belli przed teatrem i zwrócił nazajutrz rano. Służbie kazał się wcześniej położyć. O wpół do jedenastej Drukker poszedł do domu, mówiąc, że jest zmęczony. O północy zbrodniarz wyobraził sobie, że może bezpiecznie iść z tą okropną wizytą. Zabrał z sobą czarnego gońca-biskupa w charakterze symbolicznego podpisu pod zamierzonym morderstwem. Ten pomysł mogła mu nasunąć dyskusja szachowa między Pardee'm i Drukkerem. Figura należała do kompletu Arnessona. Przypuszczam nawet, że profesor powiedział nam o tej dyskusji w tym celu, żeby zwrócić naszą uwagę na szachy Arnessona na wypadek, gdyby czarny gońiec-biskup wpadł w nasze ręce.

— A czy już wtedy zamierzał wplątać w tę sprawę Pardee'ego?

— O, nie! Zdziwienie jego, gdy się dowiedział w następstwie analizy gry z Rubinsteinem, że gońiec-biskup był od dawna nemezis Pardee'ego, było najzupełniej szczerze... I miałaś rację co do tego, jak Pardee zareagował na drugi dzień na moją wzmiankę o czarnym gońcu-biskupie. Myślał biedak, że drwię rozmyślnie z jego klęski, poniesionej z rąk Rubinsteina...

Vance pochylił się nad stołem i strząsnął popiół z papierosa.

— Ach, Boże! — mruknął z żalem. — Winien jestem biedakowi przeproszenie. — Wzruszył lekko ramionami, rozsiadł się w fotelu i mówił dalej: — Myśl zamordowania Drukkerja poddała profesorowi sama pani Drukker. Bella nie zdawała sobie sprawy, że opowiadając przy stole o jej historycznych przewidzeniach wydaje na niego wyrok. Morderca przeprowadził swój plan bez przeszkód. Po obiedzie udał się na strych, gdzie napisał na maszynie listy do prasy, po czym zaproponował Drukkerowi wspólną

przechadzkę. Wiedział, że Pardee nie zabawi długo z Arnessonem, toteż zobaczywszy go w alei do konnej jazdy, upewnił się, że Arnesson został sam. Gdy się Pardee oddalił, zabił Drukкера i przerzucił go przez mur. Następnie poszedł ścieżką do bulwaru, przeszedł przez 76 Street i udał się do domu swej ofiary. Wrócił tą samą drogą. Cały ten epizod nie mógł mu zająć więcej niż dziesięć minut. Minął spokojnie Emery'ego i poszedł do domu z notesem Drukкера w kieszeni...

— Ale dlaczego — przerwał Markham — robiłeś tyle hałasu o klucz od furtki w parkanie, wiedząc, że Arnesson jest niewinny? Bo przecież tylko on mógł posłużyć się tą furtką w noc śmierci Drukкера! Dillard i Pardee, obaj wyszli frontowymi drzwiami.

— Nie interesowałem się tym kluczem pod kątem możliwości winy Arnessona. Ale gdyby klucz zniknął, znaczyłoby to, że ktoś go zabrał, żeby rzucić podejrzenie na Arnessona. Bo jakże łatwo przyszyłoby Arnessonowi przemknąć się po odejściu Pardee'ego uliczką między kamienicami, przejść przez bulwar i zaatakować przy murze Drukкера, który pozostał sam, bo profesor odszedł?... I wiesz, Markham, z punktu widzenia mordercy taka powinna była być nasza konkluzja.

— Co mi się nie może pomieścić w głowie — poskarżył się Heath — to to, dlaczego stary zamordował Pardee'ego? To nie kompromitowało Arnessona. Mogło się tylko zdawać, że to sam Pardee był mordercą, że miał już wreszcie tego dosyć i palnął sobie w łeb.

— To pozorne samobójstwo, sierzancie, było najfantastyczniejszym żartem profesora. Zarazem ironicznym, bo przez ten czas, jak reżyserował to komiczne interludium, obmyślał dalej plan likwidacji Arnessona. Naturalnie fakt, że nasze podejrzenia skierowały się na zabitego, miał tę dobrą stronę, że uspił trochę naszą czujność i spowodował usunięcie posterunków policyjnych sprzed domu. Mord ten narodził się przypuszczalnie w głowie profesora spontanicznie. Pod jakimś pretekstem zeszedł z Pardee'm do sutereny, gdzie już przedtem zamknął okna i zasunął story, i zająwszy czymś jego

uwagę — może artykułem w piśmie — strzelił mu w skroń, po czym włożył rewolwer w martwą rękę i wybudował domek z kart. Po powrocie do biblioteki ustawił szachy, aby nas później zasugerować, że Pardee dumał melancholijnie nad czarnym gońcem-biskupem.

Ale jak już zaznaczyłem, ta ponura groteska miała charakter uboczny. Le denouement miała sprowadzić dopiero „mała Madzia Muffet”. Ta sztuczka była obmyślona w ten sposób, żeby ziemia zapadła się pod stopami Arnessonowi Profesor był w domu Drukkerów w dzień pogrzebu, kiedy Madzia Moffat przyniosła kwiaty dla Garbuska. Niewątpliwie znał ją z imienia. Była ulubienicą Drukкера i często u niego bywała. Profesor, pod wpływem prześladowanej go morderczo-wierszykowej obsesji, skojarzył nazwisko Moffat z Muffet. Nie jest wykluczone, że Drukker lub pani Drukker nazwali dziecko „Madzią Muffet” w jego obecności. Łatwo mu było zwabić ją do siebie na pagórek pod murem. Powiedział jej prawdopodobnie, że mały Garbusek chce się z nią zobaczyć. Poszła z nim chętnie alejką do konnej jazdy, dalej przez bulwar i uliczkę między kamienicami. Nie zwrócono na nich uwagi, gdyż o tej godzinie bulwar roi się od dzieci. Następnie wczoraj wieczorem zbrodniarz wzbudził w naszych umysłach podejrzenie przeciwko Arnessonowi, przekonany, że przeczytawszy jego list do prasy, zaczniemy szukać dziewczynki i znajdziemy ją nieżywą w dusznej komórce w domu Drukkerów. Chytry, szatański plan!

— Ale czy się spodziewał, że zrobimy rewizję u niego na strychu?

— O, tak, ale dopiero jutro. Tymczasem zrobiliby porządek w komórce i umieścił maszynę do pisania w bardziej widocznym miejscu. I schowałby notes Drukкера, bo nie ulega wątpliwości, że zamierzał sobie przywłaszczyć wyniki jego obliczeń do teorii kwantów. Ale przyszliśmy o dzień za wcześniej, i wszystkie jego kalkulacje wzięły w łeb.

Markham tonął w chmurze dymu, ponury i zamyślony.

— Mówiłeś, że wczoraj wieczorem, przypomniawszy sobie charakter biskupa Arnessona, nabrałeś przekonania o winie

Dillarda.

— Tak, O! tak! To mi dostarczyło motywu. Zrozumiałem, że zamiarem profesora było zwalić winę na Arnessona i że tajemniczy podpis na listach do prasy został wybrany w tym właśnie celu.

— Długo czekał, zanim skierował naszą uwagę na „Pretendentów do tronu” — zauważył Markham.

— Faktem jest, że podług swoich przewidywań nie spodziewał się, że będzie do tego zmuszony! Myślał, że sami sobie przypomnimy nazwisko bohatera. Lecz okazaliśmy się bardziej tępi, niż oczekiwał, tak że w końcu, nie mając innego wyjścia, posłał po ciebie i odegrał zręczną komedię naprowadzenia nas na trop.

Markham milczał dłuższą chwilę. Siedział z nachmurzonym czołem, wybijając palcami takt na bibularzu.

— Dlaczego — zapytał w końcu — nie powiedziałaś nam od razu wczoraj wieczorem, że to profesor występował w roli Biskupa, a nie Arnesson? Dałeś nam do myślenia...

— Mój drogi, cóż ja mogłem innego zrobić? Po pierwsze, nie uwierzyłyś mi i pewnie znów byś mi zaproponował podróż za ocean, co? A następnie chodziło o to, żeby profesor myślał, że podejrzewamy Arnessona. W przeciwnym razie nie udałoby się nam wpędzić go w potrzask. Cała nasza nadzieja leżała w podstępie. A wiedziałem, że gdybyś ty go podejrzewał i sierżant, to nie zdołalibyście tego ukryć. Nie potrzebowalibyście przynajmniej udawać i wszystko poszło jak po maśle.

Zauważyłem, że od pewnego czasu Heath spoglądał bezustannie na Vance'a z wyrazem zakłopotania, tak, jakby chciał coś powiedzieć, a nie miał odwagi zacząć. W końcu jednak nie wytrzymał. Poruszył się niespokojnie i, wyjąwszy cygaro z ust, rzucił zdumiewające pytanie:

— Nie skarżę się, że nas pan wczoraj nie ostrzegł, panie Vance, ale chciałbym wiedzieć, dlaczego pan zamienił kieliszki profesora i pana Arnessona, wtedy jak się pan zerwał z krzesła i pokazał na plakietkę nad kominkiem?

Vance westchnął głęboko i pokiwał żałośnie głową.

— Mogłem z góry wiedzieć, że nic nie ujdzie pańskiego

orlego oka, sierzancie!

Markham przechylił się przez biurko, świdrując gniewnie przyjaciela zdumionym wzrokiem.

— Co to ma znaczyć? — fuknął, tracąc właściwe sobie opanowanie. — Zamieniłeś kieliszki? Z całą świadomością?...

— O! Mój drogi! — rzekł błagalnie Vance. — Nie daj się ponosić srogim namiętnościom! — Zwrócił się z żartobliwą wymówką do Heatha. — Ładnie mnie pan wyspał, sierzancie!

Nie pora na wykrety — rzekł zimnym, nieubłagalnym tonem Markham. — Żądam wyjaśnienia!

Vance wykonał gest rezygnacji.

— Więc, słuchaj! Jak ci już powiedziałem, moim zamiarem było przychylić się pozornie do planów profesora i udać, że podejrzewam Arnessona. Dziś rano zwierzyłem mu się celowo, że nie mamy żadnych wyraźnych dowodów i że nawet gdybyśmy aresztowali Arnessona, to musielibyśmy go puścić. Wiedziałem, że w danych okolicznościach profesor będzie starał się działać — że spróbuje rozwiązać sytuację za pomocą jakiegoś dramatycznego chwytu, gdyż jedynym celem jego zbrodni było zgubić Arnessona. Byłem po prostu pewny, że zaimprovizuje coś, co go zdradzi, tylko nie wiedziałem co. Nie spuszczałem go z oka. Wino dało mi natchnienie. Wiedząc, że ma on w swoim posiadaniu cyjanek potasu, naprowadziłem rozmowę na temat samobójstwa i w ten sposób poddałem mu myśl. Wpadł w pułapkę i spróbował otruć Arnessona w taki sposób, żeby się to wydało samobójstwem. Zobaczyłem, że nalewając przy kredensie wino, wlał ukradkiem do kieliszka Arnessona malutki flakonik bezbarwnego płynu. Moją pierwszą myślą było nakryć zbrodniarza i dać wino do analizy. Mogliśmy go zrewidować. Znalezlibyśmy flakonik i ja bym zeznał, że widziałem, jak nalał trucizny do wina. Moje zeznanie oraz świadectwo dziecka wystarczyłyby do zdemaskowania zbrodniarza. Ale w ostatniej chwili, gdy profesor napenił ponownie nasze kieliszki, zdecydowałem się na prostszy sposób...

— Odwróciłeś naszą uwagę i zamieniłeś kieliszki?

— Właśnie. Uważałem, że kto nalewa wino dla kogoś, może

je sam wypić!

— Wziąłeś prawo w swoje ręce?

— W ramiona. Było bezbronne... Ale nie bądź taki surowy! Czy pozywa się grzechotnika przed trybuna sprawiedliwości? Czy oddaje się pod sąd wściekłego psa? Wyprawiając tego potwora Dillarda na tamten świat, uczyniłem to bez skrupułów, tak samo, jakbym zdeptał jadowitego gada, gdyby się chciał na mnie rzucić.

— Ależ to był mord! — krzyknął ze zgrozą i oburzeniem Markham.

— O! Niewątpliwie! — zgodził się pogodnie Vance. — Naturalnie! Czyn godny potępienia... Słuchaj, chłopie, czy nie każesz mnie aresztować?

„Samobójstwo” profesora Dillarda położyło koniec morderczej orgii i tym samym zrehabilitowało pamięć Pardee’ego. W następnym roku Arnesson i Bella Dillard wzięli cichy ślub i wyjechali na stałe do Norwegii. Arnesson objął katedrę matematyki stosowanej na uniwersytecie w Oslo. I jak wiadomo, w dwa lata później otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki. Stary dom Dillardów na 75 Street został zburzony. Na jego miejscu stoi teraz nowoczesna kamienica, na fasadzie której widnieją dwa wielkie medaliony z terakoty, dziwnie przypominające tarcze łucznicze. Zastanawiamy się, czy architekt wybrał tę ozdobę przypadkiem, czy umyślnie.

S.S. Van Dine to pseudonim Willarda Huntingtona Wrighta (1888-1939), znanego w Ameryce krytyka literackiego, wydawcy i dziennikarza. Początkowo studiował on sztuki piękne chcąc poświęcić się malarstwu, następnie zainteresował się filozofią.

W roku 1925 w okresie rekonwalescencji po ciężkiej chorobie rozpoczął pisanie powieści kryminalnych. Wypracował własny rodzaj powieści rozrywkowej i stworzył słynną postać amatora detektywa Philo Vance'a.

